

Niepodległość Napiórkowskiego ■ Produkt Krajowy Bieda ■ Parafia przyszłości
Wychowanie bez ekranu ■ Wojna i miłość ■ Masłowska: jak pisać w czasach lajków

Kraków 6 – 12 listopada 2024 nr 45 (3931)

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TygodnikPowszechny.pl

TYGODNIK POWSZECHNY

Stany Podzielone

WYBORY: CO Z WIARĄ AMERYKI
W SIEBIE, BOGA I DEMOKRACJĘ

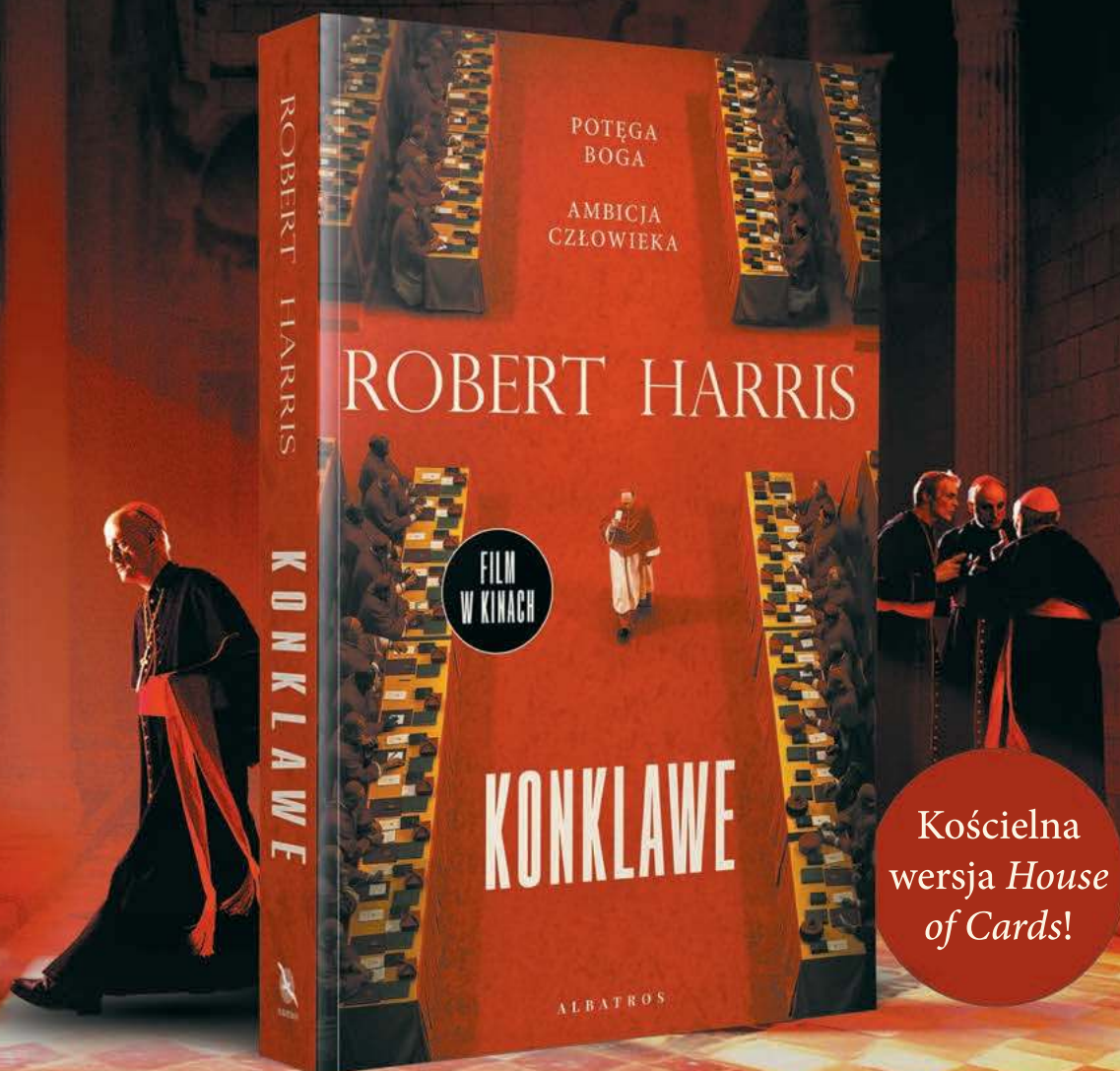
EKSTRA
HISTORIA
JAK OBALANO MUR



POTĘGA BOGA | AMBICJA CZŁOWIEKA

Thriller Roberta Harrisa,
w którym władza i wiara ścierają się w bezwzględnej walce.

AKTUALNA POWIEŚĆ, SKONCENTROWANA NA TYM, CZYM SĄ WŁADZA
I POTĘGA. POKAZUJĄCA MACHLOJKI, DO KTÓRYCH DOCHODZI
ZA ZAMKNIĘTYMI DRZWIAMI KAPLICY SYKSTYŃSKIEJ.



EKRANIZACJA POWIEŚCI, Z RALPHEM FIENNESEM,
STANLEYEM TUCCIM I ISABELŁĄ ROSSELLINI W ROLACH
GŁÓWNYCH, W KINACH OD 8 LISTOPADA!



WYDAWNICTWO
ALBATROS

KS. ADAM

Boniecki: Dobra data

W DEFILADZIE 11 LISTOPADA MÓJ OJCIEC z pewnością nie brał udziału. Nawet wtedy, gdy wojskowe święto zostało – dość późno – przekształcone w narodowe. Był rezerwistą, nie musiał.

Po co właściwie robi się defilady, te świąteczne przeglądy wojsk? Rozumiem znaczenie defilady po odzyskaniu niepodległości, wtedy była czymś absolutnie nadzwyczajnym. Ale potem? Chyba po to, by pokazać ludziom, że jesteśmy dobrze uzbrojeni, a więc bezpieczni. Ludzie lubią defilady, defilujący lubią być oglądani przez ludzi. Jednak dobrze wiemy, że czym innym jest defilada, czym innym wojna.

Na wojnę ojciec pojechał samochodem. Pamiętam dzień poprzedzający jego wyjazd, miałem wtedy pięć lat. Był zdenerwowany, nie mógł znaleźć jakichś dokumentów. Pamiętam pośpiech, pamiętam, że czekałem, że ojciec ubierze się w mundur. Nie wiem jednak, czy wyjechał w mundurze. Musiał ruszyć wcześniej rano i nikt mnie oczywiście nie obudził. Kiedy wstałem, ojca już nie było. Znacznie później poznałem opowieść o zatrzymaniu ich przez Rosjan. Ojciec pozbył się gwiazdki świadczącej, że jest podoficerem. O jego wojowaniu nic nie wiem. Powrotu też, prawdę mówiąc, nie pamiętam. Pamiętam, że nie było wiadomo, czy żyje. Ktoś mówił, że widział go we Lwowie, podobno miał brodę. Potem nagle był znowu w domu. Tyle pamiętam. Zapytany o samochód powiedział, że skończyła się benzyna, a że nie można było jej kupić, zostawił auto przy drodze i poszedł dalej piechotą. Tak to opowiedział. Cóż, mieliśmy niezłe konie i potem jeździł konno.

11 listopada świętem narodowym stał się już po śmierci marszałka Piłsudskiego, na mocy ustawy z 23 kwietnia 1937 r. Usankcjonowało to oficjalnie praktykę świętowania tego dnia przez wojsko odrodzenia Polski. Jako święto narodowe obcho-



dzony był tylko dwa razy, potem przyszła okupacja, gdy obchodzono je konspiracyjnie, z wielkim ryzykiem. W PRL je zniesiono. Przywrócone zostało w 1989 roku. Jedni je lubią, inni nie. Dla mnie jest ważne. Ważne jest w nim to, że święto wojskowe zmieniono na narodowe. I że upamiętnia odzyskanie przez Polskę statusu niepodległego państwa. To jest czymś niesłychanym. Kim byśmy byli, gdyby nie tamte wydarzenia i gdyby nie – tak, tak – Piłsudski?

11 listopada przypomina, że państwo może przestać istnieć. Tym bardziej zdumiewa mnie, że po wszystkich tych doświadczeniach, a dołączyć do nich trzeba okres PRL, Sejm wciąż bywa areną idiotycznych sporów. Dostrzeganie, gdzie potrzebna jest brawura, gdzie zaś chłodny namysł, nadal stanowi dla Polaków problem często nie do pokonania. „Historia est magistra vitae”? I co z tego? Tymczasem jedyną drogą jest uznanie, że wszelkie nadużycia władzy da się naprawić tylko drogą właściwego jej użycia. A jest to droga czasochłonna i obarczona ryzykiem błędów. Ot, koalicyjność rządu: pozornie sprawy komplikuje, a przecież jednocześnie zmusza do ważenia każdej decyzji.

11 listopada to na tę rocznicę dobra data. Jest w niej obecna historia odzyskania (odzyskiwania) niepodległości, jest pamięć o Marszałku, nawet zmiana święta wojskowego w święto narodowe na swoją wymowę. Jest też w historii tego święta pamięć procesu, który trwał dość długo. I pamięć czasu, nie tak znów odległego, gdy Polski na mapie świata nie było. Nie będę krzyczał „niech żyje 11 listopada!”, ale nie chcę nawet myśleć o tym, by tej daty miało zabraknąć. ©

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz,
jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

TP W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA”

Magazyn literacki KSIĄŻKI W TYGODNIKU

a w nim m.in.:

rozmowy z laureatem Nagrody Goncourtów **Jeanem-Baptiste'em Andream**
oraz autorem wydanej właśnie po polsku bestsellerowej powieści
„Krzyże z popiołów” **Antoine'em Sénanque**

„TYGODNIK” Z MAGAZYNEM LITERACKIM W SPRZEDAŻY OD ŚRODY 13 LISTOPADA

Bardziej amerykańsko w tym numerze „Tygodnika” być już chyba nie może. Od okładki, przez kolejne działy, zapraszamy Państwa w tym tygodniu do popatrzenia na Stany Zjednoczone z kilku różnych perspektyw.

Pierwszą z nich jest wiara. „Donald Trump mówi o cudownym ocaleniu od kuli zamachowca i sprzedaje Biblię. Kiedyś Jimmy Carter walczył z żądzą, Ronald Reagan prosił o modlitwę, a George W. Bush uważał, że to Bóg powołał go, by kandydował na prezydenta. Ale czy w przyszłości religia nadal będzie odgrywać tak istotną rolę w polityce USA?” – odpowiedzi na to pytanie szuka

ANDRZEJ KOHUT w dziale Opinie.

Kolejną są pieniądze. **MARTA ZDZIEBORSKA** w artykule otwierającym dział Świat pisze: „Listopadowe wybory w USA kosztowały niemal 16 mld dolarów. Walka o Białą Dom to maraton, który pochłania coraz większe pieniądze – i uzależnia polityków od miliarderów oraz grup interesu”.

Ostatnią jest kultura. **MICHAŁ CHOIŃSKI** opowiada nam o marce, którą zna chyba każdy (a na pewno ci, którzy lubią i wierzą w prasę). „Charakterystyczne okładki, ikoniczny logotyp, torby na ramie. Nowojorski tygodnik to jednak coś znacznie więcej. Poprzez historię »New Yorkera« doskonale widać procesy, które kształtują krajobraz amerykańskiej kultury i polityki – szczególnie dziś”. Cała barwna opowieść czeka w dziale Zmysły.

Do znalezienia sposobu na opowiedzenie Ameryki w tym numerze zmusił nas w pewien sposób kalendarz. Bo wyzwanie redakcyjne przy pracy nad tym numerem było z tych najtrudniejszych: prace musieliśmy zakończyć, zanim zakończyły się wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych. „Tygodnik” trafia jednak w Państwa ręce, kiedy nowy prezydent USA jest już znany. Czy udało nam się sprostać wyzwaniu i w takich okolicznościach przygotować materiały, które pozostaną aktualne? Ocena należy do Państwa.

Mam wrażenie, że w tak dynamicznie zmieniającym się świecie coraz częściej rośnie w nas pokusa wypredzenia rzeczywistości, przewidzenia faktów, gonienia przyszłości. A może wcale nie o to tak naprawdę chodzi? Może nie to jest najważniejsze i czasem warto się zatrzymać: nie po to, by odpuścić wyścig, ale żeby móc zobaczyć, mówiąc po amerykańsku, *the bigger picture*. ©©

EWELINA BURDA
REDAKTORKA PROWADZĄCA

Zastępczyni redaktora naczelnego i szefowa serwisu TygodnikPowszechny.pl. Jako dziennikarka zajmuje się tematyką społeczną. Laureatka Nagrody im. prof. Romana Czerneckiego za artykuł o nauczycielach odchodzących z zawodu.



30 Boże, błogosław Amerykę!

ANDRZEJ KOHUT

Carter walczył z żądzą, Reagan prosił o modlitwę, a Bush sądził, że to Bóg powołał go, by kandydował. Dziś Trump mówi o cudownym ocaleniu i sprzedaje Biblię. Religia nadal odgrywa istotną rolę w polityce w USA.



46 Najdroższa kampania w historii Ameryki

MARTA ZDZIEBORSKA

Listopadowe wybory w USA kosztowały niemal 16 mld dolarów. Walka o Białą Dom to maraton, który pochłania coraz większe pieniądze – i uzależnia polityków od miliarderów oraz grup interesu.

86 Jak to się robi w Ameryce

MICHAŁ CHOIŃSKI

Tę markę zna każdy: charakterystyczne okładki, ikoniczny logotyp, torby na ramie. Nowojorski tygodnik to jednak coś znacznie więcej. Poprzez historię »New Yorkera« doskonale widać procesy, które kształtują krajobraz amerykańskiej kultury i polityki – szczególnie dziś.



■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Gigant na zakręcie
MAREK RABIJ**7-9 Komentarze****10-11 Informacje**

■ ■ CZYTANIA/WIDZENIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA,
PIOTR SIKORA,
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Produkt krajowy: bieda
PRZEMYŚŁAW WILCZYŃSKI:
*Pytania o 800 plus i o niewydolną
pomoc społeczną***23 Będzie druga tura**
PIOTR ŚMIŁOWICZ:
*Zagęszcza się atmosfera wokół
wyborów prezydenckich***24 Smartfon na pełen etat**
MAŁGORZATA NOCUŃ:
*Jak kolorowy ekran otępia
wyobraźnię***27 Student podnosi głowę**
ALEKSANDRA TARAN:
*Czy obecny rok akademicki
będzie przełomowy?*

■ ■ OPINIE

30 Boże, błogosław
Amerykę!
ANDRZEJ KOHUT

■ ■ WIARA

36 Proboszcz na te czasy
STANISŁAW ZASADA:
*Jak ksiądz Radosław Rakowski
działa w poznańskiej Nano
Kaplicy***40 Czy spełni się sen**
o Kościele
PIOTR SIKORA:
*Jak dokument końcowy Synodu
szkicuje Kościół przyszłości***42 Subiektywna historia**
„Frondy”
TOMASZ P. TERLIKOWSKI:
*Jak przekształcało się przez lata
pismo z założenia prowokacyjne*

TEMAT TYGODNIKA



MACIEJ CIOCH / MATERIAŁY PRASOWE MUZEUM HISTORII POLSKI

12 Sens polskiej historii

ROZMOWA Z MARCINEM NAPIÓRKOWSKIM:

W Polsce jest gigantyczna tęsknota
za zalepieniem pęknięcia. Tym większa
gorzyc, że tego nie robimy.
Awantura związana z moją nominacją też
pokazuje, że mamy dość polaryzacji.

■ ■ DODATEK SPECJALNY ■ ■

59 35 LAT TEMU. JAK OBALANO MUR

■ FELIETONY ■

35 TOMASZ STAWISZYŃSKI
45 ZUZANNA RADZIK **70** ELIZA KĄCKA
84 OLGA DRENDĄ **85** PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:

KAMALA HARRIS I DONALD TRUMP, 2024 R.
TIERNEY L. CROSS / CHIP SOMODEVILLA / GETTY IMAGES X2//
MONTAŻ TP-ONLINE

■ ■ ŚWIAT

46 Najdroższa kampania
w historii Ameryki
MARTA ZDZIEBORSKA**50 Staram się nie być sama**
ANTONINA PALARCZYK:
*Opowieść o Oldze, Serhiju,
miłości i stracie***53 Kubańskie ciemności**
JANKA WOLLNY-ROSAS:
*Młodzi Kubańczycy
opowiadają o życiu na wyspie,
gdzie brakuje wszystkiego*

■ ■ NAUKA

66 Jak policzyć wybitność
KRZYSZTOF CIEPLIŃSKI:
*Czy stan nauki da się rzetelnie
ocenić?*

■ ■ KULTURA

72 Prace cielesne
DOROTA MASŁOWSKA:
*By móc pisać – chodzię.
Nastroszywszy nerwy, robię
nieskończone ilości kroków***76 Człowiek wulkan**
TOMASZ PINDEL:
*Vargas Llosa, ostatni żyjący
dinozaur literatury latynoskiej***79 Zwrot lokalny**
DARIUSZ KOŚCIŃSKI:
*W Sosnowcu teatr służy do
czegoś innego niż w Warszawie
czy Krakowie***82 Dzika energia**
ANITA PIOTROWSKA
*o filmie „Imago” w reżyserii
Olgi Chajdas***83 Granice uległości**
LEKTOR o książce „Brzydkie
słowo na »k«” Piotra M.
Majewskiego

■ ■ ZMYŚLY

86 Jak to się robi
w Ameryce
MICHAŁ CHOIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAPRENUMERUJ PÓKI TANIEJ...

... NA STRONIE

57**Zapisz się na newsletter**
POWSZECH.NET/NEWSLETTER**Słuchaj podkastów**
POWSZECH.NET/PODKAST**f** /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ **x** /TYGODNIK ■ **@** /TYGODNIK ■ **▶** YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

GIGANT NA ZAKRĘCIE

JEŚLI POTWIERDZĄ SIĘ INFORMACJE renowanego dziennika „Financial Times”, zarząd Volkswagena odważy się na coś, czego współczesne Niemcy jeszcze nie widziały. Likwidacja co najmniej trzech z 24 krajowych fabryk koncernu oznaczałaby posłanie na bruk nawet 30 tys. pracowników. Reszta, jak twierdzą informatorzy gazety, musiałaby się pogodzić z obniżeniem pensji o 10 procent.

Potentat motoryzacyjny z Wolfsburga, symbol przemysłowej prosperity kraju, która po II wojnie światowej uczyniła z Niemiec największą gospodarkę Europy, bez walki oddałaby w ten sposób rywalom dużą część rynku. Niektórzy komentatorzy w Niemczech podejrzewają więc, że puszczając do mediów taką bombę, władze Volkswagena jedynie urabiają związki zawodowe przed negocjacjami planu naprawczego, który finalnie będzie mniej drastyczny. Na razie w rozmowie z Reutersem plan likwidacji „co najmniej” trzech

Na razie to przymiarki, ale dotyczą firmy, która jest symbolem niemieckiej gospodarki. Volkswagen może zamknąć trzy fabryki i zwolnić kilkadziesiąt tysięcy ludzi. To kłopot nie tylko dla Niemiec.

MAREK RABIJ

POWYŻEJ:

Pracownicy koncernu protestują przed walnym zgromadzeniem akcjonariuszy firmy przeciwko likwidacji fabryk Volkswagena w Niemczech. Wolfsburg, 4 września 2024 r.

fabryk potwierdziła szefowa rady zakładowej Volkswagena. We wrześniu koncern wypowiedział też obowiązujący od 30 lat układ zbiorowy związkowcom z IG Metall, dający im gwarancje zatrudnienia.

MIMO SKOKU wartości sprzedaży całej grupy VW, która w 2023 r. wzrosła z 79,49 do 92,41 mld euro, jej zysk netto stopniał dokładnie o połowę, bo z 12,77 do 6,24 mld euro (przy okazji warto zauważyć, że w całym 2023 r. gigant, jakim jest Volkswagen, zapłacił państwu zaledwie 1,12 mld euro podatku od dochodu). To oczywiście wciąż grubo ponad kreską i w sumie niewiele mniej niż w poprzednich latach. Jednak akcjonariuszy niepokoi postępujący spadek rentowności, czyli w uproszczeniu: proporcja kosztów do przychodów.

Nawet w trudnym dla motoryzacji 2020 r., kiedy pandemia poszarpała tę branżę łańcuchy dostaw, koncern VW był w stanie wycisnąć niemal takie same zyski

(6,33 mld euro) ze sprzedaży niższej aż o jedną trzecią (67,53 mld euro). Już w zeszłym roku wdrożono plan oszczędnościowy, który miał przywrócić firmie konkurencyjność i zakładał m.in. utrzymanie 6,5-procentowej marży. Ale w połowie tego roku stało się jasne, że grupa VW tego celu nie osiągnie. Po dwóch kwartałach br. udało się zachować marżę na poziomie 2,3 procent.

KŁOPOTY VOLKSWAGENA po części wynikają z błędów zarządzania, na czele z problemem wewnętrznej konkurencji, jaką dla marki-matki tego koncernu stały się jego tańsze produkty sygnowane logo czeskiej Škody czy hiszpańskiej Cupry. Jak wielu innych producentów, niemiecki koncern cierpi wskutek topnienia pierwotnej grupy docelowej, jaką przez dekady była klasa średnia. Ci, dla których oferta marki Volkswagen jest wciąż dostępna cenowo, wolą dopłacić do aut z wyższej półki, także tych z grupy Volkswagena, jak Audi.

Z kolei dla całego koncernu z Wolfsburga śmiertelnym zagrożeniem staje się konkurencja ze strony producentów aut spoza Europy. Wprawdzie produkty niemieckiego przemysłu motoryzacyjnego wciąż cieszą się na świecie dobrą opinią, rzecz jednak w tym, że zyskują ją także konkurenci, na których producenci zza Odry mogli do niedawna spoglądać z wyższością.

OLBRZYMI SKOK jakościowy za notowały więc marki z Korei Południowej, zresztą także za sprawą niemieckich inżynierów i stylistów, których w ostatnich latach na niemal masową skalę Koreańczycy podkupowali Volkswagenowi, Mercedesowi i BMW. Coraz lepiej radzi sobie również chińska motoryzacja. U siebie w ojczyźnie chińscy producenci aut elektrycznych prześcignęli już renomowanych dostawców z Niemiec, włącznie z Volkswagemem, który obecnie kontroluje ledwie 14 proc. chińskiego rynku elektryków.

W takich realiach konstrukt gospodarczo-społeczny, jakim przez dekady były niemieckie koncer-

ny motoryzacyjne – łączące wysokie zarobki i stałość zatrudnienia pracowników z równie wysoką rentownością i innowacyjnością – stają się bytem nie do utrzymania. Dla firm pokroju Volkswagena w dalszej perspektywie może to oznaczać już zagrożenie egzystencjalne, scenariusz zbliżony do tego, który zabił kwitnącą ongiś motoryzację amerykańską.

Cięcia kosztów w fabrykach w Detroit czy Chicago, wymuszone za sprawą zagranicznej konkurencji, dobiły do dna krajowy popyt w USA na samochody. Idea Henry'ego Forda, który chciał produkować auta dostępne cenowo dla pracowników z jego własnej firmy, umarła wraz z postępującą pauperyzacją amerykańskiej klasy robotniczej.

W KAMPANII wyborczej do Białego Domu o odbudowie amerykańskiego przemysłu dużo mówiły obie strony, Republikanie i Demokraci, ale to bardziej hasła niż realne postulaty. Globalną gospodarką rządzi imperatyw stałego powiększania przychodów i zysków, a nie postulat zrównoważonego rozwoju, który uwzględniałby potrzeby społeczne. „Te miejsca pracy już nie wrócą” – tak Steve Jobs odpowiedział przed laty Barackowi Obamie, gdy ten pytał go o możliwość przeniesienia produkcji Apple'a z powrotem do USA.

Etaty niemieckich monterów i kreślarzy jeszcze nie opuściły Ingolstadt i Wolfsburga, możliwe więc, że eksponując kryzysową sytuację w koncernie – co odbija się w Niemczech i Europie dużym echem – akcjonariusze i zarząd Volkswagena próbują też skłonić rząd federalny do udzielenia mu pomocy publicznej (na co musiałyby się zgodzić Bruksela).

Problemy niemieckiego giganta to też memento dla polskiej gospodarki, która na razie wygrywa na globalizacyjnej loterii. Nasz eksport rośnie z roku na rok, ale w ujęciu wartościowym aż 71 proc. stanowią w nim nadal surowce i podzespoły dostarczane tym, którzy potrafią to, czego sami nie umiemy – czyli nadać im wartość dodaną. Głównie Niemcom. ©P



Front się chwieje

WOJCIECH PIĘCIAK

200 KM KWADRATOWYCH: TYLE UKRAIŃSKIEJ ziemi podbiła Rosja w ciągu jednego tygodnia pod koniec października. To największa zdobycz terytorialna w tak krótkim czasie od początku roku 2024. I to więcej niż incydent – to trend, niepokojący.

Rosjanie idą do przodu. Nawet jeśli nie są to postępy wielkie (kilometr, czasem więcej dziennie), i nawet jeśli za cenę strat (dziennie ponad tysiąc zabitych i rannych), to ruch stały. Od początku sierpnia, gdy wróg przerwał front w środkowym Donbasie, Ukraina straciła już prawie 1150 km kwadratowych.

Selydowe i Hirnyk: to straty z ostatnich dni. Miasta małe, ale operacyjny zysk duży. Pierwsze daje podstawę do ataku na Pokrowsk, skąd będzie już tylko 27 km do granicy z obwodem dniepropietrowskim. A miasto Dniepr – to już centralna Ukraina. Z kolei Hirnyk to najwyższy punkt Donbasu: kto ma ten płaskowyż, ten w dobie wojny dronocentrycznej (w której coraz większą rolę odgrywają drony, sensory i walka radioelektroniczna) ma dodatkową przewagę. Oba miasta padły szybko, nie było oporu jak w Bachmucie. Trudno czynić zarzut obrońcom – Hirnyka bronił batalion obrony terytorialnej. Piechota z bronią ręczną, bez umocnień, nie miała szans. Agresor systematycznie idzie do przodu także na innych odcinkach: Kupiańsk, Siewiersk, Kurachowe, Wielka Nowosiłka.

Dlaczego front chwieje się teraz? Można postawić tezę, że mamy do czynienia z kumulacją negatywnych czynników.

Po stronie Ukrainy to coraz większe braki w sprzęcie; niedobór zmotywowanych żołnierzy; przemęczenie tych, którzy służą od 2022 r.; błędy w dowodzeniu na najwyższym szczeblu. To także demobilizacja po stronie Zachodu – pomoc znów jest mniejsza. Rosja zaś weszła w wojenną rutynę i radzi sobie coraz lepiej na poziomie operacyjno-taktycznym. Gdy niektórzy na Zachodzie pocieszają się, że Putinowi rychło skończy się czołgi, to nie czołg jest kluczowy na polu walki. Rosja zmieniła taktykę: atakują małe grupy piechoty, rozpoznając teren bojem, co ma zmusić obrońców, by ujawnili pozycje, w które następnie uderzą drony, artyleria i lotnictwo. Oznacza to duże straty atakujących, lecz armia rosyjska wciąż ma rekrutów zachęconych pieniędzmi. I także technologicznie radzi sobie coraz lepiej – tu Ukraina długo miała przewagę, ale ją straciła.

Co dalej? Jeszcze niedawno wydawało się, że załamanie ukraińskiej obrony jest niemożliwe. Dziś to scenariusz, który trzeba brać pod uwagę. ©P

**JACEK PRUSAK SJ:**

Pierwsza taka komisja w polskim Kościele

ARTUR SPORNIAK: Czy propozycję bycia członkiem Komisji ds. wyjaśnienia i naprawy diecezji sosnowieckiej otrzymałeś od jej przewodniczącej, prokurator w stanie spoczynku Violetty Gui?

KS. JACEK PRUSAK SJ: Nie, bp Artur Ważny do mnie zadzwonił.

Jaki charakter ma komisja?

Jest ona jeszcze w fazie konstytuowania się, jeśli chodzi o zakres obowiązków jej członków, ale jej celem jest wyjaśnienie, jak dochodziło do skandali obyczajowych, i naprawa sytuacji. Chodzi o przypadki mocno moralnie problematyczne czy wręcz przestępstwa. A ponieważ przewodniczącą komisji jest prokurator, która ma do pomocy prawniczkę-kanonistkę, to komisja będzie mieć charakter śledczy. W każdym razie nie będziemy zajmować się aktualnymi zgłoszeniami wykorzystania osób małoletnich czy dorosłych bezbronnych, bo od tego biskup ma swoich delegatów.

Biskup polecił Wam zacząć od pierwszego skandalu związanego z rektorem seminarium przytąpanym w klubie gejowskim. Bp Ważny powiedział publicznie: „Dla mnie jest to tajemnicza sprawa, nie do końca wyjaśniona”. Tymczasem to Watykan wówczas zareagował, przenosząc seminarium do Częstochowy i nie wyjaśniając publicznie skandalu.

Po rozmowach z księżmi i ze wspólnotami religijnymi bp Ważny zdaje sobie sprawę, że ma w diecezji strukturalny problem, wynikający z kilku czynników: z tego, że jest to diecezja powstała z części trzech diecezji o różnym stylu funkcjonowania duchownych, że trafiali tu problematyczni księża z innych diecezji, a także dlatego, że funkcjonowały układy forujące

wśród księży problematyczne zachowania. Ta diecezja stała się synonimem Sodomy i Gomory. I ludzie oczekują wyjaśnienia tego.

Pełne wyjaśnienie tamtej sprawy pokaże, jak Watykan zmiatał skandale pod dywan.

To się okaże. Bp Ważny chce cofnąć się do momentu erygowania diecezji sosnowieckiej w 1992 r. i zobaczyć, jakie procesy i jakie struktury miały wpływ na to, że dzisiaj ta diecezja zmagą się z takimi problemami. To ma wyjątkowy wymiar, bo po pierwsze, żaden biskup do tej pory nie badał swojej diecezji tak dokładnie. Po drugie, bp Ważny zdaje sobie sprawę, że nie wszystkich biskupów jego determinacja cieszy. No i po trzecie, nie wiadomo, do czego ta komisja śledcza jeszcze doprowadzi. Ale biskup jest przekonany, że bez takiej transparentności ewangelizacja będzie niemożliwa.

Czy ta komisja może być jakimś przełomem w polskim Kościele?

To jest novum, bo żaden biskup do tej pory nie badał problematycznych zachowań księży od początku istnienia diecezji, powołując autonomiczną komisję. Bp Ważny ma także oczekiwanie, że nasza komisja wypracuje dobre praktyki dla innych diecezji.

Czy praca komisji skończy się publicznym raportem?

Wnioski z naszej pracy mamy najpierw przedstawić biskupowi. A co zostanie z tego ogłoszone – nie wiem. Nasza praca ma pomóc odzyskać społeczne zaufanie, więc ma ostatecznie doprowadzić diecezję do transparentności. ©®

KS. JACEK PRUSAK jest jezuitą, psychoterapeutą, doktorem psychologii, dyrektorem Instytutu Psychologii Uniwersytetu Ignatianum w Krakowie.



Mołdawski kac

PIOTR OLEKSY

MAIA SANDU, PREZYDENTKA MOŁDAWII I LIDERKA prozachodnich sił w tym kraju, zapewniła sobie reelekcję: w drugiej turze wyborów, w niedzielę 3 listopada, poparło ją 55,5 proc. głosujących. Jednak ostatnie dwa tygodnie przyniosły zimny prysznic dla zwolenników integracji tego posowieckiego państwa z UE.

W pierwszej turze Sandu osiągnęła wynik poniżej oczekiwań. Wprawdzie poparło ją 42 proc. wyborców, ale spodziewano się, że będzie to ok. 50 procent. Jej główny rywal Alexandr Stoianoglo, popierany przez prorosyjską Partię Socjalistów, uzyskał zaskakująco dobry wynik (23 proc.), a kolejni kandydaci, reprezentujący siły niekiedy wyrażające prorosyjskie, też cieszyli się sporym poparciem.

Wspólnie z tą pierwszą turą odbyło się referendum, w którym Mołdawianie odpowiadali na pytanie, czy chcą zmian w konstytucji, które zagwarantują proeuropejski kurs polityki zagranicznej. Tu wynik był jeszcze bardziej niepokojący: na „tak” głosowało 50,42 proc. W powyborczą noc długo wydawało się, że zwyciężą przeciwnicy integracji z UE. Dopiero głosy, które spłynęły z zagranicy, przeważały szalę (gdyby wziąć pod uwagę jedynie głosy krajowe, werdykt byłby na „nie”).

Także w drugiej turze o zwycięstwie Sandu przesądziły głosy oddane za granicą. Diaspora, liczna w krajach Unii, zmobilizowała się: do urn za granicami kraju poszło 326,5 tys. osób, a 83 proc. z nich poparło Sandu. I znowu: gdyby wziąć pod uwagę tylko głosy krajowe, zwyciężyłby Stoianoglo.

Wybory i referendum przebiegały w cieniu doniesień o próbach masowego przekupstwa politycznego, realizowanych przez siły sterowane z Moskwy.

Policja donosiła o 130 tys. osób, z którymi nawiązano w tym celu kontakt przez komunikatory internetowe. Z kolei dzień po wyborach Sandu stwierdziła, że takie próby dotyczyły aż 300 tys. Mołdawian (gdy według spisu z 2014 r. kraj liczył 2,8 mln mieszkańców, nie licząc separatystycznego Naddniestrza).

Choć więc Mołdawia zachowała prozachodni kurs, wyniki te pokazują, jak duże jest rozczarowanie rządami obecnej ekipy. Sukcesy dyplomatyczne w relacjach z UE nie są odczuwalne dla obywateli. Masowe przekupstwa pokazują zaś, jak niska jest odporność państwa i społeczeństwa na ingerencję Rosji. Widać też, jak zmieniają się nastroje wobec rosyjskiej inwazji na Ukrainę: siły prorosyjskie odwoływały się do neutralności, co trafiło do wielu Mołdawian. ©

NA PUNKTY

POWOLI

Zbigniew Ziobro po raz czwarty nie stał się przed komisją śledczą ws. Pegasus, choć wcześniej złożył zeznania w prokuraturze. Dwie ostatnie nieobecności nie zostały usprawiedliwione przez lekarza, komisja chce więc zatrzymać i doprowadzić b. ministra siłą.

SZYBKO

Może i dobrze, że Ziobro się nie spieszy: w trakcie przejażdżki samochodem po Warszawie Antoni Macierewicz rozmawiał przez telefon, wyprzedzał na pasach, najechał na podwójną ciągłą i wjechał na buspas. „Fakt”, który przeanalizował szarżę posła, wylicza, że suma jego przewinień wystarcza do odebrania mu prawa jazdy.

BŁYSKAWICZNIE

Zatrzymany dwa tygodnie temu na Dominikanie Paweł Szopa usłyszał w prokuraturze zarzuty uczestnictwa w zorganizowanej grupie przestępczej i prania brudnych pieniędzy, a to w związku ze zleceniami, jakie jego firma Red is Bad otrzymywała od Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych. „Do premiera Morawieckiego zaczyna właśnie docierać, co znaczy »Red is bad« i dla kogo” – skomentował na portalu X Donald Tusk. ©P



Polityczne pułapki raportu

PIOTR ŚMIŁOWICZ

PREZENTACJA CZĄSTKOWEGO RAPORTU komisji ds. badań rosyjskich wpływów, przedstawiona przez jej szefa gen. Jarosława Stróżyka, zawiera wiele szokujących informacji. Niektóre są znane, a niektóre nowe, jak choćby kwestia domniemanego ukrywania przez Kancelarię Prezydenta RP materiałów obciążających Antoniego Macierewicza jako szefa MON.

Sprawa wymaga dalszych wyjaśnień, co miejmy nadzieję nastąpi, bo komisja nie kończy pracy. Wiele wskazuje na to, że kompromitujące Macierewicza materiały rzeczywiście istnieją; okoliczności jego odwołania ze stanowiska szefa MON na początku 2018 r. są pełne niejasności, a sami liderzy PiS przyznawali wtedy, że nie mogą ujawniać prawdziwych przyczyn dymisji. W tym kontekście musi jednak budzić zdumienie, że prezydent Andrzej Duda zdecydował się uhonorować Macierewicza Orderem Orła Białego, najwyższym polskim odznaczeniem.

Niestety, prezentacja komisji sprawia zarazem wrażenie próby politycznego „dobicia” Macierewicza, chwilę po przedstawieniu bardzo dla niego nie-

korzystnego raportu zespołu, powołanego w MON ds. badania działalności podkomisji smoleńskiej. W przeciwieństwie do tamtego raportu, ustalenia komisji Stróżyka zawierają niewiele konkretów, pozwalających wiązać Macierewicza z wykrytymi nieprawidłowościami. Przecież to nie on de-



cydował np. o likwidacji części delegatur ABW, nie on również odpowiada za brak przygotowań rządu do rosyjskiej agresji na Ukrainę. Poważny zarzut „zdrady dyplomatycznej” nie został wystarczająco udokumentowany. Można zrozumieć, że szef ko-

misji nie mógł wszystkiego ujawnić publicznie. Wypada jednak mieć nadzieję, że komisja dysponuje danymi, które pozwolą na przeniesienie zarzutów na grunt prawny i skierowanie wniosków do prokuratury, tak jak zrobił to zespół MON ds. podkomisji smoleńskiej. W przeciwnym razie trzeba będzie przyjąć, że wszystko jest jedynie politycznym fajerwerkiem, który zresztą łatwo może przekształcić się w polityczną trampolinę dla osoby, przeciw której jest skierowany. ©P

ANDRZEJ IWANCIUK / REPORTER



„Skóra”. Klęska po 25 latach

MAREK KĘSKRAWIEC

PO SIĘDMU LATACH ZA KRA-
tami na wolność wyszedł Robert J., oskarżony o brutalne zabójstwo i oskórowanie krakowskiej studentki, której pocięte zwłoki znaleziono potem w Wiśle. Ta wstrząsająca zbrodnia sprzed ćwierćwiecza jest jedną z najbardziej wstydlivych klęsk policji, prokuratury i sądownictwa w historii III RP.

Sprawie od początku towarzyszyła ogromna presja na znalezienie sprawcy z uwa-

gi na sposób zbezczeszczenia zwłok. Jednak mimo wytypowania podejrzanych i jednych z pierwszych w Polsce badań DNA – śledztwo umorzono, po czym trafiło ono pod skrzydła tzw. Archiwum X, policyjnej jednostki zajmującej się rozwiązywaniem dawnych tajemnic przy pomocy nowoczesnych technik.

Oficerowie korzystali z rzędy ekspertów, w tym agentów FBI, ekshumowali też zwłoki ofiary, by dokonać po-

wtórnej sekcji. W końcu dotarli do dwóch sąsiadek, które po latach miały sobie przypomnieć, iż widziały sprawcę z ofiarą. Robert J. pasował do stworzonego portretu mordercy, wzbudzał lęk u kobiet, pracował też kiedyś w pro-sektorium oraz w instytucie zoologii, gdzie preparowano skóry zwierząt. W jego mieszkaniu znaleziono włosy mogące należeć do Katarzyny Z., czego jednak nigdy nie potwierdzono, bo pod-

dano je mało dokładnym badaniom morfologicznym.

Prawdę mówiąc, wyrok sądu apelacyjnego nie mógł być inny. Na sprawcę wskazywały tylko poszlaki, co trzeźwo zauważył sędzia – aby kogoś skazać za tak ciężką zbrodnię, trzeba mieć pewność. Tymczasem – to już mój komentarz – ludzie zaangażowani w jej rozwikłanie ulegli (jak niegdyś w sprawie Tomasza Komendy) presji z góry, część członków zespołu Archiwum X zaczęła też wierzyć w swe przeczucia, więc fakty przeczące jedynie słusznej wizji po prostu odcinała. Ćwierć wieku wysiłku poszło na marne, a morderca nadal jest na wolności. ©P

Legimi: nowe pytania i wniosek o audyt

RYNEK KSIĄŻKI ■ Już od miesiąca trwa spór między wydawcami a właścicielami popularnej aplikacji oferującej książki w abonamencie. W połowie października reprezentująca grupę ponad 50 wydawców platforma dystrybucyjna PDW (w jej skład wchodzi m.in. Prószyński, Czarna Owca, Publicat, Wydawnictwo Literackie, Nasza Księgarnia, Rebis, Zysk czy Media Rodzina) wycofała swoje książki z oferty Legimi. Podobną decyzję podjęła także Agora.

Powód? Błędy w rozliczeniach oraz niejasne zasady umieszczania e-booków i audiobooków w atrakcyjnych cenowo ofertach bibliotecznych, do których Legimi (bez wiedzy i zgody wydawców) zaliczyło tzw. biblioteki zakładowe dużych firm i korporacji. Dzięki takiemu zabiegowi spółka mogła oferować swoje usługi w cenach wynegocjowanych dla bibliotek publicznych pracownikom banków, funduszy inwestycyjnych czy firm telekomunikacyjnych. Z benefitu skorzystało ponad 40 pracodawców.

Ponadto w rozliczeniach Legimi miało brakować nawet 50 proc. czytanych i słuchanych tytułów. Jak informowali nas wydawcy, w ciągu ostatniego półroczia nie zarejestrowano co najmniej kilkudziesięciu tysięcy transakcji. Dowody na błędy w raportowaniu usług zabezpieczono notarialnie.

30 października zarząd Legimi zawarł z PDW porozumienie, publikując w mediach list intencyjny. Czytamy w nim, że spółka dokonała zapłaty za wszystkie wystawione przez PDW faktury. „Doszliśmy do porozumienia w kwestii uregulowania brakujących transakcji oraz błędnie rejestrowanych wypożyczeń bibliotecznych. Jeśli chodzi o nowe warunki współpracy, rozmowy nadal trwają” – poinformował nas prezes PDW Adam Nowicki.

Tymczasem dystrybuując książki elektroniczne ponad 300 wydawców spółka Virtualo wystosowała do Legimi osobne pismo z wnioskiem o zgodę na przeprowadzenie audytu. Virtualo ma wątpliwości, na jakich zasadach rozliczane były transakcje realizowane w ramach tzw. bundli (pakietów usług). Chodzi tu m.in. o sprzedaż książek w ramach współpracy Legimi z radiem Tok FM oraz usługami Diet & Training by Ann (aplikacja Anny Lewandowskiej) czy Readmio (aplikacja z bajkami). Niejasności dotyczą także kart podarunkowych, abonamentów z limitem stron oraz umów, w ramach których gwarantowano darmowe dostępy do Legimi uczestnikom biznesowych konferencji.

Postępowanie wyjaśniające prowadzi także UOKiK. Po zmianie regulaminu usług Legimi, który nakłada na czytelników i czytelników obowiązek ponoszenia dodatkowych opłat poza abonamentem, do urzędu wpłynęło ponad 50 skarg. UOKiK przygląda się także sygnalizowanym przez czytelników brakom informacji o kosztach po przekroczeniu miesięcznego limitu stron. ©© MONIKA OCHĘDOWSKA

Abp Galbas metropolitą warszawskim

KOŚCIÓŁ ■ Nowym arcybiskupem metropolitą warszawskim papież mianował dotychczasowego metropolitę katowickiego abp. Adriana Galbas. Dotychczasowy metropolita warszawski kard. Kazimierz Nycz podał się do dymisji już w grudniu 2023 r. – na ponad rok przed osiągnięciem wieku emerytalnego (75 lat życia).

Nominacja ta łamie regułę, którą promuje sam Franciszek. Papież często powtarza, że nominacja biskupia nie powinna kojarzyć się z robieniem kariery w Kościele, dlatego nie jest dobrze, gdy biskupi przenoszą się z mniej znaczących diecezji do bardziej prestiżowych. A teraz

Był delegatem polskiego episkopatu na pierwszą sesję synodu o synodalności w 2023 r. Wcześniej zorganizował w diecezji katowickiej sprawny i złożony w większości z osób świeckich zespół koordynatorów synodalnych i sekretariat synodu. Jako przewodniczący Rady Episkopatu ds. Apostolstwa Świeckich rozmawiał ze środowiskami krytycznie nastawionymi do Kościoła. Na forum Rady m.in. zaprosił z wykładem polską członkinię kobiecej międzynarodowej organizacji Voices of Faith promującej głos kobiet w Kościele. Pytany o nikłe zainteresowanie polskich księży synodem, wskazywał na ich



KAROL PORWICH / EAST NEWS

Arcybiskup Adrian Galbas podczas inauguracji nawiedzenia Obrazu Jasnogórskiego w archidiecezji częstochowskiej. Wieluń, 6 kwietnia 2024 r.

właśnie mamy taki przypadek. Abp Galbas przenosi się ze stolicy Górnego Śląska do stolicy Polski. Znaczy to, że Dykasteria ds. Biskupów miała trudności ze znalezieniem następcy kard. Kazimierza Nycza wśród biskupów pomocniczych i księży. Poza tym nominacja ta likwiduje jeden wakat, tworząc kolejny – w Katowicach.

Abp Adrian Galbas urodził się w 1968 r. w Bytomiu. Jest pallotynem. Do zakonu wstąpił w 1987 r. Świecenią otrzymał w 1994 r. W latach 2011-2019 był prowincjałem zgromadzenia. W 2019 r. został biskupem pomocniczym diecezji elckiej. W 2023 r. papież mianował go metropolitą katowickim.

klerykalne myślenie oraz „pewien dystans do papieża Franciszka i tego, co proponuje dziś Kościołowi”. Bp Artur Ważny ujawnił, że jako mianowany przez papieża administrator diecezji sosnowieckiej (po tym, jak bp Kaszak trafił na wcześniejszą emeryturę za skandale obyczajowe w diecezji), abp Galbas spotykał się z tymi, którzy czuli się skrzywdzeni czy oburzeni.

Nie są to działania wymagające jakiejś wyjątkowej odwagi, ale abp Galbas nie należy do pasywnych części episkopatu hamującej reformy w Kościele. Jest rządcą nieogłębionym się na innych biskupów oraz otwartym na ludzi.

©© ARTUR SPORNIAK

Gwałtowne deszcze dewastują Hiszpanię

POWODZIE ■ Bilans ostatnich dni na południu Hiszpanii jest przytłaczający. Ponad 214 osób nie żyje, a niemal wszystkie z nich to mieszkańcy Wspólnoty Autonomicznej Walencji. Władze uruchomiły numery alarmowe, na które zgłoszono ponad 2 tys. zaginięć, co oznacza, że liczba zmarłych może wzrosnąć.

Tak liczne ofiary, a także wielkie straty materialne (zniszczone domy, auta, drogi) to efekt zjawiska pogodowego zwanego DANA, które przyniosło ulewne deszcze i powodzie zwłaszcza w regionie Walencji, Andaluzji i Kastylii-La Mancha. Polega ono na tym, że masa powietrza polarne go zderza się z ciepłym i wilgotnym znad Morza Śródziemnego. Jednak dochodzi do tego zwykle późnym latem, gdy temperatura morza jest najwyższa. Tymczasem w niektórych miejscach spadło obecnie 445 litrów wody na metr kwadratowy w ciągu doby.

To najtragiczniejsza w skutkach powódź w Hiszpanii od ponad 60 lat. Najtrudniejsza sytuacja jest na obrzeżach Walencji. Mieszkańcy miasteczka Paiporta opowiadali w telewizji RTVE, jak spędzili długie



Ulice Walencji po przejściu fali powodziowej, 31 października 2024 r.

godziny, trzymając się drzew i lamp, gdy rzeka Turia nagle zalała ulice ich 25-tysięcznego miasta. Pracownicy centrum seniora nie zdążyli z ewakuacją mieszkańców. Tylko w Paiporcie, zwanej teraz „strefą zero”, potwierdzono śmierć co najmniej 62 osób.

W niedzielę Paiportę odwiedzili król Filip VI z królową Letycją, a także premier Pedro Sánchez i przewodniczący rządu regionalnego Carlos Mazón. Zrozpaczeni mieszkańcy zaczęli rzucać w ich stronę błotem i różnymi przedmiotami, krzycząc: „zabójcy” i „precz”. Wielu Hiszpanów oskarża bowiem władze o zbyt późne ostrzeżenia przed ekstremalną pogodą, a także niewystarczającą pomoc.

Pierwszą informację o intensywnych deszczach krajowa agencja meteorolo-

giczna AEMET opublikowała na platformie X we wtorek 29 października przed ósmą rano. Z kolei lokalny rząd Walencji wysłał na telefony mieszkańców alert o „ekstremalnym zagrożeniu” i polecenie, by zostać w domach, dopiero we wtorek po dwudziestej, już po kilku godzinach intensywnych opadów. Tymczasem wiele ofiar zginęło uwięzionych w swoich autach, gdy fala powodziowa nagle je zalała.

Odpowiadając na prośbę władz autonomicznych, w sobotę premier poinformował o wysłaniu do Walencji ponad 5 tys. żołnierzy. Dotarło tam też kilkanaście tysięcy wolontariuszy z całego kraju, by pomóc poszkodowanym. W całej Hiszpanii trwają zbiórki żywności i ubrań.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA z Hiszpanii

Historia naturalna byka i krowy

PRZYRODA ■ Dla artystów z Lascaux dzikie tury leśne (*Bos primigenius*) musiały być ważnymi zwierzętami – inaczej ci łowcy-zbieracze nie pokryliby ich przedstawieniami ścian jaskini. Te dostojne stworzenia wymarły w 1627 r. (ostatnia krowa padła na terenie Rzeczypospolitej), ale dla nas ważni są ich udomowieni potomkowie, których ok. 1,5 mld sztuk hodujemy dla mleka i mięsa. Dla naszych neolitycznych przodków bydło domowe (*Bos taurus*) było jeszcze istotniejsze,

ponieważ to ono dźwigało na swoim grzbiecie wczesne rolnictwo. Bez pracy bydła nie byłoby efektywnej uprawy roli ani transportu.

Już wcześniej wiedzieliśmy, że do udomowienia bydła doszło ok. 11 tys. lat temu na wschodzie. Jednak nowe badania opisane w „Nature” pozwoliły nam lepiej zrozumieć genetyczną historię krowy. Conor Ross i współpracownicy przeanalizowali DNA pozyskane z kości kilkudziesięciu dzikich i udomowionych turów i porównali je z genami współczesnego bydła. Z badań wyłania się następujący scenariusz. Tury leśne przemierzały Eurazję już 650 tys. lat temu. Ok. 100 tys. lat temu klimat się ochłodził i glo-

balna populacja tura podzieliła się na kilka grup. Liczebność zwierząt załamała się zwłaszcza w Europie, gdzie odbudowała się dopiero po zakończeniu szczytu ostatniego zlodowacenia, ok. 20 tys. lat temu, dzięki osobnikom z Półwyspu Iberyjskiego.



MARYSIA ZAWADA / REPORTER

Do udomowienia tura doszło w dolinie Indusu – prawdopodobnie w kilku miejscach niezależnie. To musiał być celowy proces, w którym ludzie schwytali kilka krów i oddzielili je od reszty stada, ponieważ linie genetyczne udomowionych zwierząt zbiegają się do niewielkiej populacji samic. Potem, wraz z rolnikami, udomowione bydło podbiło świat, a na trasie swoich migracji – m.in. na Kaukazie czy w Europie – udomowione krowy trafiły na dzikich krewniaków, z którymi się skrzyżowały. Ten zastrzyk genów od populacji, które dostosowały się na wolności do trudniejszego klimatu, mógł dać bydłu większą odporność i wytrzymałość.

© ŁUKASZ KWIATEK

SENS POLSKIEJ HISTORII

MARCIN NAPIÓRKOWSKI:

W Polsce jest gigantyczna tęsknota za zalepieniem pęknięcia. Tym większa gorycz, że tego nie robimy. Awantura związana z moją nominacją też pokazuje, że mamy dość polaryzacji.

MICHAŁ OKOŃSKI: Muzeum Historii Polski, czyli właściwie... czego?

MARCIN NAPIÓRKOWSKI: Pozwolę sobie zastosować metaforę balistyczną: to jest muzeum polskiej trajektorii. Pozwala ocenić nasze położenie i wektor pędu – skąd przybyliśmy, gdzie się znajdujemy i w jakim kierunku zmierzamy. Każda wspólnota powinna mieć takie informacje, żeby podejmować mądre decyzje na przyszłość.

Pędziłem tutaj przez Bramę Straceń, skręciłem w ulicę Skazańców. Plac zabaw, który minąłem, nie zmienił wymowy tych nazw.

Jesteśmy na warszawskiej Cytadeli. Gdybyś spojrział z lotu ptaka, zobaczyłbyś – jak mi powiedział dyrektor położonego po sąsiedzku Muzeum Wojska Polskiego – czterokondygnacyjny zaprzęg. Razem z Muzeum Cytadeli Warszawskiej i Muzeum Katyńskim mamy tu cztery uzupełniające się placówki. Mamy też szansę na stworzenie w Warszawie czegoś w rodzaju berlińskiej Wyspy Muzeów – miejsca przyciągającego rzesze turystów.

Marcin, przecież wiesz, o co mi chodzi: tu martyrologia wзира z każdego kąta. Żyjemy w kraju, w którym niepodległość zawsze była czymś zagrożonym, co musieliśmy odzyskiwać, o co musieliśmy się bać.

Ale nasze muzeum jest jednym z nie tak licznych miejsc w Polsce, gdzie sięgamy pamięcią dalej niż do XIX w. A kiedy to robimy,

okazuje się, że było coś więcej niż egzekucje i przegrane powstania. Widzimy normalny europejski kraj, który – jak na otwieranej właśnie wystawie o Bolesławie Chrobrym – szukając swojej tożsamości, budował zarazem bezkompromisową europejską dyplomację. Początki trajektorii mogą być antidotum na ciężar, który włożyły nam na barki wieki XIX i XX.

W tej perspektywie Chrobry to sprytny polityk, który organizując Zjazd Gnieźnieński, gra powyżej swojego statusu i możliwości. Nie jest „brzydką panną bez posagu”, o której wspominał kiedyś Władysław Bartoszewski.

Gra powyżej swojego statusu, ale w świecie, w którym królestwa dopiero się wyłaniają. Granice są płynne, a charyzma i przebiegłość władcy doprowadzają do trwałych, dosłownie na tysiąclecie, zmian na mapie.

To jedna z rzeczy, których się nauczyłem w ciągu ostatniego miesiąca. Na wystawie stałej, którą kończymy budować, opowiadamy chronologicznie o kolejnych epokach, ale na każdą jest pomysł. I kuratorzy galerii o narodzinach państwa polskiego pokazują, że historia naszego średniowiecza to historia spektakularnego sukcesu. Myślałeś tak kiedyś?

W Krakowie uczył nas tego Grzegorz Ryś.

No tak, wy w Krakowie zawsze macie lepiej. Ale szerzej to się chyba nie przebija. Tak bardzo żyjemy historią ostatnich 200 lat,



że zapominamy opowiedzieć o stworzeniu od zera państwa, które stało się europejską potęgą.

Rozumiem, że o Wielkiej Lechii na wystawie nie będzie.

Nie, bo opowieści o słowiańskich królach Wielkiej Lechii – zawarte, przypomnijmy, w bestsellerowych książkach Janusza Bieszka – są jednak zmyślane. Co nie znaczy, że ich fenomen nie zasługuje na uwagę. Przeciwnie: powinniśmy pytać, dlaczego tylu ludzi wybiera dziś bzdury zamiast historii. I budować równie atrakcyjne opowieści dla prawdy, żeby miała szansę wygrać z kłamstwem. Pomagać nauce odpowiadać na potrzeby, które zaspokaja pseudonauka: na pragnienie tożsamości, wspólnoty, poczucia sensu i sprawczości. Muzeum to robi.

Od miesiąca czy dłużej?

Tempo i klimat, w jakim dokonała się zmiana dyrektora, postawiły mnie w trudnym położeniu, ale ten jeden komfort mam: nie współtworzyłem wystawy stałej, więc mogę ją chwalić bez narażania się na oskarżenia o narcyzm. Jej projekt jest głęboko przemyślany i dobrze wykorzystuje podstawową wadę, czyli gigantyczną przestrzeń: ponad 7000 metrów kwadratowych.

Nazywasz to wadą?

I to olbrzymią! Tej wystawy nie będzie się dało przejść w jeden dzień. Trzeba ją podzielić – ale to z kolei pozwala w jej ramach wytyczyć mnóstwo ścieżek. Kto będzie szukał elementów ludowej historii Polski – znajdzie je. Kto będzie szukał historii kobiecej, militarnej albo industrialnej, wybierze swoją ścieżkę. A twórcom całości udało się uniknąć zarówno banału, jak i wywracania na siłę rzeczy znanych.

Skoro jest tak dobrze, po co zmiana?

Po co Ci łatka politycznego nominata, ➔

MARCIN NAPIÓRKOWSKI jest p.o. dyrektora Muzeum Historii Polski. Doktor habilitowany, semiotyk kultury, wydał m.in. „Mitologię współczesną”, „Powstanie umarłych. Historia pamięci 1944–2014”, „Turbopatriotyzm” i „Naprawić przyszłość. Dlaczego potrzebujemy lepszych opowieści, żeby uratować świat”. Współautor scenariusza musicalu „1989”, stały współpracownik „TP”.

→ powołanego na dyrektorskie stanowisko bez konkursu?

Kiedy przeczytałem twój tekst na ten temat, pomyślałem, że w innej sytuacji to ja bym go napisał. Tak jest: źle to wyglądało. Mogę powiedzieć tylko tyle: otrzymałem propozycję już po odwołaniu poprzedniego dyrektora. To był moment, kiedy ktoś powiedział „sprawdzam” i zapytał, czy zamiast nadal być komentatorem rzeczywistości, wezmę odpowiedzialność za jej kawałek. A ponieważ miałem bardzo dobre zdanie o tym, co tu się dzieje, uważałem, że to miejsce niepolityczne i depolaryzujące, pomyśl kontynuowania tego, co zaczął Robert Kostro, wydał mi się kuszący.

Nie widzisz w tym ironii? Całe Twoje pisanie w „Tygodniku” było antypolaryzacyjne...

...a teraz stałem się kolejnym symbolem polaryzacji. Wiem. Ale dla mnie ta zmiana nie była polityczna, bo na ile zdążyłem poznać Roberta Kostro, wydaje mi się, że mamy na wiele kwestii zbliżone poglądy.

Spotkaliście się po tym wszystkim?

Telefon do mojego poprzednika był pierwszą rzeczą, którą zrobiłem. Wykazał się olbrzymią klasą, udzielił cennych rad, potem rozmawialiśmy jeszcze kilka razy. W pełni rozumiem jego rozgoryczenie. Jest mi przykro, że poznaliśmy się w takich okolicznościach, bo w innych to mógł być początek pięknej przyjaźni.

Zadaje sobie pytanie, jak bardzo będę teraz wiarygodny, pisząc o depolaryzacji.

I jak brzmi odpowiedź?

Że moje intencje nikogo nie obchodzą. Jedyne, co mogę zrobić, to pokazać swoją pracę, że nie przyszedłem niszczyć i robić rewolucji, tylko mądrze kontynuować. Nie sam: po poprzedniku odziedziczyłem doświadczonych zastępców i sztab wybitnych specjalistów. Nie dokonałem zmian w żadnym dziale. Nie przyprowadziłem swoich ludzi. Mam za to mnóstwo energii, entuzjazm i doświadczenie w budowaniu procedur komunikacyjnych, co pozwala lepiej zsynchronizować pracę zespołu i umożliwić mu realizację pomysłów w spokojnej, przewidywalnej atmosferze.

Nie mając kompetencji zarządczych, masz prawie 250 podwładnych.

Aby doskonale kierować taką instytucją, idealnie byłoby solidnie stać na obu nogach. Z jednej strony mieć wiedzę merytoryczną, z drugiej – doświadczenie w zarządzaniu. Sądziłem, że przynajmniej na jednej nodze stoję stabilnie: jestem 10 lat po habilitacji i całe życie zawodowe zajmowałem się zagadnieniami bliskimi misji muzeum. Przyznam, że ciężko mi było czytać opinie, które i tego punktu podparcia mnie pozbawiały, mówiące, że na niczym się nie znam, a zostałem dyrektorem, bo napisałem musical, który spodobał się premierowi.

Skoro mówimy o balistycznych metaforach: kilkadziesiąt metrów od tego budynku stoją armaty i moździerz. Celują akurat w tę stronę.

Owszem, nie mam doświadczenia w zarządzaniu dużymi instytucjami kultury. Zarazem przychodzę do placówki będącej w specyficznym momencie rozwoju: takiej, w której zatrudnienie bardzo szybko wzrosło od 50 świetnie znających się osób do wspomnianych 250. To taki punkt opisywany we wszystkich podręcznikach zarządzania, w którym trzeba wprowadzać procedury dotyczące synchronizacji działań i komunikacji. Robię to od lat jako konsultant i trener w instytucjach jeszcze większych i szybciej rosnących.

Poza tym wielu moich poprzedników na różnych muzealnych stanowiskach też uczyło się razem ze swoimi placówkami. To nie jest precedens.

Niektórzy krytycy tej nominacji przedstawiali Twoją książkę o „Turbopatriotyzmie” jako polemikę z, mówiąc najogólniej, pravicową opowieścią o historii Polski.

A przecież zaczyna się ona od krytycznego opisu „softpatriotycznej” celebracji orła z czekolady pod Pałacem Prezydenckim, zamieszkiwanym wówczas przez Bronisława Komorowskiego.

„Kto mógł się wtedy spodziewać, że Polska Uśmiechnięta za chwilę potknie się o własne wyszczerzone zęby? Że się udławi tym orłem z czekolady. Że właśnie wtedy, kiedy byliśmy tacy weseli i zadowoleni z siebie, przesądził się nasz upadek” – pisałeś.

Uważam, że Polacy potrzebują dobrej narracji o swojej przeszłości, a nie uciekania od pamięci. W puencie tamtej książki

Polacy potrzebują
dobrej narracji
o swojej przeszłości,
a nie uciekania
od pamięci.
Zwłaszcza że historia –
nasze muzeum także
– jest dziś polem bitwy
z rosyjską dezinformacją.

pisalem o szukaniu nowej antytezy dla turbopatriotycznego populizmu. I mam wrażenie, że muzeum jej dostarcza, musi tylko zostać ukończone. W „Turbopatriotyzmie” nazwałem je fantazmatycznym, będącym wiecznie w budowie. Wykrakałem. Minęło ponad 5 lat i zaklinanie idei w beton nadal trwa.

Coś się jednak zmieniło. W tamtej książce w zasadzie nie ma mowy o wojnie i zagrożeniu ze strony Rosji.

Jak mawiał jeden z moich ulubionych ekonomistów: „kiedy fakty się zmieniają, ja zmieniam zdanie”. Przyznaję, że kiedy pisałem „Turbopatriotyzm”, rosyjskie zagrożenie nie mieściło się w moim horyzoncie poznawczym. A powinno, bo to już było kilka lat po inwazji na Krym. Ale zamierzam to nadrobić.

Tak?

Przez kilka lat uczestniczyłem w projekcie NODES, monitorującym światową dyskusję na temat globalnego ocieplenia. W trakcie prac zauważyliśmy, że rosyjska propaganda w wielu krajach tworzy atrakcyjny obraz Rosji jako potęgi, która zawsze walczyła o wolność, nigdy nikogo nie napadała, a teraz wspiera industrializację krajów Południa. W przeciwieństwie do bogatej Europy – dawnych kolonizatorów, którzy dziś wprowadzają nowy kolonializm w postaci zielonych polityk.

Historia staje się jednym z najważniejszych pól bitwy między informacją i dezinformacją. A jeśli Rosja będzie chciała przedstawiać siebie jako wiecznie uciśnione państwo walczące po stronie sprawiedliwości, to również za pomocą fałszowania historii Polski.



RAFAŁ CHMIELEWSKI / MATERIAŁY PRASOWE MHP

Muzeum Historii Polski, elewacja od strony wschodniej.

Putin robi to od lat.

Uderzyły mnie wyniki badań nad polemiką wokół szczepionek w czasach covidu: o tym, że Rosja wspierała ruchy antyszczepionkowe, zawsze wiedzieliśmy, ale okazało się, że wspierała również treści proszczepionkowe. Putinowi nie zależy na tym, żebyśmy byli niezaszczepieni – zależy mu na tym, żebyśmy byli skłóceni.

Jestem przekonany, że to samo będzie się działo np. ze zbrodnią wołyńską. Czy jesteśmy gotowi do walki z dezinformacją? Na razie nie. Ale myślę, że MHP może być ważnym ośrodkiem takiej walki. Mamy ekspertów łączących kompetencje historyczne z popularyzatorskimi. A moje doświadczenia we współpracy z organizacjami fact-checkingowymi mówią, że takie instytucje są dla nich świetnym partnerem.

No a jak Muzeum opowie o Wołyniu?

To nie będzie tylko Wołyń. To będzie ścieżka pokazująca długie trwanie relacji polsko-ruskich, polsko-kozackich, polsko-ukraińskich. Nie zrozumiemy zbrodni sprzed 80 lat nie tylko bez tego, co działo się w dwudziestolecu międzywojennym, ale też bez pozbycia się sienkiewiczowskiego obrazu powstania Chmielnickiego. Oczywiście w niczym nie umniejsza to grozy Wołynia, ale nada zbrodni kontekst i pozwoli myśleć o unikaniu podobnych tragedii w przyszłości.

Jednym z sekretów naszej wystawy jest to, że pracowało nad nią wielu ekspertów. Długo pracowało. Lata sprawiły, że ona jest jak kamień leżący na dnie rzeki. Kanty się wygładziły, koncepcje nabrały głębokiej mądrości. Stąd pomysł, że na szybko można by wprowadzać zmiany, jest po prostu głupi.

Wróćmy do Rosji. Pamiętam Twój tekst na jedną z rocznic niepodległości, w którym analizowałeś lęki spolaryzowanego społeczeństwa: 26 proc. wyborców PiS mówiło wtedy, że Rosja jest zagrożeniem. Podzielało ich pogląd tylko 6 proc. wyborców PO.

Ci pierwsi mieli rację. Nie mam tu nic mądrego do dodania.

A Donald Tusk też został w międzyczasie turbopatriotą? Zrozumiał, że patriotyczny język, narodowe symbole, flaga, po prostu działają?

Nie pisałem instrukcji obsługi dla polityków, a turbopatriotyzm ma – oprócz supermocy – mnóstwo wad. Jedną z ważniejszych: jeżeli mamy obraz historii jako wiecznego powrotu, tracimy zdolność do formułowania pytań, co zrobić, żeby nie powtórzyło się to, co złe.

Na 30. rocznicę 4 czerwca napisałeś mocno, że historia się nie powtarza.

W książce „Światło, które zgasło” Kraślew i Holmes pokazują, że nieliberalne autorytaryzmy budują poparcie na przekonaniu, iż historia nieustannie się powtarza i nie ma żadnej drogi w przód. Oczywiście pogląd niektórych liberałów, że z historii niczego się nie możemy nauczyć i trzeba po prostu „wybrać przyszłość”, ułatwia im zadanie.

Tymczasem istnieje głęboki związek pomiędzy zdolnością myślenia o przeszłości a zdolnością myślenia o przyszłości. Im płytsze mamy okienko czasowe sięgania w przeszłość, tym bardziej krótkowzrocznie planujemy. Nie da się mieć mądrych scenariuszy na przyszłość bez

ciekawości tego, co było. Ale to nie znaczy, że historia musi się powtarzać.

Są jednak – i to też wyczytałem u Ciebie – mity, które działają na głębszym poziomie. Jeśli Tusk i Kaczyński nazywają siebie nawzajem pachotkami Rosji, chcą je w nas uruchomić.

Obalenie mitów nie działa. Działa tworzenie alternatywnych mitów. I łączenie ich ze sprawczością.

Dasz przykład?

Gdybyśmy uczyli historii w ścisłym połączeniu z fizyką i biologią, jak to robi np. Václav Smil, zrozumielibyśmy, że ekspansja państw niemieckich w średniowieczu była ograniczona nie bitwami i decyzjami wielkich wodzów, ale dostępnością wysokoenergetycznego surowca w postaci drewna bukowego. W takiej perspektywie mamy nie tylko geniusz Napoleona czy Piłsudskiego, ale także rozwój państw w oparciu o surowce. Mamy też wpływ człowieka na przyrodę i przyrodę na człowieka... Skoro zawsze tak było, to może z tymi zmianami klimatu jest coś na rzeczy?

Uczyłeś się w szkole przysposobienia obronnego?

Pomidor.

To pewnie nie pamiętasz, co mówiono o bombie atomowej. Jak się było najbliższej wybuchu, to się wyparowywało, jak się było daleko, można było próbować ucieczki, ale jak się było pomiędzy, to trzeba było się nakryć białym prześcieradłem i czołgać w kierunku cmentarza. Otóż taki mit nie daje żadnej sprawczości. Niestety, mamy dziś mnóstwo podobnych opowieści o katastrofie klimatycznej, a przecież apokalipsa nie musi nadejść.

To daj jeszcze jakiś przykład pozytywnego mitu.

Wystawa „1025. Narodziny Królestwa”, którą właśnie otwieramy, przenosi nas w świat z gry komputerowej typu „Cywilizacja”. Pokazuje związki człowieka z przyrodą i to, że bartnicy czy kołodzieje bywali równie ważni jak książę czy biskup. Mierzymy się z fundamentalnym pytaniem: co znaczyło to królestwo? Jak z sytuacji opartej na przemocy, dominacji i jednostkowej charyzmie przejść do poczucia wspólnoty? Zwiedzając, można kompletnie zmienić myślenie o tym, →

→ czym jest państwo, naród, polityka. To coś, czego tak bardzo potrzebujemy także w podręcznikach historii. Polska nie jest odwieczna ani wieczna.

I nie sprowadza się do białego dworku – choć kiedy po niej jeżdżę i widzę, jak się budują moi rodacy, mam poczucie, że jego obraz jest bardzo żywy.

Ale z drugiej strony „Chłopki” sprzedały się w ponad 300 tysiącach egzemplarzy, więc szukamy korzeni także poza dworkiem. W ogóle jest w nas ogromny głód historii. Podkasty przygotowywane przez pracowników MHP mają milionowe zasięgi.

Czego szukamy w tej historii?

Trzech rzeczy. Po pierwsze, jakiegoś generalnego kodu do rzeczywistości. Owszem, dotychczas świetnie nam szło zwracanie uwagi na królów i szlachtę, ale teraz dostrzegamy – to termin z naszej wystawy – „milczącą większość”, czyli chłopów. Widzimy też element przyrodniczy, nasza świadomość się rozszerza.

Druga rzecz to pytanie, w jakim kierunku zmierza historia. Dotąd opowiadaliśmy ją według prostej funkcji: „więcej Polski – dobrze, mniej Polski – źle”. No ale jak mieliśmy dużą i silną Polskę, to chłopci w systemie folwarcznym cierpieli, a sam system był ekonomicznie niewydajny. Okazuje się, że osi opowiadania dziejów może być dużo. Industrializacji może towarzyszyć degradacja przyrody, a postępowi złotej szlacheckiej wolności – większe zniewolenie chłopów.

No i rzecz trzecia: budowa wspólnoty narracyjnej. Kim jesteśmy my? Nie tylko my opisywani w tej historii, ale też my, którzy ją opowiadamy. To szersza kwestia, dotyczy np. kanonu lektur.

Z kanonem jest trochę jak ze stałą wystawą w wielkim muzeum.

Wydano na nią tyle pieniędzy, że trudno ją zmienić – choć by się przydało, bo świat się zmienia.

Istnieje wyjście. Nie trzeba wyrzucać z kanonu „W pustyni i w puszczy”, wystarczy omawiać na metapoziomie. Zobaczcie, co fascynowało wtedy ludzi, jaka była wrażliwość i horyzonty poznawcze. Niektóre formy mówienia o mieszkańcach Afryki są dziś dla nas nieakceptowalne – dlatego więc były akceptowalne

Podczas pierwszej rozmowy powiedziałem mojemu poprzednikowi, że chciałbym, abyśmy razem otworzyli wystawę stałą. Wymaga tego elementarna przyzwoitość.

dla Sienkiewicza i jego rówieśników? Takie pytania sprawiają, że po lekturze nie staję się mniej wrażliwy – przeciwnie. A w dodatku bez Sienkiewicza nie zrozumiemy ani Gombrowicza, ani Sapkowskiego, zapożyczającego z „Trylogii” całe frazy i językowe kadencje. Nie czytając, nie zrozumiesz. Nie znając historii, nie uwolnisz się spod jej czaru.

Wystawy w muzeach się nie starzeją?

Mało co starzeje się tak szybko. Na szczęście muzea to więcej niż wystawy. Kiedyś prezentowały kolekcje, potem narracje. Teraz nadszedł czas na muzea partycypacyjne, dla których wystawa to tylko punkt wyjścia. Ludzie przychodzą do takich miejsc w różnych celach. Czasem chcą się czegoś nauczyć lub przeżyć silne emocje, a czasem spotkać się ze znajomymi, odpocząć lub spędzić czas w przyjaznej przestrzeni publicznej.

Czyli ten budynek będzie tętnił życiem? Będą koncerty, będziesz zamawiał płyty u polskich muzyków, jak to robi Muzeum Powstania Warszawskiego?

Trudno się mierzyć z dyrektorem Ołdakowskim i zespołem MPW, który świetnie wie, co robi. Ale trudno też nie uwzględniać różnicy między naszymi placówkami. Muzeum Powstania Warszawskiego jest w dużej mierze swoją ekspozycją. U nas to gargantuiczne 7 tysięcy metrów kw. nie stanowi nawet jednej piątej powierzchni. Zazwyczaj tak się nie myśli o muzeach, ale dla mnie np. dzierżawca gastronomiczny jest kluczowym partnerem wżywianiu tego miejsca.

Jak zobaczyłem ceny w bistro na dole, pomyślałem, że będę tu przyjeżdżał na obiady.

Odkąd zacząłem tu pracę, jadłem co najmniej dwa dniennie. Ale bistro to nie koniec! Na górze powstaje restauracja, która będzie poważnym kandydatem do gwiazdki Michelina. W dodatku nazywa się „Dialog”.

Wszystko fajnie, ale przecież to miejsce ma być narzędziem polityki historycznej. Dla PiS to była oczywistość, ale i Tusk projektował Muzeum II Wojny Światowej w kontekście działań niemieckiego Związku Wypędzonych. Nie wierzę, że nie bierzesz tego pod uwagę.

Wydaje mi się, że myślenie w kategoriach polityki historycznej może być pułapką. Pamięć zbiorowa tak nie działa, prawicowego muzeum nie równoważy się lewicowym. To coś, czego nauczyłem się przy musicalu „1989”: nie trzeba wybierać. Głos Anny Walentynowicz może brzmieć obok głosu Lecha Wałęsy, może wchodzić w dwugłos, a harmonia, która tworzy się między nimi – czasem dysonans – jest dodatkową wartością. Z dwóch niezgodnych głosów może powstać nowa jakość – sądzę, że jesteśmy na to gotowi.

Możesz sobie pozwolić na taki luksus, żeby robić swoje? Myślisz, że premier nie ma wizji, jak muzeum powinno wyglądać?

Przekonaliśmy się ostatnio, że dyrektora instytucji kultury łatwo odwołać, ale ja nie mam służbowej podległości pod premiera.

No to powiedz, jak w Muzeum Historii Polski będzie się mówić o jej ciemnych kartach. To była ciekawa uwaga w „Turbopatriotyzmie”, że z jednej strony ich świadomość może być dla nas źródłem siły, ale z drugiej, że chcemy się za ich pomocą uwiarygadniać u „europejskiego Innego”.

Tu znowu, mam wrażenie, wystawa stała będzie nową propozycją. Znajdzie się na niej imponująca instalacja z polem elekcyjnym, ale obok napotkasz milczącą większość chłopską, która mówi: „No, jednak było inaczej”.

Kultura druku, z której wyrosła polityka, przyzwyczaiła nas do logiki „albo”: albo my mamy rację, albo oni. Albo Rzeczpospolita szlachecka była wspaniała, albo beznadziejna – i spory w obrębie polityki

pamięci tak wyglądają. A ta wystawa – i przez swój ogrom, i poprzez medium, w którym pracuje – rządzi się logiką „i”. Rzeczpospolita szlachecka była oazą republikańskiej, demokratycznej wolności i koszmarnym miejscem dla chłopów. To był czas bezprecedensowej tolerancji religijnej i bezprecedensowego wyzysku. Cza-sem nie ma prostych odpowiedzi.

Powiedz politykowi, że nie ma prostych odpowiedzi. I jeszcze że może to powtórzyć wyborcom.

Ależ ja to piszę w „Tygodniku” i mówię do polityków wszystkich opcji od lat. Jeden z najlepiej klikających się moich tekstów, „Pochwała głupoty”, mówi, że powinniśmy mieć prawo przyznawać się do tego, że nie znamy odpowiedzi.

Rozmowa jest na 11 listopada, więc Cię zapytam, jak kleić wspólnotę, która się nie chce skleić?

Przede wszystkim, wspólnota, która nieustannie mówi „rety, ale jesteśmy podzieleni!”, jest wspólnotą, która najbardziej na świecie chce się skleić. W dzisiejszej Polsce jest gigantyczna tęsknota za zalepieniem pęknięcia. Tym większa gorzycz, że go nie zalepiamy. Awantura związana z moją nominacją też pokazuje, że mamy dość polaryzacji.

Rozumiem, że Ty byś chciał, żeby na otwarciu muzeum byli ludzie ze wszystkich stron politycznej sceny.

Podczas pierwszej rozmowy powiedziałem mojemu poprzednikowi, że chciałbym – jeśli wcześniej nie zostaną odwołany, oczywiście – abyśmy razem otworzyli wystawę stałą. Nie wyobrażam sobie też, żeby nie zaprosić wicepremiera Glińskiego.

I to są pomysły na klejenie wspólnoty?

Nie, to elementarna przyzwoitość. A na 11 listopada potrzebujemy wspólnotowych rytuałów. Jedyną grupą, która je zaproponowała na szerszą skalę, są narodowcy ze swoim marszem – dziś uczestniczą w nim zresztą tysiące zwykłych ludzi, szukających sposobu na zmanifestowanie swojego patriotyzmu. Nazywanie ich faszystami to obraza nie tylko dla nich, ale dla zdrowego rozsądku.

Pisałem w „Turbopatriotyzmie”, że Polska spóźniła się na pociąg do nowoczesności. 200 kluczowych lat dla budowy mitologii narodowych, obywatelskiego, partycypacyjnego rozumienia patriotyzmu, spędziłyśmy pod zaborami. Mieliśmy tylko rozproszone, tworzone w półlegalnych warunkach mity.

Nie nauczyliśmy się wspólnego świętowania.

Ale pojawiają się ciekawe alternatywy dla Marszu Niepodległości. Np. festiwal, od kilku lat organizowany 11 listopada na Krakowskim Przedmieściu przez Biuro „Niepodległa”. W tym roku MHP

łączy z nim siły. Na Cytadeli też się dużo będzie się działo – m.in. koncert gwiazd „Wspólna Niepodległa” organizowany z miastem. Razem budujemy wokół śpiewu, celebracji narodowych symboli, współbicia w przestrzeni publicznej. Mam nadzieję, że to początek wspólnego poszukiwania nowych pomysłów na jednoczące rytuały.

Lubisz rytuały.

Dużo badań pokazuje, że one służą budowaniu poczucia sprawczości i sensu, porządkują życie, zmniejszają polaryzację.

W „Turbopatriotyzmie” przywołałeś sondę, którą Twoje przyszłe muzeum prowadziło w internecie, z pytaniem, czy w historii Polski można znaleźć jakiś sens? Możliwe odpowiedzi brzmiały: „Tak, sensem naszej historii jest dążenie do przetrwania”; „Tak, nicią przewodnią naszych dziejów jest pragnienie wolności”; „Nie, historia to po prostu ciąg zdarzeń, które są wypadkową różnych sił wewnętrznych i zewnętrznych”. Jak brzmiałaby Twoja?

Pragnienie wolności to centralna oś wystawy stałej, powracający motyw, ale jako jeden z wielu tematów w koncercie. Ponieważ mam poczucie, że w tej historii dzieje się dużo więcej, będę pracował twórczo nad rozwojem odpowiedzi numer dwa.

© Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński,
Marek Rabij, Piotr Śmiałowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięćciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięćciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska,
Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik),
Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska,
Anita Piotrowska

Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownicza), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał,
Ewelina Burda (kierownicza), Michał Kuźmiński,
Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran,
Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frolow,
Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Anna Cieślak,
Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron,
Lech Krupa, Iwona Kuciel, Joanna Pelka,
Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska,
Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyski
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska,
Wojciech Bonowicz, Beata Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus,
ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabata,
Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kiełżon, Piotr Kłodkowski,
Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski,
Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek,
Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Rafał Matyja, Paweł Musiałek,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocui,
Magdalena Nowicka-Franczak, Joanna Olech, Olaf Osica,
o. Wacław Osajca, Zbigniew Parafanowicz, Piotr Paziński,
Karolina Przewrocka-Adaret, Jakub Puchalski, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek,
Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborzka,
Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: Pijany Noe



TO SIĘ NIE MIEŚCI W GŁOWIE! CZŁOWIEK, który „był mężem sprawiedliwym; nieskazitelnym był on za czasów swoich; z Bogiem postępował” (Rdz 6, 9; Cylkow), człowiek, któremu Najwyższy zlecił misję zachowania w dryfującej po wezbranych wodach arce wszystkich występujących na ziemi gatunków zwierząt, człowiek, który był godny stać się protoplastą całej postopowej ludzkości, co zrobił jako pierwsze po opuszczeniu korabia i podziękowaniu Wszechmocnemu za ocalenie? Otóż „zasadził winnicę. I napił się wina, i odurzył się, i obnażył się we wnętrzu namiotu swojego” (Rdz 9, 20-21). Oczekiwaliśmy czegoś więcej po tak wyjątkowej osobie.

Zaiste, egzegeci mają kłopot z Noem. Komentator wszech czasów, przyglądając się hebrajskiemu słowu *bedorotaw*, które rabin Cylkow oddał jako „za czasów swoich” (zob. pierwszy cytat powyżej), tak odmalowuje tę ambiwalencję: niektórzy z naszych rabinów tłumaczą to na jego korzyść – o ileż byłby bardziej sprawiedliwy, gdyby żył w pokoleniu ludzi sprawiedliwych. Jednak inni tłumaczą to na jego niekorzyść: był sprawiedliwym tylko w porównaniu ze swoim pokoleniem, ale gdyby żył w pokoleniu Abrahama, nie byłby uważany za osobę znaczącą.

Czy wprowadzenie się w stan głębokiego upojenia alkoholowego, połączony z utratą świadomości, kładzie się aż takim cieniem na reputacji Noego? Posłuchajmy wpierych tych komentatorów, którzy widzą w nim postać pomnikową. Wyjaśniają oni jego działanie jak najlepszymi intencjami, połączonymi z niewiedzą dotyczącą wpływu alkoholu na ludzki organizm – wszak Noe zasadził winnicę jako pierwszy. Dla przykładu: za młodu nasz bohater widział kozę, która najadła się winogron i potem była wesolutka, chciał więc uzyskać ten sam efekt u siebie (rabin Jechiel Heilprin). Wino w niewielkiej ilości otwiera serce na Torę – tylko Noe wypił za dużo (rabin z Białegostoku w I. poł. XIX w.). Od początku chciał on upić się w sztok, by stracić samoświadomość i powrócić do stanu charakterystycznego dla ogrodu Eden (ostatni wielki rebe z Lubawicz). A gdyby tak spojrzeć na Noego jak na postać wielowymiarową? Przecież ten człowiek był świadkiem zagłady życia na ziemi! Wokół niego pustka – poza najbliższą rodziną żadnych przyjaciół. Straumatyzowany, musi teraz odbudowywać zniszczony świat. Kto wie – może ma wyrzuty sumienia, że to on przeżył... I jak tu się nie napić? ©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca: Nie przeminie



JEZUS POWIEDZIAŁ UCZNIOM: „NIEBO I ZIEMIA przeminą, ale moje słowa nie przeminą. O tym jednak, kiedy nadejdzie ten dzień i godzina, nikt nie wie: ani aniołowie w niebie, ani Syn, tylko Ojciec”. Jak to, Jezus jest Bogiem, wie wszystko!

„Wielu osobom łatwiej jest wierzyć, że Jezus Chrystus był Bogiem, niż że był prawdziwym człowiekiem” – mówi prof. Henryk Pietras SJ. Realność człowieczeństwa Jezusa przejawia się w tym, że „gdy mówił, że nie wie, kiedy nadejdzie koniec świata, to nie oszukiwał. Nie »ukrywał« wiedzy – po prostu nie wiedział, bo człowiek tego nie wie. Nawet taki człowiek, jak Jezus”.

Jeśli Chrystus byłby przede wszystkim Bogiem, to można machnąć ręką i powiedzieć: owszem, On tak potrafił, bo był Bogiem – wszechmocnym i wszechwiedzącym; a ja nie jestem Bogiem, więc nie można ode mnie oczekiwać, że będę myślał, mówił i robił jak On. Więc póki co nie marnujmy czasu: „Niech świeci wasze światło dla ludzi, aby widzieli wasze dobre czyny i chwaliłi waszego Ojca, który jest w niebie”. Nic na tym świecie nie jest przypadkiem. Wszystko, cokolwiek znamy, jednocześnie kończy się i zaczyna, śmierć i narodziny spletają się w nierozwalny węzeł, a mimo to przez wieki utrzymywaliśmy, że wieczne jest tylko to, co niezmiennie. Im głębiej nasz umysł, biblijne serce, zanurza się w świat, tym więcej wiedzy i jeszcze więcej nowych pytań. Końca tej wędrówki nie widać i nie znać to, że pojękując, staczamy się w nicość. Wisława Szymborska: „Czemu ty się, zła godzino, / z niepotrzebnym mieszasz lękiem? / Jesteś – a więc musisz minąć. / Miniesz – a więc to jest piękne”. Chrześcijanie zaś uwzięli się, by „ów dzień”, czyli tzw. koniec, śmierć świata, przyspieszać.

Po modlitwie „Ojcze nasz” prosimy Boga, „abyśmy zawsze wolni od grzechu i bezpieczni od wszelkiego zamętu, pełni nadziei oczekiwali przyjścia naszego Zbawiciela, Jezusa Chrystusa”. Pełni nadziei, a więc bez strachu – choćby dlatego, że już niejednego koniec świata szczęśliwie przeżyliśmy. To Jezusowe przyjście (czy przychodzenie) odbywa się przecież nieustannie, gdyż Syn Człowieczy po Ojcu odziedziczył imię – JEST. Świat też jest, jaki jest, innego nie mamy. Nieba też nie ma co szukać w zaświatach: „Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do końca świata” – obiecał Jezus. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:

Determinacja miłości

Ci, którzy chcą
uniknąć zepsucia,
nie powinni modlić się
tylko od czasu
do czasu,
ale niech praktykują
modlitwę nieustanną
i strzegą umysłu.

DIADOCH Z FOTYKI



Jeśli dziesięć osób
chce wejść do domu,
ale tylko dziewięć
znajdzie się w środku,
dziesiąta niech nie mówi:
„Tak Bóg zrzędził”,
lecz niech zbada,
co sama zaniedbała.

RUMI



Wybrał PIOTR SIKORA



„W TYM CZASIE PRZY-
szli niektórzy faryze-
usze i rzekli do Jezu-
sa: Wyjdź i uchodź
stąd, bo Herod chce
Cię zabić. Lecz On im
odpowiedział: Idźcie i powiedzcie temu li-
sowi: Oto wyrzucam złe duchy i dokonuję
uzdrowień dziś i jutro, a trzeciego dnia
będę u kresu. Jednak dziś, jutro i pojutrze
muszę być w drodze, bo rzecz to niemoż-
liwa, żeby prorok zginął poza Jeruzalem.
Jeruzalem, Jeruzalem! Ty zabijasz proro-
ków i kamienujesz tych, którzy do Ciebie
są posłani” (por. Łk 13, 31-34a).

Jezus właśnie zaczął kolejny etap swej
drogi do Jerozolimy (zob. Łk 13, 21). Idzie
coraz szybciej, wywołując zdziwienie nie-
mogących za Nim nadążyć uczniów (por.
Mk 10, 32). Nic Go nie zatrzyma.

Nie są w stanie powstrzymać Go fary-
zeusze, przestrzegający przed Herodem,
który nie jest Mu przyjazny i będzie
chciał Go zabić.

Nie jest w stanie Go powstrzymać także
cała wiedza, jaką ma na temat samej Jero-
zolimy – Bożego Miasta, które raz po raz
stawia opór Bogu i morduje tych, których
On do niego posyła. Wie, że Jego zabije
również... Skąd więc u Niego taka deter-
minacja, by iść dalej? Co za przymus Go
ponagla („muszę być w drodze”)?

W greckim tekście mamy tu słowo: *dei*,
oddające wewnętrzne zobowiązanie

– powinność (od tego słowa pochodzi
nazwa „deontologia”, czyli nauka o po-
winnościach i obowiązkach): Jezus zmie-
rza do Jerozolimy, bo taki przeżywa we-
wnętrzny przymus. Nie może inaczej.
Jego miłość jest tego rodzaju, że nie wy-
starczy jej uzdrawianie i wyrzucanie
złych duchów. Swoją pełnię osiągnie ona
dopiero „trzeciego dnia” – w Jego Krzyżu,
śmierci i zmartwychwstaniu. Dla Jerozo-
limy. Dla nas. Dla wszystkich.

Jezusowa determinacja miłości zapra-
sza także nas do równie zdecydowanego
wejścia do wnętrza Kościoła. Do zaan-
gażowania się. Wzięcia na siebie właści-
wej sobie części odpowiedzialności. Nic
nie ma prawa nas zatrzymać. Ani lęk
przed zewnętrznymi wrogami („Hero-
dami”), drwiącymi z Kościoła, uderzają-
cymi weń przy każdej okazji. I bez okazji.
Ani też znajomość zła i grzechu panoszą-
cego się nierzadko wewnątrz Kościoła
– znajomość tych, którzy „zabijają” i „ka-
mienują”, stawiając opór Bogu, na któ-
rego się powołują...

Ani agresja z zewnątrz, ani grzech we-
wnątrz nie mogą mnie zatrzymać. Jeśli
tylko moja miłość do Kościoła – do Jezusa
żyjącego w Nim – ma osiągnąć swoją peł-
nię. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem
Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą.
Wydał wiele książek o historii, teologii
i duchowości.

CZYTANIA LITURGICZNE (10–17 XI)

32. niedziela zwykła: 1 Krl 17, 10-16;
Ps 146; Hbr 9, 24-28; Mk 12, 38-44;
Poniedziałek: Tt 1, 1-9; Ps 24; Łk 17, 1-6;
Wtorek: Tt 2, 1-8, 11-14; Ps 37; Łk 17, 7-10;
Środa: Tt 3, 1-7; Ps 23; Łk 17, 11-19;

Czwartek: Flm 7-20; Ps 146; Łk 17, 20-25;
Piątek: 2 J 4-9; Ps 119; Łk 17, 26-37;
Sobota: 3 J 5-8; Ps 112; Łk 18, 1-8;
33. niedziela zwykła: Dn 12, 1-3;
Ps 16; Hbr 10, 11-14, 18; Mk 13, 24-32.

PRODUKT KRAJOWY: BIEDA

Nie stał się „lekiem na spadek dzietności”, przestał też zapobiegać wzrostowi ubóstwa. Dwa i pół miliona Polaków w skrajnej nędzy i pół miliona zagrożonych głodem dzieci każe pytać o dalszy los 800 plus i o niewydolną pomoc społeczną.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



ZLIKWIDOWALIŚMY GŁODUJĄCE DZIECI” – gdy Marek Suski z PiS w lipcu ubiegłego roku wypowiadał w jednej ze stacji radiowych to anegdotalne zdanie (dopiero po chwili korygując jego wydźwięk), politycy formacji Jarosława Kaczyńskiego mogli jeszcze w miarę bezkarnie głosić tezę o zbawiennym wpływie działań swojej formacji na redukcję polskiego ubóstwa.

Podobnie było tuż przed wyborami: dostępne wówczas dane o biedzie nie zwiastowały katastrofy.

Wina Tuska czy Kaczyńskiego

Gdy w połowie października, a więc niemal dokładnie rok później, rozgłos w mediach zyskał raport „Poverty Watch” (dokument Europejskiej Sieci Przeciwdziałania Ubóstwu, zdający relację z rekordowo wysokich wskaźników polskiej biedy), politycy PiS zaczęli odruchowo wykrzykiwać: „Wina Tuska!”, „Niestety po roku od wygranych przez koalicję rządzącą wyborów Polakom nie żyje się łatwiej” – napisał na platformie X Michał Dworczyk.

Szybko jednak musiał swój wpis w półroczu kasować: eksperci od ubóstwa przypomnieli, że statystyczną skalę biedy poznajemy nie co miesiąc, ale raz w roku, i to z półrocznym opóźnieniem (alarmujące dane znane były już od końca czerwca, ale dopiero raport ESPU nadał im rozgłos). A skoro tak, to uchwyconą przez „Poverty Watch” sytuację da się czytać jak gorzką puentę rządów PiS.

Polityczną odpowiedzialność – do której jeszcze wrócimy, bo nie da jej się ograniczyć wyłącznie do działań jednej partii – zostawmy na boku. I spójrzmy na liczby, które nawet eksperci (a nie macherzy od internetowych nagłówków) opatrują dziś takimi przymiotnikami jak „alarmujące” czy „drastyczne”.

Niedostatek czy głód

Według „Poverty Watch”, raportu sygnowanego przez prof. Ryszarda Szarfenberga, czołowego badacza zjawiska ubóstwa – już dwa i pół miliona naszych rodaków żyje w skrajnej biedzie. Alarmujący jest wzrost w porównaniu z rokiem 2022 – o 800 tys. nowych skrajnie ubogich. Wzrosty widać także w grupach, o których przyzwyczailiśmy się myśleć,

że państwo powinno je otaczać opieką. Bieda skrajna wśród dzieci podskoczyła z 5,7 proc. w 2022 r. do 7,6 proc. w roku kolejnym, obejmując już ponad pół miliona najmłodszych, a wśród seniorów – z 3,9 proc. do 5,7 proc.

Podkreślmy: mowa nie o sferze niedostatku, a więc o osobach żyjących poniżej innego, wyższego progu – minimum socjalnego – pod którym znajduje się już 17 milionów Polaków (nie brakuje im może na jedzenie, ale na pewno na inne rzeczy: niektóre rachunki, edukację, rekreację czy wyjazdy wakacyjne). Mowa o tym, że mniej więcej co piętnasty Polak, w tym co trzynaste polskie dziecko, żyją w skrajnej biedzie. Czyli za mniej niż 913 zł miesięcznie dla gospodarstwa jednoosobowego i za niecałe 700 zł w gospodarstwach rodzinnych. Ten drugi wskaźnik oznacza, że za mniej niż trzy tysiące złotych czteroosobowa rodzina musi opłacić rachunki i czynsz, a także kupić jedzenie i ubrania – bez pomocy państwa to misja niemożliwa.

Inny głośny raport o ubóstwie, coroczny dokument Szlachetnej Paczki, pokazuje konkretne przypadki ludzi, którym nie starcza wręcz na jedzenie – choćby sportretowaną przed rokiem panią Marię, której po opłaceniu rachunków zostaje 2,60 zł dziennie. Pokazują to też statystyki, choćby te zamieszczone w najnowszym raporcie Federacji Banków Żywności, która sprawdziła sytuację 1,4 miliona Polaków korzystających z paczek żywnościowych. Tylko co czwarta osoba z tego grona deklarowała, że może sobie codziennie pozwolić na zjedzenie ciepłego posiłku do syta. Ponad 80 proc. pytanym przynajmniej raz w ostatnim roku odczuwało głód, a 56 proc. z nich z taką sytuacją mierzyło się regularnie.

Doświadczanie skrajnej biedy dłużej niż przez dwa miesiące zagraża – jak wskazuje „Poverty Watch” – zdrowiu fizycznemu. Oznacza też – by zacytować znowu Szlachetną Päckę – „powolne umieranie ciała i ducha. Odbiera ludziom marzenia, (...) pozbawia ich szacunku do samych siebie, brutalnie zabija pasję, wycofuje z relacji”.

Anomalia czy trend

Czy ten stan, dotyczący – powtórzmy – nowych 800 tys. Polaków w ciągu ledwie jednego roku, to jednoroczna anomalia, czy trend? – Tak skokowych wzrostów nie mieliśmy od dawna, dlatego hipoteza anomalii jest warta rozważenia – mówi

w rozmowie z „Tygodnikiem” prof. Szarfenberg. – Można mówić o zjawisku zwanym z angielska *perfect storm*, czyli o katastrofie będącej wynikiem kumulacji wielu czynników. Mieliśmy skokowy wzrost inflacji, bardzo niski wzrost gospodarczy i konsekwencje obecności ponad miliona uchodźców z Ukrainy, również dotkniętych skrajnym ubóstwem i bezdomnością. W dodatku w 2023 r. nie było jeszcze podwyżki świadczenia 500 plus, ani wzrostów zasiłków rodzinnych dla ubogich rodzin, czy też zasiłków z pomocy społecznej.

Zwłaszcza to ostatnie musi zrobić wrażenie na osobach niezających realiów polskiego systemu pomocy społecznej. Utrzymanie bez zmian przyjętych jeszcze w 2021 r. progów zasiłkowych na poziomie 776 zł dla osoby samotnej i 600 zł na głowę w rodzinie, doprowadziło w 2023 i 2024 r. do sytuacji kuriozalnej – w Polsce żyje cała armia ludzi w skrajnej biedzie, których dochody są równocześnie „za duże”, by otrzymać zasiłek.

Ile jest takich osób? – Około półtora miliona – odpowiada prof. Szarfenberg. – I mimo że to wielki skandal, w polskich mediach i polityce jest o tym raczej cicho. Większy hałas był w 2009 r., gdy rządziła koalicja PO-PSL, i gdy świadomie zamrożono kryteria dochodowe dla pomocy społecznej. Wtedy kontekstem był jednak światowy kryzys. Nałożono też na Polskę procedurę nadmiernego deficytu, więc ministerstwo finansów cięło po wszystkim, po czym się dało. W tym po zasiłkach dla ubogich.

W ostatnich latach, dodaje autor raportu „Poverty Watch”, tym kontekstem jest świadczenie 500 plus, zwiększone niedawno do 800 plus. – I przekonanie, że program ten niweluje znacznie ubóstwo. W oparciu o to właśnie przekonanie PiS zamroził zasiłki rodzinne, wypłacane w niezmiennionej wysokości od 2016 r., a także te z pomocy społecznej, podnoszone ostatnio w 2021 r. Władza ma co prawda obowiązek weryfikować je co trzy lata, ale nikt rządowi prawicy nie zabraniał robić tego częściej. PiS z tej możliwości nie skorzystał.

Efekt? Polska pomoc społeczna przez lata wzrastających cen i zarobków, za to stojących w miejscu zasiłków stawiała się stopniowo systemową wydmuszką. Inny badacz ubóstwa i wykluczenia, ekonomista SGH prof. Paweł Kubicki mówił na naszych łamach kilka miesięcy temu, że →

→ polski system pomocy zbliżył się do modelu, w którym jedyną ambicją państwa jest nie dać ludziom umrzeć z głodu.

Czy nowy rząd zrobił cokolwiek, by to zmienić?

Podwyżka czy rekompensata

Do poprawy nie przyczyni się na pewno zamrożenie na kolejne trzy lata i tak niskich zasiłków dla ubogich rodzin. „Podwyżkę” 500 plus o 300 zł – pokłosie decyzji poprzedniej ekipy – można z kolei uznać za jedynie częściową waloryzację tracącego z roku na rok na wartości świadczenia. Nie inaczej jest z podwyższeniem progów dochodowych dla zasiłków z pomocy społecznej – nowy rząd zrobił to, do czego zobowiązywała go ustawa.

Podwyżka ta, która zacznie obowiązywać od 1 stycznia 2025 r., w opinii wielu ekspertów jest niewystarczająca. Dla osoby samotnej próg wzrośnie do 1010 zł, dla osoby w rodzinie do 823 zł. Oznacza to, że Polak, którego dochód nie przekracza miesięcznie wyznaczonych progów, może otrzymać od państwa finansową pomoc (np. zasiłek stały, który od stycznia wyniesie maksymalnie 1229 zł).

„Ta podwyżka nie jest ani specjalnie wysoka, ani nie stanowi wyrazu hojności rządu. Ale gdyby nie nastąpiła, za chwilę prawie nikt w Polsce nie byłby uprawniony do otrzymania wsparcia z systemu pomocy społecznej” – mówił „Tygodnikowi” prof. Kubicki, dodając, że polskie państwo musi wreszcie podjąć strategiczną decyzję. Czy ma tylko udaremniać głodową śmierć swoich obywateli, czy może na serio przejąć się wypełnianiem deklarowanego przecież celu – wyciągania ludzi z biedy?

Mgliste informacje o tym, co planuje w tej mierze rząd Donalda Tuska, nie dają na to pytanie odpowiedzi. Jak mówi prof. Szarfenberg, w Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej powstał zespół, który pracuje nad reformą systemu. – Doszliśmy już do rekomendacji – ujawnia badacz, który został do tego zespołu doproszony. – Po pierwsze, weryfikacja progów ubóstwa musi następować co roku, a nie co trzy lata. Po drugie, kryteria mają być oparte na dużo wyższej podstawie. Chodzi o to, by już nigdy nie dopuścić do sytuacji, w której osoba w skrajnej biedzie jest „zbyt zamożna” na zasiłek.

To jednak na razie tylko rekomendacje ekspertów, a nie decyzje rządu. – Wola

W Polsce żyje armia ludzi w skrajnej biedzie, których **dochody są „za duże”, by otrzymać pomoc.**

polityczna w ministerstwie rodziny jest – zapewnia prof. Szarfenberg. – Pozostaje pytanie, czy w związku z procedurą nadmiernego deficytu resort finansów nie zażąda już od 2026 r. „zaciskania pasa” i pierwszymi tego ofiarami nie staną się najbiedniejsi. W przypadku potrzeb armii mamy wyraźną wolę polityczną: pieniądze mają być i już. Ale głodne dzieci czy seniorzy to nie czołgi ani drony – tu może być problem.

Co dalej z 800 plus?

Choć spojrzenie na poszczególne punkty budżetu pokazują, że tego problemu być nie powinno. Podczas gdy świadczenie 800 plus – powszechne dla osób z dziećmi – będzie kosztowało w tym roku państwo niemal 64 mld zł, na podstawowe zasiłki z pomocy społecznej wydajemy około... półtora miliarda. Jeśli doliczyć do tego zasiłki rodzinne dla ubogich rodzin i dodatki do nich, to koszt świadczeń urosnie do ponad 3,5 mld zł, stanowiąc nadal mniej więcej jedną dwudziestą puli przeznaczanej na 800 plus.

Nie da się w tym kontekście pominąć pytania: czy proporcja pomiędzy powszechnie dostępnym świadczeniem a zasiłkami dla najbiedniejszych nie została w Polsce patologicznie zaburzona? I czy cytacja polityków przy okazji zmiany 500 plus na 800 plus przed wyborami służyła komuś poza samymi politykami?

– Byłem wówczas zwolennikiem pozostawienia 500 plus na tym samym poziomie i przeznaczenia zaoszczędzonych w ten sposób środków na wysokie wzrosty zasiłków dla ubogich rodzin – mówi prof. Szarfenberg. – Tylko wtedy moglibyśmy zmniejszać nierównowagę między świadczeniami wypłacanymi bez względu na dochody, a tymi, które trafiają do najbardziej potrzebujących. Teraz równowagi nie ma: na te pierwsze budżet wyda dziesiątki miliardów, a drugie pozostają w zamrożeniu lub są podwyższane, ale za mało.

Dziś żaden polityk nie zdecydował się na obniżkę 800 plus, może więc warto rozważyć odcięcie od niego najbogatszych?

– Jestem przekonany, że to świadczenie, które początkowo wynosiło 37 proc. płacy minimalnej netto, jest tak hojne właśnie dlatego, iż jest powszechne – mówi prof. Szarfenberg. – Gdyby zmieniła się jego formuła, politycy od razu zaczęliby mówić, że „państwa nie stać”. Jeśli więc zmiana, to nie na formułę „800 plus dla najuboższych”, tylko co najwyżej „nie dla najbogatszych”. Tyle że wtedy należałoby rozstrzygnąć, gdzie ustawić próg odcinający zamożnych.

Zwolennicy takiego rozwiązania musieliby się pewnie znowu zmierzyć z argumentem, że koszt samej weryfikacji progów dochodowych i wniosków może przekroczyć zaoszczędzoną z tytułu jego wprowadzenia sumę. Ale wedle prof. Szarfenberga ten akurat powód traci dziś na sile: dane różnych urzędów mogą być ze sobą łączone w celu weryfikacji dochodów, dlatego odcięcie najbogatszych Polaków od 800 plus nie byłoby ani trudne, ani drogie. – Jeśli jednak pyta pan o moje zdanie, jestem zwolennikiem utrzymania powszechności tego świadczenia – mówi badacz. – Rozważyłbym natomiast wprowadzenie zasady, że im rodzina zamożniejsza, tym świadczenie niższe. Byłoby ono nadal powszechne, ale wsparcie zwiększałoby się wraz ze zmniejszaniem się dochodu. To też wymagałoby ustalenia progów, ale nie po to, żeby odcinać kogoś od wsparcia. W ten sposób można by też zintegrować 800 plus z zasiłkami rodzinnymi.

Inne recepty proponują autorzy wydanej niedawno książki „Nierówności po polsku” (Wydawnictwo Krytyki Politycznej). Michał Brzeziński, Paweł Bukowski i Jakub Sawulski piszą nie tyle o biedzie, co o rozwarstwieniu, pokazując, dlaczego oficjalne statystyki zafałszowują obraz naszych nierówności, i obalając mit Polski jako kraju o umiarkowanych nierównościach. Dają też konkretne pomysły „na bardziej równościową politykę publiczną w Polsce”. To m.in. powszechny i bezpłatny dostęp do żłobków, darmowe obiady w szkołach dla wszystkich dzieci, kapitał startowy dla młodych ludzi i zmiana systemu podatkowego.

Na razie to tylko postulaty. W świecie polityki problem biedy – choć i tak nieco lepiej słyszalny niż w latach 90. – przebija się z trudem. Jeśli więc za rok zobaczymy niższe wskaźniki polskiego ubóstwa, nie stanie się tak raczej z powodu działań polityków. ©PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



Rafał Trzaskowski i Radosław Sikorski podczas spotkania w ramach Campusu Polska Przyszłości. Olsztyn, 31 sierpnia 2021 r.

Będzie druga tura

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Zagęszcza się atmosfera wokół wyborów prezydenckich. Poza Konfederacją, która już w sierpniu wskazała Sławomira Mentzena, żadne z ugrupowań nie dokonało jeszcze wyboru. Wszystkie mają z tym ogromny problem.

OFICJALNEGO KANDYDATA NIE MA nawet Koalicja Obywatelska, choć mogłoby się wydawać, że wystawienie Rafała Trzaskowskiego jest niemal pewne. Sytuację zmieniło jednak ogłoszone przez Donalda Tuska zaostrenie polityki azylowej rządu, sugerujące poszukiwanie nowych wyborców, a więc skręt całej koalicji w prawo i wolę postawienia na bardziej konserwatywnego Radosława Sikorskiego. Szef MSZ ostatnio dwoił się i troił, by pokazać się na wielu polach w roli męża stanu.

Sikorskiemu zaszkodził jednak apel ze strony Władysława Kosiniaka-Kamysza, by cała koalicja 15 października wystawiła wspólnego kandydata. Szef PSL uważa bowiem, że rywalizacja między politykami wywodzącymi się z sojuszniczych ugrupowań zagrazi spójności rządu. Donald Tusk natychmiast odrzucił taką możliwość

– podobne porozumienie może obowiązywać, ale dopiero w drugiej turze.

Według kulisowych informacji autorem całej koncepcji był wicemarszałek Senatu Michał Kamiński, który w ten sposób chciał wypromować kandydaturę Sikorskiego. Wraz z Romanem Giertychem od lat tworzą wspólnie tercet przyjaciół, aspirujących do wpływu na polską politykę. Sikorski jest ponadto jedynym obok Tuska kandydatem, wywodzącym się z PO, którego PSL w ostateczności mogło zaakceptować w sytuacji rosnących obaw o wynik domniemanego kandydata Trzeciej Drogi, Szymona Hołowni. Jednak dla liderów Platformy cała akcja była wyjątkowo czytelna i bardziej zaszkodziła, niż pomogła szefowi MSZ.

Również wewnętrzne sondaże cały czas dają Trzaskowskiemu przewagę nad Sikorskim. Kandydata PiS pokonuje w nich w stosunku 53 do 36 proc., podczas gdy szef MSZ – tylko 42 do 40 proc. I dlatego nasi informatorzy z PO są na 99 proc. pewni, że 7 grudnia Tusk wskaże Trzaskowskiego.

Dylematy Kaczyńskiego

Dużo większy zamęt panuje w szeregach PiS, gdzie zrezygnowano z partyjnych wyborów, bo prezes obawiał się utraty pełnej kontroli nad procesem selekcji. Nadal formalnie w grze są Tobiasz Bocheński, Mariusz Błaszczak, Karol Nawrocki i Przemysław Czarnek. O wyborze ma zdecydować szereg wewnątrzpartyjnych badań, ale już dziś od polityków PiS można usłyszeć, że największe szanse ma były minister edukacji i nauki. Ma najsilniejsze poparcie w elektoracie partii, jest też najbardziej wyrazisty i rozpoznawalny (choć zarazem nieakceptowalny dla wielu centrowych wyborców, bez których trudno o sukces).

Czarnek już praktycznie rozpoczął kampanię, wyraźnie też złagodził ton wypowiedzi, odchudził się i zapowiedział objazd kraju. Tak naprawdę jedynym jego rywalem mógłby być Mateusz Morawiecki. Ma zarówno pieniądze, co w partii pozbawionej przez PKW subwencji ma znaczenie, jak i swoją zwartą frakcję, a także poparcie prezydenta. Jednak starzejący się Kaczyński na niego nie postawi, ponieważ obawia się, iż Morawiecki, działając w porozumieniu z Andrzejem Dudą, mógłby w przypadku dobrego wyniku próbować przejąć partię. Ze strony indywidualisty Czarńka nie ma takiego zagrożenia.

Faworyci z KO i PiS będą oczywiście mieli w pierwszej turze rywali. Jednym z nich może zostać marszałek Sejmu Szymon Hołownia, który choć ma coraz mniejszą ochotę na kandydowanie, zapewne będzie musiał wystartować. Jeśli nie przekona przynajmniej 13 proc. wyborców (jak w 2020 r.), może to być polityczny koniec i jego, i sojuszu Polski 2050 z PSL.

Radykałowie na rozdrożu

Z wyborami prezydenckimi ma też problem lewica, choć paradoksalnie niedawne przejście do twardej opozycji ze strony partii Razem (i zerwanie z obecną w rządzie Nową Lewicą) poprawiło sytuację, bo zwiększyło szanse na nominację popularnej wicemarszałek Senatu Magdaleny Biejat. Była ona nie do zaakceptowania jako przedstawicielka Razem, ale dziś jest dysydentką z tej partii. Zarazem inną poważną kandydatką – minister rodziny i pracy Agnieszka Dziemianowicz-Bąk – nie pali się do startu.

Po drugiej stronie politycznej sceny kandydat Konfederacji Sławomir Mentzen nie zyskał na razie zbyt wielu profitów z wczesnego zgłoszenia – według sondaży ma poparcie rządu 8 procent. Można usłyszeć o scenariuszu, w którym ostatecznie zostanie on podmieniony na znacznie popularniejszego Krzysztofa Bosaka. Dzięki temu Konfederacja uzyska lepszy wynik i zarazem atrakcyjną pulę głosów „do sprzedania” w drugiej turze.

Czy będzie ona wystarczająca, by Czarnek miał szanse pokonać Trzaskowskiego? Dowiemy się o tym zapewne 1 czerwca 2025 r. Wiele wskazuje bowiem na to, że marszałek Hołownia wyznaczy pierwszą turę wyborów prezydenckich na niedzielę 18 maja. ©P



Smartfon na pełen etat

MAŁGORZATA NOCŮ

Dzieci potrafią zapytać, czy kota da się zmierzyć w minutach, albo uwierzyć w stwory żywiące się kurczem. Siła ich wyobraźni jest nieograniczona. Niestety, współczesny świat, którego symbolem stał się kolorowy ekran, bardzo ją otepia.

KWESTIA MIERZENIA KOTA PRZY pomocy zegarka padła podczas spotkania z Agatą Romaniuk, autorką opowieści o „Kociej szajce”. Wielotomowa bajka podbiła serca najmłodszych, a autorka – podczas spotkań z czytelnikami – poznała dogłębnie świat dzieci. Przekonała się, że nie ma w nim trwałych reguł ani praw fizyki, i właściwie wszystko jest możliwe.

Najmłodsi z nas posiadają unikalną zdolność posługiwania się tzw. myśleniem rozbieżnym. Pojęcie to zdefiniował w 1968 r. Joy Paul Guilford, amerykański psycholog i pedagog. Ów typ myślenia charakteryzuje ludzi twórczych i umożliwia im znalezienie kilku rozwiązań danego problemu. Zdaniem Magdaleny Ne-

storowicz, terapeutki zaburzeń integracji sensorycznej, dzieci są tu „prawdziwymi poszukiwaczami alternatyw”, ponieważ poznają świat dzięki ciekawości, radości i wyobraźni. Nestorowicz podkreśla, że „myśleniem rozbieżnym” posługuje się aż 98 proc. dzieci w przedziale wiekowym 3-7 lat, jednak już wśród piętnastolatków ta umiejętność cechuje ledwie 2 proc. z nich.

Dlaczego dzieci w procesie dorastania tracą naturalną zdolność do zadawania pytań, interesowania się i zachwycania światem? Dlaczego rzeczywistość traci z czasem swą bajkowość i czar oraz powszedniość? Psychologowie dziecięcy są zgodni: odpowiedź leży po części w modelu wychowania, w którym coraz mniej

miejsca jest dla swobodnej zabawy z rówieśnikami i... nudy. Winny jest także model edukacji, polegający na dość bezrefleksyjnym, pamięciowym uczeniu się pod kątem testów. Kolejny czynnik wymienia Nestorowicz: dzieci i młodzież – za przyzwoleniem rodziców – coraz częściej wybierają zabawy schematyczne, a wiele z nich jest uzależnionych od elektronicznych gadżetów. Z raportu „Nastolatki 3.0” Państwowego Instytutu Badawczego NASK wynika, że przeciętny nastolatek spędza przed ekranem komputera lub smartfona ok. 44 godziny w tygodniu.

To więcej niż pełnoetatowa praca.

„Kry-sia! Do domu!”

„Jest takie zwykłe” – pomyślała Krystyna spojrzawszy na podwórko przed blokiem, w którym mieszkała jako dziewczynka. Od kilkunastu lat niewiele się tu zmieniło. Ujrzała ten sam trawnik, który nazywały z przyjaciółkami „łąką”, drzewa i krzewy też rosły w najlepsze. Wycięto jedynie płaczącą wierzbę, która przed laty udawała górski szczyt, a kosztem starej piaskownicy poszerzono parking. Przywołując wspomnienia Krystyna nie mogła uwierzyć, że kiedyś podwórko „przemieniało się”, w co tylko ona i jej przyjaciółki sobie zażyły. Kiedy bawiły się w dom, w myślach „budowały” pokoje pomiędzy krza-

kami, za stół i krzesła służyły kamienie, talerzami były kawałki drewna. Zakupy robiły zaś w „sklepie”, który oferował podstawowe produkty: kawałek uschniętego konara służył za bochenek chleba, piasek za mąkę. „Płaciło się” pieniędzmi z liści – wartość waluty zależała od ich wielkości.

Na podwórku każdy miał swoje tajemnice. Krystyna po cichu robiła aniołki, po czym umieszczala je w niewielkim dołku, dodawała kwiaty, przykrywała kawałkiem znalezionej szkiełka, przysypywała. Aniołek był jak talizman, strzegł przed złymi mocami. Kiedy nadchodził zmierzch, mama Krystyny wychylała się przez okno i krzyczała: „Kry-sia! Do domu!”. Kiedy dziewczynka przekraczała próg mieszkania, matka czasem się irytowała: „Żebyś ty choć raz wróciła na czas i choć raz była czysta”.

– Niekiedy mama podnosiła głos, ale ja i tak byłam przeszczęśliwa. Podczas zabawy na podwórku czułam, że wszystko jest możliwe, że jestem księżniczką, młodą mamą, baletnicą. Podwórko miało dla mnie magiczną moc. W dorosłym życiu taki przypływ radości dawały mi chyba tylko górskie eskapady – wspomina Krystyna.

Dzieciństwo Krystyny przypadło na lata 80. XX wieku. Dzieci rzadko przynosiły wtedy na podwórko swoje zabawki (bo miały ich niewiele), a jeśli już – prawie zawsze była to piłka albo guma do skakania. Te mniejsze brały ze sobą łopatki i wiaderka. Resztę rzeczy do zabawy trzeba było znaleźć, stworzyć albo sobie wyobrazić.

Kiedy przychodziła jesienna słota, więcej czasu spędzało się w domu. Maja (rocznik 1972) wspomina, że jej pokój – liczący dziewięć metrów kwadratowych – przemieniał się w górką wioskę. – Rodzice mówili mi, że mogę robić, co tylko zapragnę, jeśli po skończonej zabawie posprzątam – opowiada Maja. Pod biurkiem, przy pomocy rozstawionych szeroko krzeseł i koca, powstawał namiot. Maja – razem z rodzeństwem – urzędowała w nim cały dzień. W namiocie dzieci jadły, a nawet odrabiały lekcje.

Pod ciągłym nadzorem

Współcześnie miejskie dzieci bawią się najczęściej pod okiem rodziców, patrząc w ekran smartfona lub komputera, gdzie wszystko podane jest „na tacy”. Minęły czasy klucza na szyi i beztróskiego hasa-

nia po okolicy. W opinii duńskiego psychologa, Jespera Juula, autora książek na temat wychowania, brak swobodnej zabawy stanowi jedną z największych traum najmłodszych. Bez niej wyobraźnia umiera. W wywiadzie-rzecz „Przestrzeń dla rodziny” Juul mówi: „Największą stratą dla dzieci w ostatnim trzydziestoleciu jest fakt, że nie istnieje dla nich żadna przestrzeń wolna od dorosłych. Nie ma już drzewa na podwórku, gdzie mogłyby przebywać same. Dawniej dzieci kształtowały swoje kompetencje społeczne w zabawie i komunikacji z innymi dziećmi. Takiej możliwości już prawie nie mają, bo nawet kiedy są razem, to dookoła stoją dorośli, którzy się do wszystkiego wtrącają”.

Ciągły rodzicielski dozór dewastuje wyobraźnię. Psycholożka Justyna Pięta uważa, że opiekunowie zbyt często mówią dzieciom, w co i w jaki sposób powinny się bawić, przez co trudniej wychodzić im poza określone przez opiekunów ramy, a tym samym zaspokajając głód twórczej zabawy i twórczych opowieści. Agata Romaniuk przekonała się o tym, będąc „panią wieczorynką, która opowiada improwizowane bajki na życzenie”.

– Dzieci bardzo rzadko chciały usłyszeć bajki standardowe: o księżniczce, syrence, smoku czy wyścigach samochodowych. Pragnęły opowieści o stworach, które karmią się kurzem, czy kostce lodu, która za nic nie chciała się rozpuścić w wodzie – opowiada autorka „Kociej szajki”.

Wszecobecna kontrola rodzicielska wiąże się z pozbawianiem dzieci ruchu. Na podwórko samemu wyjść raczej nie można, zresztą zazwyczaj jest tam pusto. W dodatku najlepiej, by było się „czystym” i „cichym” – zamiast drzeć się ganiając wokół bloku, jak w czasach PRL. Opiekunowie uważają też, że ich pociechy nie powinny „tracić czasu”. Każde zajęcie powinno nieść ze sobą korzyść, dlatego wiele dzieci codziennie uczęszcza na zajęcia pozalekcyjne.

Magdalena Nestorowicz podkreśla, że dzięki wspólnym, spontanicznym zabawom ruchowym najmłodszy uczą się funkcjonowania w relacjach społecznych, rozwijają twórcze myślenie, rozładowują napięcie i wyciszają się. Brak ruchu powoduje zaburzenia integracji sensorycznej – mózg dziecka nie radzi sobie z uporządkowaniem nadmiaru informacji, których dostarczają mu zmysły. Maluch staje się nadpobudliwy, a nawet agresywny.

Czasy nadmiaru

Anna postanowiła wychowywać swoją córkę w duchu pedagogiki Juula. Spędzała z nią czas na spacerach w lesie, podczas których organizowały biwak bądź „wspinaczki na Mount Everest”. Zauważyła, że dziewczynka bawi się z przyjemnością także w domu: tym, „co akurat leży na stole”. Za figurki dwóch rozmawiających kobiet służyły jej np. łyżeczki do herbaty, które ubierała w spódnice z papierowych serwetek. Ale kiedy poszła do przedszkola, zaczęła pytać mamę, dlaczego rówieśnicy mają dużo zabawek, a ona nie ma ich praktycznie wcale. By dziecko nie czuło się gorsze, Anna kupiła jej drewniany domek dla lalek.

– Był piękny – opowiada. – Sama marzyłam o takim w dzieciństwie.

Domek miał dwa piętra, a każdy pokój wyposażono w miniaturowe mebelki. Zaraz po otrzymaniu zabawki córka była nią zachwycona, ale radość ta szybko przerodziła się w znudzenie. Domek wyładował w kącie i zaczął obrastać kurzem. – Był zbyt dosłowny, nie pozostawiał przestrzeni dla wyobraźni. Żeby z niego korzystać, córka musiała wejść w schemat zabawy wymyślony przez producenta. Nie chciała tego – opowiada Anna.

Pedagożka Justyna Sieradzka, także na podstawie swoich obserwacji podczas pracy w szkole, twierdzi, że dzieci żyją współcześnie w czasach nadmiaru. Ich pokoje pękają w szwach od zabawek, gier, ilustrowanych książek. Niewiele jest jednak zabawek, które można wykorzystać w sposób twórczy, coś przy ich pomocy stworzyć, zbudować. Dużo częściej można spotkać te z instrukcją dokładnie określającą, w jaki sposób je wykorzystać. Rozwinięty jest co prawda rynek księgarski, ale i książki powinno się wybierać w sposób odpowiedzialny, zbyt bogate w ilustracje mogą uśpić umysł.

– Historia przedstawiona w książce powinna rodzić się w wyobraźni, nie powinny wyręczać jej ilustracje. Dziecko ma raczej zamknąć oczy i „zobaczyć” świat, o którym czyta mama bądź tata – mówi Sieradzka.

Rodziców często drażni, a niekiedy wręcz wpędza w poczucie winy widok dziecka snującego się po mieszkaniu i mówiącego: „Nudzę się”. Wiele matek i ojców czuje się w obowiązku czymś je zająć, zainteresować. Każda zabawa winna służyć rozwojowi, zdobywaniu nowych

→ kompetencji. Tymczasem Sieradzka uważa, że najbardziej twórcze zabawy rodzą się właśnie z nudy. Dorosli nie powinni także ingerować, kiedy dzieci „ponosi wyobraźnia” – wymyślają sobie nieistniejących przyjaciół (czasem są to ludzie, czasem zwierzęta lub bajkowe postaci), opowiadają o „przygodach”, które z nimi przeżyły, albo uczą się wymyślnego przez siebie języka. Najmłodszy w myślach konstruuje sobie wtedy bezpieczny świat, szukając rozwiązań trapiących je problemów, osiągając ukojenie.

Właśnie dlatego obowiązujący u nas system edukacji, oparty na uczeniu się do testów, staje się wrogiem wyobraźni, przez co dzieci zamykają się na różnorodność interpretacji (np. podczas omawiania lektur szkolnych, dyskusji na temat zjawisk historycznych). Współczesna szkoła uczy myślenia schematycznego, mieszczącego się w ściśle określonych ramach. Bywa, że zadawanie pytań lub myślenie twórcze jest wręcz karane, ponieważ nie mieści się w kluczu odpowiedzi, przewidzianym dla testu.

Życie uwięzione w sieci

W obecnym świecie już niemowlęta – „by grzecznie jadły” albo „ładnie umyły zęby” – oglądają bajkę na ekranie. Widok siedzącego w wózku malucha, wpatzonego w smartfona mimo hałasu w autobusie, stał się powszechny. Justyna Pięta wyjaśnia, że oglądając kreskówkę maluch odczuwa dużą przyjemność dzięki wytwarzanej przez mózg dopaminie. Dziecko nie będzie chciało później rezygnować z takiego doznania i może szybko uzależnić się od urządzeń elektronicznych.

Tak było w przypadku Lilianny, która wykrzyczała do rodziców: „Jeśli zabierze mi telefon, stracę wszystko!”. Dziewczynka nie mogła się uspokoić, zanosząc się płaczem. Smartfona otrzymała w wieku dziesięciu lat, ale miał on służyć raczej rodzicom – do kontroli córki podczas jej powrotów ze szkoły. Szybko zauważyli, że dziewczynka sięga po aparat bez wyraźnej potrzeby. Nie raz przyłapali ją ukrytą pod kołdrą, gdzie bez ustanku

Bawią się najczęściej pod okiem rodziców, patrząc w ekran smartfona lub komputera.

Minęły czasy klucza na szyi, piłki, gumy do skakania i beztróskiego hasania po okolicy.

przeglądała media społecznościowe. Po smartfona chciała sięgać nawet podczas posiłków, a w szkole siedziała jak na szpilkach – regulamin placówki mówi, że na czas lekcji uczniowie muszą zostawić urządzenia elektroniczne w szafkach.

– Przeraziłem się, gdy odkryłem, że córka spędza w sieci nawet osiem godzin dziennie – opowiada ojciec Lilianny, który zauważył, że ma z Lilą utrudniony kontakt. Wtedy też na jej telefon ściągnął aplikację mierzącą czas spędzony online i pokazującą historię odwiedzanych stron. Dzięki temu dowiedział się, że córka niemal bez ustanku rozmawia z rówieśnikami przy pomocy komunikatorów internetowych, słucha muzyki albo przegląda sklepy internetowe z kosmetykami i odzieżą.

– Gdybym mógł cofnąć czas, nie pozwoliłbym jej korzystać z telefonu tak wcześniej – przyznaje. Twierdzi też, że „życie w sieci” zupełnie zmieniło jego dziecko. Lilianna praktycznie przestała spotykać się z rówieśnikami, w miejsce spacerów z koleżankami i gier planszowych pojawiły się rozmowy przez internet (często prowadzące do kłótni), a po nich złe emocje. Dziewczynka zarzucała chodzenie na basen. Na każdą propozycję wyjścia z domu odpowiadała: „To jest nudne”. Nudne stały się: place zabaw, muzea, weekendowe warsztaty organizowane w ukochanym dawniej kinie.

W końcu ojciec Lilianny postanowił poruszyć problem uzależnienia dzieci od

urządzeń elektronicznych na szkolnym zebraniu. Tylko kilkoro rodziców ze zrozumieniem pokiwało głowami, reszta się zachnęła. „Takie są teraz czasy” – usłyszał. Albo: „Przecież dziecku można wyznaczyć limit korzystania z sieci. Moje ma. Tylko pięć godzin dziennie!”.

Rodzice mieli nadzieję, że Lilianna zrezygnuje ze smartfona na wakacjach u babci. Uwielbiała tę górską wioskę i nigdy nie pozwalała zagonić się do łóżka przed zachodem słońca. Kiedyś godzinami biegała z kuzynostwem po ogrodzie. Bawili się w berka, budowali domek na drzewie, w strumieniu urządzali morze. Wchodząc do domu mówiła z wypiekami na twarzy: „Jestem głodna! Nie mam siły na kąpiel!”. Niestety, również na wsi Lilianna miała do rodziców tylko jedno pytanie: „Kiedy dostanę telefon?”.

Mądrość sowy

Tomasz Stawiszynski, filozof i publicysta, napisał z myślą o dzieciach książkę „Misja Sowy”. Jest ona hołdem złożonym wyobraźni, zachętą do poznawania świata dzięki lekturom. Jej bohaterami jest rodzeństwo – Tosia i Franek, które gubi się w centrum handlowym. Trafiają do „Bardzo Dziwnego Sklepu”, w którym dzieci podejmuje tytułowa Sowa. By odnaleźć rodziców, Tosia i Franek muszą odbyć długą podróż, zagłębić się w świecie fantazji. Przekonują się, że coraz więcej ludzi „spędza dnie i noce z nosami w telefonach komórkowych i tabletach”, przez co nie dostrzegają otaczającego je świata.

Po lekturze „Misji Sowy” nasuwa się pytanie, czy wychowywanie dziecka bez dostępu do telefonu komórkowego jest w ogóle możliwe? W każdym domu sięga się po niego, by „szybko coś sprawdzić”; nawet by przekonać się, jaka jest temperatura powietrza, mimo zawieszonego przy oknie termometru. Terapeuci dziecięcy są tu zgodni: prawdziwą sztuką jest nauczenie dziecka umiejętnego korzystania z urządzeń elektronicznych. Wy tłumaczenie mu, że elektronika nie może zastępować książek, że informacje zawarte w sieci bywają zmanipulowane lub wręcz fałszywe. Ale by ten efekt osiągnąć, trzeba z dzieckiem przebywać nie tylko ciałem, lecz też duchem. A przede wszystkim rozmawiać i słuchać. Czy jeszcze sami to potrafimy?

© MAŁGORZATA NOCUN

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

Student podnosi głowę

ALEKSANDRA TARAN

Przebudzili się, by zaważczyć o uniwersytety, które nie mają służyć kadrze profesorskiej, rankingom i zyskom, ale całemu społeczeństwu. Czy obecny rok akademicki będzie przełomowy?

W POWSZECHNEJ ŚWIADOMOŚCI zakorzeniło się wiele mitów na temat studentów i ich codziennego życia. Można wybierać pomiędzy roszczeniowymi leniami a głośnymi imprezowiczami, chociaż najłatwiej jest te dwie figury po prostu połączyć. To jednak bardzo uproszczony i nieprawdziwy wizerunek – zarówno dziś, jak i w przeszłości. Polscy studenci wielokrotnie inicjowali protesty poruszające fundamentami społeczeństwa, nie bojąc się ryzyka i stając się prekursorami pokoleniowych przemian. Tak było zarówno w roku 1968, jak i pod koniec PRL, gdy powstało Niezależne Zrzeszenie Studentów, wywalczone podczas akademickich strajków, a potem mocno dające się we znaki komunistycznej władzy.

Przebudzenie po latach

Ustrój się zmienił, a NZS dziś jest jednym z elementów uniwersyteckiego establishmentu, coraz mniej kojarząc się z politycznym zaangażowaniem studentów i organizowaniem strajków. Zresztą, te ostatnie zostały mocno ograniczone ustawą, która co prawda gwarantuje prawo do legalnych protestów, ale tylko samorządom studenckim, Parlamentowi Studentów RP oraz stowarzyszeniom zrzeszającym wyłącznie ich, czyli *de facto* gremiom mocno powiązanym ze strukturami uczelni.



JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Okupacja Domu Studenckiego UJ „Kamionka”. Kraków, 20 maja 2024 r.

Na pierwsze duże protesty akademickie w III RP musieliśmy czekać aż do roku 2018, kiedy to doszło do strajków przeciwko tzw. ustawie Gowina. Podobnie jak za najlepszych czasów NZS, przeciwnikiem była wówczas władza centralna, a wsparcie studentom okazywali pracownicy akademicki oraz władze uczelni, które albo na te protesty przyzwalały, albo nawet je aktywnie wspierały.

Akcja studencka zakończyła się fiaskiem, lecz przyczyniła się zarazem do budowania świadomości. Pojawiły się pomniejsze inicjatywy, choćby „Uniwersytet Zaangażowany”, który na Uniwersytecie Warszawskim sprzeciwił się nowym zapisom regulaminu studiowania, wprowadzającym dodatkowe opłaty dla studentów. Niestety, grupę tę spotkał los podobny do wielu innych niesformalizowanych inicjatyw. Aktywiści wypalili swoją energię albo przestali studiować.

Bronimy akademików

Na tym tle poprzedni rok akademicki (2023/2024) był swoistym przebudzeniem i obfitował w wystąpienia skierowane nie przeciwko politykom, ale władzom uniwersyteckim. Zaczęło się od grudniowego strajku okupacyjnego w poznańskim akademiku „Jowita”, który zakończył się sukcesem: rozmowami studentów z ministrem nauki Dariuszem Wierzbickim i deklaracją rezy-

gnacji ze sprzedaży akademika. Protest prowadzony przez działaczy Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Inicjatywa Pracownicza nawiązywał w swojej formule do strajkowych tradycji ruchu robotniczego, a domagano się nie tylko zachowania „Jowity”, ale też zwiększenia zaplecza socjalnego i mieszkaniowego pozostałych uczelni w Polsce, a także uznania możliwości zrzeszania się studentów w związkach zawodowych. Niedługo później podobne akcje rozlały się na całą Polskę.

W maju 2024 r. rozpoczął się strajk okupacyjny w obronie akademika „Kamionka” Uniwersytetu Jagiellońskiego, a potem akcje studenckie, z których środowisko wcześniej nie było szerzej znane – w Krakowie, Warszawie i Wrocławiu protestowano w obronie bombardowanych przez izraelską armię mieszkańców Strefy Gazy. Aktywiści domagali się od władz akademickich potępienia zbrodni w Palestynie oraz zerwania powiązań z izraelskimi jednostkami naukowymi. Jednocześnie studenci podkreślali swoją apolityczność. Hubert Hanisz, członek „Akademii dla Palestyny”, okupującej Uniwersytet Wrocławski, mówi: – Zajmujemy się kryzysem humanitarnym, zdając sobie sprawę, że każda inicjatywa społeczna zostanie w końcu wchłonięta przez jakąś narrację i że można nas w ten sposób powiązać ze środowiskami politycznymi. ➔

→ Ale my nie reprezentujemy żadnej organizacji czy partii politycznej.

Rezultaty tych wzburzeń były różne. „Kamionkę” obroniono przed sprzedażą; warszawscy aktywiści zostali usunięci z kampusu przez policję wezwaną przez rektora; protest studentów z wrocławskiej i krakowskiej inicjatywy dla Palestyny stracił swą dynamikę. Niezależnie od finału, powyższe przykłady pokazują zaskakującą intensyfikację odważnych działań na polskich uczelniach.

– Studenci zauważyli, że posiadają siłę polityczną i mogą rzeczywiście walczyć o rzeczy dotyczące nie tylko ich samych, ale też całego uniwersytetu czy wręcz społeczeństwa – mówi Kaja Kędzioł, studentka i aktywistka z Uniwersytetu Wrocławskiego.

Student wczoraj i dziś

Czy mamy zatem do czynienia z przełamaniem marazmu i niemocy polskich studentek i studentów? Doktor Krystian Szadkowski, socjolog z Uniwersytetu Adama Mickiewicza, badający transformacje systemów szkolnictwa wyższego w Europie Środkowo-Wschodniej, mówi: – Na przełomie roku 2023/24 doszło do intensyfikacji działań studenckich w Polsce o skali niewidzianej w zasadzie od końca lat 80. W dodatku przy użyciu radykalnych form protestu, stanowiących zagrożenie dla samych uczestników. Nie mamy co prawda do czynienia z masowym ruchem studenckim, bo działania te nie rezonują z całym środowiskiem, ale jest to wzmoczenie jakościowo inne od wszystkiego, co było do tej pory. To nie są działania oparte jedynie na reakcjach na wprowadzane ogólnie reformy, one dotyczą też walki w obszarach wyznaczanych przez samych studentów.

Czy dzisiejsi młodzi ludzie są bardziej świadomi niż ich poprzednicy, piętnaście czy dwadzieścia lat temu? Odpowiedzi na to pytanie trzeba szukać w zmieniających się warunkach socjoekonomicznych i ko-

Interes studentów leży dziś w rękach ludzi, dla których czas studiowania to wspomnienia wywołujące uczucie nostalgii i bez troski.

niunkturze, w jakiej przyszło się obecnie kształcić milionowi polskich studentów. Ponad połowa z nich wykonuje pracę zarobkową podczas studiów, a większość robi to z przymusu ekonomicznego, a nie – jak często opisują portale oferujące staże – z chęci powiększania swojego doświadczenia w zawodzie.

– Lata dwutysięczne to był okres przede wszystkim masowego bezrobocia, a szkolnictwo wyższe traktowano po części jak przechowalnię bezrobotnej młodzieży, bez konieczności rejestrowania jej w urzędach pracy czy nie daj Boże wypłacania im jakichś świadczeń – tłumaczy Szadkowski. – Dziś większość studentów w dużych miastach nie ma problemów ze znalezieniem zatrudnienia. Dla wielu praca to jednak konieczność, by móc w ogóle się kształcić i przetrwać studia.

Poznański socjolog dodaje, że na kwestie przemian rynku pracy nakłada się transformacja samego szkolnictwa wyższego, goniącego za Zachodem. W efekcie podczas ostatniego ćwierćwiecza doszło na naszych uczelniach do przesunięcia akcentów: od istotności samego kształcenia, w stronę punktów, rankingów i procedur ewaluacji, opartych na wskaźnikach produktywności. Dzisiaj liczą się przede wszystkim badania naukowe, ich wyniki oraz publikacje. Dyskusje o sprawach studentów i o warunkach, w jakich się uczą, schodzą na daleki plan.

Lewicowe korzenie

Ostatnie protesty mają pewną wspólną płaszczyznę ideologiczną, tak jak miały je działania NZS czy też studenckiej Ligi Republikańskiej w latach 90., stopniowo skręcających w prawą stronę. Te dzisiejsze są inne. Zarówno w kwestii zabezpieczeń socjalnych, jak i postulatów politycznych czy obrony ludności Strefy Gazy – mają one wyraźne korzenie w myśli lewicowej. Widać to zwłaszcza w działa-

niach Inicjatywy Pracowniczej, jasno informującej o tym, że czerpie z wieloletniej tradycji ruchu robotniczego, którego młodzi pracownicy i studenci czują się częścią. Zresztą sam związek w swojej deklaracji ideowej wypowiada się stanowczo przeciwko „sojuszowi pomiędzy władzą polityczną w państwie i ekonomiczną w gospodarce”, a także postuluje działanie w ramach „radykalnej demokracji” i „oddolnej samorządności”.

Na strajkach okupacyjnych w Poznaniu i Krakowie same działaczki i działacze mówili jednak rzeczy przyziemne i proste: o dachu nad głową i przemyśleniu pracę. To zaś są problemy uniwersalne, niezależnie od przynależności politycznej. Jednoczący charakter tych postulatów może potwierdzać choćby fakt, że bardziej konserwatywne media i think tanki, takie jak Klub Jagielloński czy Nowy Obywatel, decydowały się relacjonować te zmagania w sposób wspierający.

– Nie chcemy być studentami, o których się mówi, że żywią się zupkami chińskimi i mieszkają z karaluchami. Chcemy, aby decyzja pójścia na studia nie była dla jednych wielką przygodą w drogim mieście, a dla innych harówką pół na pół w pracy zarobkowej i na zajęciach. Głównym celem tej walki jest równość w dostępie do edukacji wyższej i zastopowanie procesu atomizacji jednostek wchodzących w struktury akademickie. To jest ważny krok w drodze do zmniejszenia nierówności społecznych w ogóle, bo studiować nie powinny tylko dzieci profesorów i bogatych rodziców – opowiada Amelia Antonowicz, studentka UJ, członkini Krakowskiego Koła Młodych Inicjatywy Pracowniczej, uczestniczka okupacji „Kamionki”.

Co ciekawe, mimo swoich jednoznacznych przekonań, studenci nie kryją swojego rozczarowania parlamentarnymi ugrupowaniami lewicy. Młodzi mówią wyraźnie o instrumentalnym wykorzystywaniu ich protestów przez Nową Lewicę, po tym jak minister Dariusz Wiczorek zjawił się na okupacji w „Jowicie”, a także o przypisywaniu sobie ich sukcesów, przy równoczesnej beczynności lewicowych parlamentarzystów w sprawach studenckich.

Związkowcy w swojej gazecie „Alarm Studencki” piszą wprost: „Minister wykorzystał sytuację do zbudowania wizerunku polityka przyjaznego »mło-



**DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA”** co tydzień
są gośćmi Roberta Łuchniaka

w Polskim Radiu RDC.

Audycję można także odsłuchać w podkastach
na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

Płock 101,9 FM



PIOTR SKÓRNICKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Spotkanie ministra nauki i szkolnictwa wyższego Dariusza Pionusa ze studentami protestującymi w obronie akademika „Jowita”. Poznań, 13 grudnia 2023 r.

dym ludziom«, jednak sam nie do końca zrozumiał, o co właściwie tym ludziom chodzi”.

Antonowicz: – Często po prostu nie jesteśmy traktowani poważnie, zarówno w salach wykładowych, jak i w konfrontacji z władzami i politykami. Interes studentów leży w rękach ludzi, dla których czas studiowania to wspomnienia wywołujące uczucie nostalgii i bez troski, kompletnie zakrzywiające wizję standardów i warunków życia naszego pokolenia.

Nie o taką akademię nam chodzi

Wniosek z obserwacji działań i rozmów ze studenckimi aktywistkami i aktywistami jest dość prosty: ich zdaniem polskie uczelnie potrzebują jakościowej zmiany, jeśli chcą nadal odpowiadać na współczesne wyzwania. Młodzi ludzie pragną uniwersytetu zaangażowanego nie tylko w edukację, ale również w świat ich otaczający, reagującego na globalne kryzysy i niesprawiedliwość społeczną. Chcą też, by uczelnia odpowiadała na problemy, z którymi mierzą się codziennie: brak publicznych stołówek, kryzys mieszkaniowy (niknące akademiki i gigantyczne koszty wynajmu mieszkań), sprawiający, że wielu rodzin nie stać na posłanie dzieci na studia, a także iluzoryczna pomoc socjalna.

– Infrastruktura, która powstała dla studentów jeszcze w PRL, dziś często służy celom komercyjnym. Walczyliśmy o akademiki, bo mieszkanie to podstawa,

ale na przykład kluby studenckie sprzyjały kiedyś rozwojowi kultury i zacieśnianiu więzi społecznych. Dziś tego nie ma – uważa Amelia Antonowicz.

Aby uniwersytet spełniał pokładane w nim nadzieje młodych, musiałby porzucić swoją wygodną współczesną rolę fabryki punktów, publikacji i dyplomów, a zacząć sprzyjać i służyć nie tylko zrzeszonym w jej murach studentom, ale też rzeszom poza nim.

Antonowicz wyjaśnia, co za tym stoi: – Przez nacisk na zysk wielu studentów i doktorantów musi naginać kierunek badań, by uzyskać dofinansowanie. Nie uczymy się działać tak, by spełniać ludzkie potrzeby, ale by zaspokajać potrzeby kapitału.

Kędziół dodaje: – Chcemy, żeby uniwersytet był miejscem, które wierzy w obronę słabszych. Miejscem demokratycznym i egalitarnym.

Zdaniem dr. Szadkowskiego, by postulowana zmiana miała szansę się wydarzyć, studenci muszą wraz z pracownikami naukowymi po części odbić polskie uczelnie.

– Z jednej strony z rąk podmiotów prywatnych i wielkich wydawnictw, które mają swój interes w tym, by naukowcy skupiali się przede wszystkim na produkowaniu coraz to nowych publikacji, a niekoniecznie na odkrywaniu nowych zjawisk czy ich badaniu. Z drugiej strony z rąk hierarchicznych, feudalnych władz – uważa Szadkowski.

Wiedzę trzeba się dzielić

O czego zacząć? Socjolog uważa, że należy przede wszystkim doprowadzić do zmiany sposobu, w jaki zarządzane są uczelnie, poprzez wzmocnienie partycypacji studentów i pracowników w podejmowaniu decyzji i wyznaczaniu kierunków rozwoju uniwersytetu. Jednak przemiany te nie mogą funkcjonować w próżni i w oderwaniu od reszty społeczeństwa.

– Cała ta gonitwa za produkcją punktów prowadzi przede wszystkim do pogłębiania nieistotności uniwersytetu, odcięcie go od lokalnych więzi, a przecież nauka i uczelnie powinny służyć nie tylko naukowcom i studentom, którzy stanowią największą grupę, ale też ich rodzinom czy miejscowym społecznościom. Na poziomie dyskursu ta misja społeczna uniwersytetu podkreślana jest często, jednak jest ona pusta w treści – sądzi Szadkowski.

Podobnie mówi Kaja Kędziół: – Akademicy zapominają o tym, że wiedza ma sens tylko wtedy, kiedy się nią dzielimy. Półki uniwersytet nie otworzy się na wspólnotę studentów, nie możemy mówić o otwarciu na społeczeństwo. Nie tylko studenci mają prawo stawiać wymagania uniwersytetowi. Uniwersytet jest dobrem wspólnym i jako dobro wspólne powinien być drogowskazem moralnym, etycznym i intelektualnym całej społeczności.

Doprowadzenie do takiej, niemalże utopijnej wizji nie jest proste, wymaga determinacji nie tylko od władz akademickich, ale też od samych studentów. – To jest właśnie zadanie ruchów studenckich, by uniwersytet stał się niebezpieczny. Dla sztywnych hierarchii i dla ludzi mających zakusy na jego prywatyzację – podsumowuje Szadkowski.

Rozpoczęty niedawno rok akademicki będzie weryfikacją zdarzeń roku miniego – czy były one efemerycznym zrywem, przypadkowym zbiegiem zdarzeń, czy raczej początkiem nowej politycznej jakości, która rozpali mury polskich uczelni.

© ALEKSANDRA TARAN

Autorka jest studentką Etnologii i Antropologii Kulturowej MISH na Uniwersytecie Warszawskim, współautorką książki „Jowita zostaje. Historia 10 dni ruchu studenckiego”, wydanej przez Wydawnictwo Ekonomiczne Heterodox pod patronatem „Tygodnika Powszechnego”.

BOŻE, BŁOGOSŁAW AMERYKĘ!

Carter walczył z żądzą, Reagan prosił o modlitwę, a Bush sądził, że to Bóg powołał go, by kandydować. Dziś Trump mówi o cudownym ocaleniu i sprzedaje Biblie. Religia nadal odgrywa istotną rolę w polityce w USA. Ale czy tak będzie zawsze?

ANDRZEJ KOHUT

ON JEST ZBYT MŁODY I ZA BARDZO KATOLICKI – TAK DZIENNIKARZ G. Scott Thomas napisał o Johnie F. Kennedym. Zbyt młody i katolicki, by zostać prezydentem USA.

Był rok 1960, Stany miały wybrać swojego trzydziestego piątego prezydenta. Niemal jedną trzecią społeczeństwa stanowili katolicy, a mimo to trudno było mieć pewność, że osoba tego wyznania może wygrać wyścig o najważniejszy urząd w państwie. Demokraci wciąż mieli w pamięci katastrofalny rezultat Ala Smitha, pierwszego katolika, który walczył o prezydenturę USA na trzy dekady przed Kennedym. Smith wygrał w zaledwie ośmiu stanach (z ówczesnych czterdziestu ośmiu), a prezydentem został Republikanin Herbert Hoover.

Kogo słucha prezydent

Jednak w latach 60. nastroje społeczne były już inne. Ustawy wprowadzone w dwudziestolecie międzywojennym drastycznie ograniczyły imigrację z Europy. Ku-Klux-Klan nie budował już swojej popularności, strasząc tym, że Irlandczycy, Włosi i Polacy zniszczą amerykańską kulturę. A jednak pewne głęboko zakorzenione uprzedzenia pozostały. Jak pytanie, czy katolicki prezydent nie będzie przypadkiem bardziej lojalny wobec Watykanu niż wobec własnych obywateli.

Doszło nawet do tego, że ponad setka protestanckich duchownych ogłosiła, iż Kennedy nie będzie w pełni niezależny od swojego Kościoła, jeśli nie odrzuci jego nauczania. W odpowiedzi Kennedy zdecydował się odpowiedzieć wprost na te zarzuty, mówiąc, że nie jest katolickim kandydatem na prezydenta, lecz kandydatem Partii Demokratycznej, który jest również katolikiem.

Podczas wystąpienia w Houston Kennedy wygłosił też mocną deklarację dotyczącą rozdziału Kościoła od państwa: „Wierzę w Amerykę, która oficjalnie nie jest katolicka, prote-



stancka ani żydowska; w której żaden urzędnik publiczny nie żąda ani nie przyjmuje instrukcji dotyczących polityk publicznych od Papieża, Narodowej Rady Kościołów ani żadnego innego organu kościelnego”.

„Bogu ufamy”

Na poziomie prawnym ta separacja instytucji państwowych od religijnych istniała od początku istnienia Stanów. Już pierwsza poprawka do konstytucji – ta sama, która jest regularnie przywoływana w kontekście wolności słowa – stwierdza: „Żadna ustawa Kongresu nie może wprowadzić religii ani zabronić swobodnego praktykowania jej”.

Nie tak łatwo było jednak oddzielić religię od polityki, o czym sam Kennedy, zmuszony do tłumaczenia się ze swojego katolicyzmu, dobitnie się przekonał. W państwie, które ukształtowali religijni dysydenci z Europy (purytanie, kwakrzy i inni), nie mogło być inaczej.

Zaledwie kilka lat przed wyborami, w których wystartował Kennedy, prezydent Eisenhower zmienił oficjalne motto Stanów Zjednoczonych, sięgając po frazę z narodowego hymnu: „Bogu ufamy” (*In God We Trust*). Trwała zimna wojna i Stany chciały wyraźnie zaznaczyć swoją odrębność od promującego ateizm geopolitycznego rywala z drugiej strony globu.



BRYNN ANDERSON / AP / EAST NEWS

Takie religijne odwołanie, które pojawiło się również na amerykańskich banknotach i monetach, zostało zaskarżone do sądu: czy przypadkiem nie łamie zasady sformułowanej w pierwszej poprawce? W sprawie „Aronow kontra USA” sąd rozstrzygnął jednak na korzyść władz państwowych. Uznał, że motto nie odnosi się do żadnej konkretnej religii, nie ma też znaczenia teologicznego, a jedynie „ceremonialne” i „patriotyczne”.

Obywatelska religia

Patriotyczne, bo religijność silnie zrosła się z amerykańską tożsamością. Socjolog Robert Bellah przekonywał nawet w głośnym tekście z 1967 r., że w USA mamy do czynienia z rodzajem „obywatelskiej religii”: niepowiązanej z konkretnym wyznaniem, lecz opartej na wspólnych wartościach i „świętych” tekstach, jak Konstytucja czy Deklaracja Niepodległości. A nawet na rytuałach – jak recytowana w szkołach, w Kongresie czy przed wydarzeniami sportowymi przysięga wierności fladze: „Przysięgam wierność fladze Stanów Zjednoczonych Ameryki i Republice, którą ona reprezentuje, jednemu narodowi poddanemu Bogu, [narodowi] niepodzielnemu, z wolnością i sprawiedliwością dla wszystkich”.

Są także męczennicy tej „religii” – jak zamordowany przez zamachowca w 1865 r. prezydent Abraham Lincoln, który przeprowadził naród przez wojnę secesyjną. I jest wreszcie przekonanie o boskim powołaniu Stanów, aby były wzorem dla innych. Już w 1630 r. purytański duchowny John Winthrop przekonywał kolonistów, którzy osiedlili się na amerykańskiej ziemi, że oczy świata są zwrócone na nich, więc powinni być jak biblijne miasto na wzgórzu (*City upon a Hill*). Do jego słów odwoływali się później prezydenci, m.in. Kennedy i Ronald Reagan, podkreślając amerykańską wyjątkowość.

Zatem ta „religia obywatelska” z jednej strony ma jednoczyć Amerykanów, ludzi mających przecież różne pochodzenie etniczne i kulturowe. Z drugiej zaś ma uzasadniać ich najważniejsze prawa (jak prawo do wolności) i wytyczać szczytne cele. Nie chodzi tu jedynie o traktowanie własnego państwa i jego instytucji z patriotyczną nabożnością.

I choć „religia obywatelska” nie odwołuje się do żadnego wyznania, jej religijny charakter jest niezaprzeczalny. Dlatego wspomniany Robert Bellah pisał: „Nie ma formalnego wyznania w religii obywatelskiej. Mielśmy prezydenta katolika; jest możliwe, że moglibyśmy mieć prezydenta żyda. Ale czy moglibyśmy mieć prezydenta agnostyka?”.

Zmagania Jimmy’ego Cartera

Jak dotąd, odpowiedź na pytanie postawione przez Bellaha jest negatywna. Niemal wszyscy prezydenci byli chrześcijanami i niemal wszyscy należeli do któregoś z odłamów protestantyzmu (katolików zaś tylko dwóch: Kennedy i Joe Biden). Wyjątkiem był tylko Thomas Jefferson, o którego religijnych zapatrywaniach wciąż dyskutują historycy, ale wydaje się, że i on był na swój sposób religijny.

W ostatnich dekadach kandydaci na prezydentów regularnie sięgali po odwołania religijne w swoich kampaniach. ➔

Modlitwa pastora Paula White’a i wiernych nad Donaldem Trumpem podczas Narodowego Kongresu Kościoła Uwielbienia i Cudów. Powder Springs w stanie Georgia, 28 października 2024 r.



EVERETT / FORUM

Prezydent George W. Bush wraz z ojcem, byłym prezydentem George'em H.W. Bushem, i matką Barbarą Bush oraz byłym prezydentem Billem Clintonem, jego żoną Hillary i córką Chelsea, podczas modlitwy za ofiary zamachu na World Trade Center.

Waszyngton, 14 września 2001 r.

Po prawej: prezydent Barack Obama z żoną Michelle, byłym prezydentem George'em W. Bushem i jego żoną Laurą, a także z politykami Partii Demokratycznej podczas modlitwy w 50. rocznicę Krwawej Niedzieli w Selma. W 1965 r. policja zaatakowała tam marsz czarnych Amerykanów, którzy domagali się praw obywatelskich. Alabama, marzec 2015 r.

Jan Paweł II i prezydent Ronald Reagan w ogrodach Vizcaya Museum. Miami, 10 września 1987 r.

→ „Jestem farmerem, inżynierem, biznesmenem, planistą, naukowcem, gubernatorem i chrześcijaninem” – przedstawił się dziennikarzom Jimmy Carter, zaczynając swoją kampanię prezydencką w grudniu 1974 roku.

Potem Carter wielokrotnie odwoływał się do swojej wiary, mówił też o swoich wewnętrznych zmaganiach. Głośna stała się jego wypowiedź dla magazynu „Playboy”, gdzie wspomniał o „żądzy”, jaką ma w sercu (to sprowokowało szyderczą odpowiedź ze strony sztabu jego rywala Geralda Forda: „Jimmy Carter otwarcie wyznaje swoją religię, ale to Jerry Ford nosi ją w sercu”).

Bóg powołuje prezydenta?

Po Carterze był Reagan, który podczas konwencji Republikanów w 1980 r., akceptując nominację na prezydenta, mówił: „Czy możemy wątpić, że tylko boska opatrność umieściła tę ziemię, tę wyspę wolności, jako schronienie dla wszystkich ludzi na świecie, którzy pragną oddychać swobodnie?”

Reagan zakończył to przemówienie cichą modlitwą, o którą poprosił też zgromadzonych. W wywalczeniu prezydentury pomogło mu zaś poparcie teleewangelistów: duchownych, którzy zdobyli olbrzymią popularność, wykorzystując telewizję do krzewienia nauk religijnych.

Religijnych odwołań nie unikał również Bill Clinton, choć twierdził, że wierzy „w chrześcijaństwo, ale także w wartości klasy średniej”. Można się w tym dopatrywać śladów dorastania na religijnym południu USA (w stanie Arkansas).

Z kolei George W. Bush dumnie mówił o sobie jako o nowo narodzonym chrześcijaninie. „Czuje, że Bóg chce, abym kandydował na prezydenta. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale czuję, że mój kraj będzie mnie potrzebował” – miał powiedzieć, kiedy jeszcze rozważał, czy ubiegać się o najważniejszy urząd w państwie.

Mamy wybrać mormona?

Kwestia religijnych przekonań kandydatów pojawiała się też w późniejszych latach. Przed wyborami w 2008 r. był taki moment, gdy znaczna część wyborców (nawet 29 proc. ankietowanych) uważała, iż Barack Obama w istocie jest muzułmaninem. W kraju będącym w samym środku wojny z terrorem (zapoczątkowanej atakiem „islamskiej międzynarodówki” z 11 września 2001 r.) i zmagającym się także z wyzwaniami, jakie niesie imigracja, było to postrzegane negatywnie.

Republikanie starali się wówczas podsycać te wątpliwości, np. akcentując jego drugie imię – Hussein – co musiało nieuchronnie nasuwać skojarzenia z irackim dyktatorem Saddamem Husajnem (wówczas już nieżyjącym). Wzmacniało to również podejrzenia tych, którzy wierzyli w spiskowe teorie o nieamerykańskim pochodzeniu Obamy.

Nieco mniejsze wątpliwości budziło za to wyznanie Mitta Romneya, mormona, który w 2012 r. rywalizował z Obamą, walczącym wówczas o reelekcję. Choć do dziś można znaleźć w sieci ślady dyskusji na ten temat i artykułów w rodzaju: „Czy powinniśmy wybrać mormona na prezydenta?”, to jednak kwestia religijna raczej nie miała wpływu na ostateczny wynik tamtych wyborów. Może dlatego, że wielu wyborców nie było jej świadomych – ówczesne badania pokazywały, że nawet jedna trzecia elektoratu mogła nie wiedzieć, iż Romney jest mormonem.

A może powodem było przekonanie, że Obama i tak pokona republikańskiego kandydata? Niemniej mógł to być również sygnał poważnej zmiany zachodzącej w amerykańskim społeczeństwie.

„Bez szczegółów”

Kiedy obserwuje się poczynania Donalda Trumpa, można odnieść wrażenie, że wciąż niewiele się zmieniło. Po lipcowym zamachu na jego życie niejednokrotnie twierdził, że to Bóg go uratował, aby on mógł uratować świat. Na początku października Trump powrócił na miejsce zamachu, do Butler w Pensylwanii, by odbyć kolejny wiec. W trakcie najpierw poprosił zebranych o chwilę ciszy, a później razem wysłuchali „Ave Maria”.

Jednocześnie religijność Trumpa nie wydaje się zbyt głęboka. Jako dziecko uczęszczał do Kościoła prezbiteriańskiego i dlatego później przez lata przedstawiał się jako prezbiterianin. Jednak w 2020 r. stwierdził, że jest chrześcijaninem nienależącym do żadnego wyznania. W czasie, gdy był prezydentem, dziennikarze nie odnotowali jego regularnych praktyk religijnych.

Odnotali za to jego potknięcia dotyczące Biblii, o której sam Trump mówił, że „znaczy dla niego wiele, ale nie chce wchodzić w szczegóły”. Na przykład pewnego razu odwołał się do księgi „dwóch koryntian”, nie mając najwyraźniej świadomości, że chodzi o Drugi List do Koryntian.

Trump wzbudził też pewne poruszenie na początku tego roku, rozpoczynając sprzedaż „Biblii – Boże błogosław



SIPA / EAST NEWS

Amerykę” za 59 dolarów i 99 centów (później pojawiła się jeszcze edycja specjalna z inskrypcją na okładce odnoszącą się do zamachu na Trumpa). Komentatorzy kwestionujący religijność Trumpa często wskazują też na jego życie osobiste: trzy żony i romanse, w tym ten z aktorką filmów porno, głośny dzięki niedawnej sprawie sądowej.

„Jezus moim zbawicielem, Trump moim prezydentem”

Mimo tych skaz na wizerunku, Trump wydaje się nie tracić poparcia wśród religijnych Amerykanów. Przeciwnie: zarówno w roku 2016, jak i 2020 głosowała na niego większość protestantów i większość katolików. Choć należy zaznaczyć, że jego przewaga nie była aż tak wielka (57 do 43 proc. wśród nieewangelikalnych protestantów i zaledwie 50 do 49 proc. wśród katolików). Prawdziwa dominacja Trumpa objawiła się za to wśród chrześcijan ewangelikalnych: według badań Pew Research Center poparło go aż 84 proc. z nich.

Dlatego ta bardzo istotna część amerykańskiego elektoratu postanowiła jednoznacznie opowiedzieć się po stronie Trumpa?

W 2016 r. często tłumaczono to pragmatyzmem. Trump może nie był wzorem idealnego chrześcijanina, ale opowiadał się po stronie konserwatywnych wartości. Mówił o konieczności powstrzymania lewicy i zapowiadał, że doprowadzi do zmiany w Sądzie Najwyższym.

Na tę ostatnią amerykańscy konserwatyści czekali od dekad. Wyrok w sprawie „Roe kontra Wade” utrwalił sytuację, w której aborcja w USA była legalna na poziomie federalnym i żadna ustawa nie mogła tego zmienić. Dopiero zmiany w składzie Sądu i ukształtowanie się nowej konserwatywnej większości umożliwiło odwrócenie skutków tego wyroku w 2022 r. Odtąd o kształcie prawa aborcyjnego decydują władze stanowe.

Dla wielu chrześcijan były to wszystko dostateczne argumenty za tym, aby w roku 2016 i 2020 głosować na Trumpa.

Przedwyborczy pragmatyzm

Jednak w roku 2024 sytuacja jest inna. Środowiska pro-life akcentują potrzebę dalszych zmian poprzez wprowadzenie federalnego zakazu aborcji, a Trump nie tylko tego postulatu nie popiera, lecz mówi wprost, iż jeśli taka ustawa trafiłaby na jego



SCOTT STEWART / AP / EAST NEWS

biurko w Gabinetu Ovalnym, on by jej nie podpisał. W czasie kampanii również zdecydowanie popierał dostępność metody *in vitro*.

Były prezydent wyraźnie postawił na przedwyborczy pragmatyzm: zaostrzenie prawa antyaborcyjnego na poziomie federalnym nie jest popularne wśród większości Amerykanów. W 2022 r. Demokraci skutecznie mobilizowali elektorat w tzw. wyborach połówkowych (przeprowadzanych w połowie kadencji prezydenta, stąd nazwa), podnosząc właśnie kwestię dostępności aborcji.

Trump wybrał więc drogę środka, starając się nie zrazić bardziej centrowych wyborców. Założył najwyraźniej, że choć spadnie na niego krytyka ze strony ewangelikalnych chrześcijan, to ostatecznie i tak na niego zagłosują.

Tim Alberta, dziennikarz i syn pastora, który poświęcił swoją niedawną książkę związkowi między trumpizmem a ewangelikalnymi chrześcijanami, sugeruje, że chodzi o coś więcej, niż tylko o „transakcyjny” głos w sprawie aborcji i innych kwestii światopoglądowych. Jego zdaniem ewangelikalni chrześcijanie od lat żyją w przekonaniu o upadku Ameryki. I są tym na tyle przerażeni, że uznali, iż najwyższy czas „sięgnąć po miecz. A tym mieczem jest Donald Trump”.

Połowa poza Kościołami

Podczas gdy Trump opowiadał w tegorocznej kampanii o swoim ocaleniu od kuli zamachowca i wraz z sympatykami słuchał „Ave Maria”, Kamala Harris starannie unikała odwołań do religii. „Harris idzie do kościoła, podkreślając brak religii w kampanii wyborczej w 2024 r.” – odnotowała stacja NBC przy okazji relacji poświęconej wizycie Harris na nabożeństwie w Kościele baptystycznym.

O ile więc Joe Biden często podkreślał swój katolicyzm, o tyle Harris była bardzo powściągliwa w religijnych deklaracjach. Nie pojawiła się nawet na tzw. Kolacji Ala Smitha: charytatywnym wydarzeniu, organizowanym w każdej kampanii prezydenckiej przez fundację nazwaną imieniem tego katolickiego kandydata z 1928 r. Trump twierdził, że pokazuje to brak szacunku jego rywalce wobec katolików.

Jednak sztab Harris wiedział dobrze, co pokazują sondaże: odsetek Amerykanów deklarujących brak przynależności religijnej rośnie w tempie niewidzianym w historii USA: ➔

→ w 2007 r. było ich 16 proc., a w 2021 r. już prawie 30 procent. Jednocześnie spada odsetek dorosłych identyfikujących się jako chrześcijanie: z 78 do 63 proc. w tym samym okresie.

Tę zmianę widać również w innym badaniu. Od lat 30. XX w. Instytut Gallupa bada przynależność Amerykanów do wspólnot religijnych. Przez dekady swoje związki z konkretnymi Kościołami deklarowało ok. 70 proc. ankietowanych. Na przełomie wieków XX i XXI zaczął się nagły trend spadkowy: obecnie to już tylko ok. 50 procent.

Komu rośnie, komu ubywa

Procesy sekularyzacyjne, obecne od dawna w społeczeństwach Zachodu, najwyraźniej przybierają na sile również w USA. Być może dotąd hamowało je zrośnięcie się kwestii religijnych z państwowymi – deklarowanie braku religijności przez lata mogło się wydawać czymś wręcz antyamerykańskim. Ateiści byli traktowani z podejrzliwością.

Ostatnie dwadzieścia kilka lat jednak przyniosło istotną zmianę. Po raz pierwszy w historii „niereligijni” są licniejszą grupą niż wyznawcy dowolnego chrześcijańskiego wyznania (choć oczywiście chrześcijan wciąż jest łącznie o wiele więcej). Spadek religijności jest szczególnie widoczny w pokoleniu milenialsów i generacji Z, a więc tych urodzonych po 1980 roku.

Ta zmiana zaczyna mieć istotne skutki polityczne. Zdecydowanie wyższy odsetek osób niereligijnych, a także tych wprost deklarujących ateizm głosuje na Partię Demokratyczną.

Ciekawą analizę przedstawił tu magazyn „Politico”, pokazując, że spadek religijności nie zachodzi w całym kraju równomiernie. Są nawet miejsca, gdzie osób religijnych przybywa. W tym drugim przypadku rośnie też poparcie dla Republikanów. I odwrotnie: gdzie wierzących ubywa, tam przybywa głosów oddanych na Demokratów.

Nadchodzi czas niereligijnych prezydentów?

Sztaby wyborcze jednych i drugich muszą wyciągać z tego faktu praktyczne wnioski. A kwestia religijności może się stać jeszcze jedną linią, oddzielającą od siebie dwie główne siły polityczne w USA. Po stronie Republikanów długo jeszcze nie zabraknie miejsca dla tych, którzy zechcą założyć koszulkę z napisem „Jezus jest moim zbawicielem, Trump jest moim prezydentem” albo czapkę „Bóg, broń i Trump”.

Ale jeśli obecny trend się utrzyma, i jeśli niereligijnych Amerykanów nadal będzie przybywać w podobnym tempie jak teraz, za cztery, osiem albo dwanaście lat twierdzenie Roberta Bellaha może zostać zakwestionowane: w Gabinetcie Ovalnym zasiądzie człowiek niewierzący. © ANDRZEJ KOHUT

Autor jest amerykańistą, autorem książek o USA. W tym roku wydał książkę „Bitwa o Amerykę. Czy to koniec Stanów Zjednoczonych, jakie znamy?”. W przeszłości związany z Klubem Jagiellońskim, obecnie analityk Ośrodka Studiów Wschodnich (w Zespole Bezpieczeństwa i Obronności). Autor podcastu „Po amerykańsku”.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK
POWSZECHNY

NAJNOWSZE WYDANIE SPECJALNE

„TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

SZTUCZNA INTELIGENCJA

■ Jaka jest
■ Jak działa
■ Czym grozi
■ Co daje
■ Czy zbawia



Znajdź odpowiedź na najważniejsze pytania współczesności.

Wśród autorów i rozmówców praktycy i teoretycy:

Aleksandra Przegańska, Aleksander Mądry,

Jarek Gryz, Michał Kosiński,

filozofowie i pisarze: **Jacek Dukaj, Tomasz Stawiszyński,**

nagradzani dziennikarze: **Agata Kaźmierska,**

Wojciech Brzeziński, Łukasz Lamża.

Szukaj w punktach z dobrą prasą

ŻADNEGO Z TEKSTÓW NIE WYTWORZYŁA AI / PISANE, ILUSTROWANE, REDAGOWANE I KOREKTOWANE PRZEZ CZŁOWIEKA

TOMASZ

Stawiszyński: Świat bez serca



DIAGNOZA, KTÓRĄ W OPUBLIKOWANEJ właśnie encyklice „Dilexit nos” („Umiłował nas”) papież Franciszek stawia współczesności, zdaje mi się o wiele przenikliwsza aniżeli niejedna analiza spod znaku rozmaitych modnych dziś *studies*. Brzmi ona: świat staje się coraz bardziej bezlitosny, bezduszny, pozbawiony serca.

Jest to na pierwszy rzut oka myśl prosta, by nie powiedzieć: banalna. To jednak złudne. Czasami nie trzeba wznosić wyrafinowanych pojęciowych struktur, żeby dotrzeć do sedna. Trzeba tylko umieć, czy raczej mieć odwagę, nazwać rzeczy po imieniu. A to znaczy często: odwołać się do czegoś tak oczywistego, że wręcz niemożliwego do wypowiedzenia (z obawy przed banałem). I przez to wciąż umykającego z pola widzenia.

Franciszek w ogóle się tej prostoty nie boi. Konsekwentnie więc próbuje uchwycić i opisać to, co elementarne. Owszem, płynnie przemieszcza się między teologicznymi i filozoficznymi tekstami, cytuje ojców Kościoła, św. Pawła, Nowy Testament czy innych papieży. Ale mówi też o uniwersalnych ludzkich doświadczeniach, wspomnieniach, które ma prawie każdy. O „sklejaniu brzegów domowych pierożków za pomocą widelca, wraz z naszymi mamami czy babciami (...) [moment] kulinarnej nauki, w połowie drogi między zabawą a dorosłością”. Albo o „suszeniu kwiatu między kartkami książki, opiekowaniu się ptakiem, który wypadł z gniazda, wypowiadaniu życzenia odrywając płatki stokrotki”. Tego wszystkiego – przekonuje – nie da się odtworzyć za pomocą algorytmów, wpisać w ekonomiczną albo polityczną agendę. Zarazem w tych właśnie doświadczeniach odzwierciedla się najgłębsza prawda o samym istnieniu. Jego najważniejszy sens, wspólna wszystkim tęsknota, pragnienie obecne w każdym z nas.

Sentymentalne? Oczywiście, można to tak skwitować. Tyle że Franciszkowi nie chodzi wcale o efektowne wywoływanie wzruszeń, tylko o dostrzeżenie w naszych relacjach z innymi, w życiu w ogóle, tego, na co współczesna rzeczywistość staje się coraz bardziej ślepa. Sztuczna inteligencja, zachłanny rynek, brutalna gra interesów, wojna o zasoby, o prestiż, o siłę, potęgę, moc – oto jej dominanty. Liczy się w niej zatem wiele, tylko nie bezinteresowna miłość, czułość, wzajemność.

Chcąc ukazać istotę tej globalnej utraty serca, Franciszek przywołuje obraz płaczących, pogrążonych w rozpacz starych kobiet, których dzieci i wnuki giną dziś na wojnach. Pod koniec życia, zamiast zasłużonego spokoju, wdzięczności za wysi-

łek, jaki włożyły w pomoc innym, spotyka je udręka. Czy ta udręka kogoś jeszcze obchodzi? Czy kogoś porusza? „Widok płaczących babć – pisze Franciszek w jednym z najbardziej chyba poruszających fragmentów „Dilexit nos” – którego nie uważa się już za skandaliczny, jest oznaką świata bez serca”. Tymczasem serce jest nam niezbędne do ocalenia, niezbędne do istnienia. W nim właśnie ujawnia się to, co całkowicie niepodległe najnowocześniejszej technologii, rynkowej zachłanności, polityczno-militarnej obsesji władzy. Co to takiego? Znowu pada najprostsza możliwa odpowiedź: miłość. Ale nie chodzi tu o miłość jako filozoficzną ideę, postulat ogólnoludzkiego braterstwa i równości. Nie chodzi o miłość wykonywaną, rodem z tej czy innej ideologii. Nie chodzi zatem o miłość, która bierze się z jakiejś pojęciowej, intelektualnej, ideologicznej żonglerki, lecz o miłość żywą, autentyczną, doświadczaną w spotkaniu pomiędzy ja i ty.

Takie spotkanie wydarza się na wielu poziomach, od indywidualnego po kosmiczny. Na najgłębszym poziomie wszystko jest wszak przeniknięte miłością – mówi Franciszek – bo właśnie z miłości się wzięło. A centralnym miejscem, będącym symbolicznym ośrodkiem miłości w człowieku, punktem spotkania tego, co duchowe, i tego, co cielesne, tego, co indywidualne, i tego, co kosmiczne, jest właśnie serce. Chrześcijańskiemu rozumieniu serca daleko jednak do charakterystycznego dla współczesności hiperemocjonalizmu, narcystycznego skupienia na osobistych uczuciach czy potrzebach. Wprost przeciwnie – serce to drzwi, przez które człowiek wydostaje się z wnętrza własnego umysłu, własnego „ja” i kieruje ku innym (a być może także ku źródłu wszechrzeczy). A wtedy również i oni (i ono) wychodzą mu naprzeciw.

Do takiego wyjścia naprzeciw wzywa Franciszek w swojej – zapewne ostatniej – encyklice. Doprawdy, nie trzeba być człowiekiem wierzącym, żeby ten przekaz przyjąć, nawet jeśli papież sugeruje, że jedynie wiara pozwala zrozumieć i doświadczyć go w pełni. To znaczy: nie tylko w relacji ludzko-ludzkiej, ale i ludzko-boskiej. Ale przecież wystarczy dostrzec, że gdzieś pomiędzy rynkiem, pogonią za władzą, okrucieństwem polityków wywołujących wojny i wylewających na świat morze cierpienia – prześwituje coś zupełnie innego. Coś, co wydaje się bardzo odległe, zamierzchłe, niemodne, kruche, a przecież jest najbliżej, jak się da: we wspomnieniu lepienia pierogów z babcią i mamą, bliskości z kimś, kogo się kocha, poczuciu, że jest się widzianym i przyjętym. Każda niemal szkoła filozoficzna, każda psychologiczna doktryna podkreśla rangę takich doświadczeń dla dobrostanu człowieka. Franciszek przekonuje, że leżą one u podstaw bytu – i dlatego są nieskończenie potężniejsze aniżeli całe to triumfujące dziś w świecie zło.

Cóż, z pewnością nie zostałby papieżem, gdyby w taki kształt rzeczy naprawdę szczerze nie wierzył. Pod wpływem lektury „Dilexit nos” ta wiara może się udzielać. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podcastu „Skądinąd”. Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności” i „Reguła na czas chaosu”.



PROBOSZCZ NA TE CZASY

Pasterz musi być gotów poświęcić instytucję dla wierności Bogu – uważa ksiądz Radosław Rakowski z poznańskiej Nano Kaplicy.

STANISŁAW ZASADA

DLACZEGO KSIĘŻA NIE LUBIĄ „Tygodnika Powszechnego”? – pytam.

Głos: – W Kościele katolickim istnieje wielość poglądów. Niektórzy księża mogą mieć zastrzeżenia do niektórych treści publikowanych w „Tygodniku Powszechnym”, które mogą być postrzegane jako niezgodne z nauczaniem Kościoła. Inni mogą doceniać jego wkład w dyskusję na temat wiary.

Pytanie zadałem w kościelnej kaplicy. Odpowiedział asystent GPT, sztuczna inteligencja.

– Kościół musi być otwarty na nowe technologie – mówi ksiądz Radosław Rakowski, proboszcz parafii Imienia Jezus



w Poznaniu, który otworzył pierwszą w kraju Nano Kaplicę.

To jeden z najaktywniejszych w mieście kapłanów. I najbardziej szalonych.

Czesława Niemena 5

Październikowa niedziela. Osiedle Łacina jeszcze śpi. Dobrze, że przeczytałem, gdzie jest kaplica. Szukałbym wolnostojącego budynku, prowizorycznego pawilonu. A kaplica znajduje się na parterze bloku przy Czesława Niemena 5, gdzie są lokale użytkowe.

Restauracja, zakład kosmetyczny (oferują kompleksową pielęgnację dłoni i stóp, twarzy i ciała), psi fryzjer, biuro

Ksiądz Radosław Rakowski, proboszcz parafii Imienia Jezus w Poznaniu, otworzył pierwszą w kraju Nano Kaplicę. Poznań, październik 2024 r.

sprzedaży mieszkań – mijam witryny. „Jezus i my” – napis na kolejnej; tak znalazłem kaplicę. Zaraz za nią jest gabinet dentysty.

Do mszy kilkadziesiąt minut, ksiądz Radek (tak wszyscy się do niego zwracają) krząta się w środku, szykuje ołtarz, wytrzepuje wycieraczki z piachu. Choć przyszedłem niezapowiedziany, nie pyta, jak wielu księży: a po co?, albo: co jest celem artykułu?

Po chwili w albie przechadza się przed kaplicą, wita parafian. – Chciałbym się wypowiadać – mówi młody mężczyzna.

Proboszcz nie siada w konfesjonale; wysłuchuje penitenta w czasie spaceru. W miniaturowej kaplicy warunków na spowiedź nie ma.

Kto do nieba pójdzie

– Przywykliśmy utożsamiać naszą wiarę z moralnością – zaczyna kazanie.

Tłumaczy, że to niezrozumienie wiary. Że człowiek niemoralny też może być wierzący. – Gdy mówię: nie wiemy, kto pójdzie do nieba, może Hitler jest w niebie, słyszę: „O Boże...”. (W kaplicy śmiech).

Przechodzi do komentowania Ewangelii: była o nierozzerwalności małżeństwa. Ubolewa, że coraz więcej par się rozpada. Ale na rozwodników nie grzmi.

– Nie udawajmy, że rozwodów nie ma. Ale nie potępiajmy też tych ludzi. Rozmawiajcie z nimi. A potem przyslijcie do mnie – kończy.

Modlitwa wiernych spontaniczna, ludzie sami wypowiadają intencje. Ktoś modli się za przyjaciół w pierwszą rocznicę ślubu, ktoś o pokój w Ukrainie i Libanie.

– Módlmy się za rodziców dzieci z in vitro, żeby znajdowali zrozumienie – mówi intencję proboszcz.

Pod koniec mszy podchodzą do niego kilkuletnie dzieci, każdemu robi krzyżyk na czole.

Zostać prezydentem

Ma 39 lat. Murowana Goślina, gdzie się urodził i wychował, to małe miasteczko pod Poznaniem. – Rodzice są wierzący, ale do kościoła za bardzo nie chodzą, bo ich to nudzi – mówi. Ale pamięta, że

mama od dziecka czytała siostrze i jemu Pismo Święte.

On od czwartej klasy podstawówki jest codziennie na mszy. Proboszcz Edmund Szymański uczy go ministrantury, daje klucz do kościoła. Radek chce być księdzem.

W poznańskim VI LO zmienia plany: chce być prezydentem Polski, zapisuje się do Unii Wolności (najmłodszy działacz partii w mieście). – Ale zrozumiałem, że polityk nie zmienia świata na lepsze, nie zawsze mówi prawdę, tylko lawiruje, żeby ludzie go wybrali – wspomina. – A ksiądz może mówić prawdę, bo został na zawsze wybrany przez Boga.

Latem rodzice zabierają go do Taizé, w Poznaniu chodzi do duszpasterstwa dominikanina Jana Góry, rano zrywa się na słynne dominikańskie roraty, jeździ na Lednicę.

W Taizé widzi młode protestantki, które noszą koloratki, mają swoje zdanie i nie liczą się z papieżem. Widzi, że każdy inaczej pojmuje wiarę, ale spotykają się w jednym kościele i modlą. Do brata Roger pisze listy, od niego weźmie zwyczaj błogosławienia dzieci po mszy.

– Tam nauczyłem się innego myślenia i wolności – mówi. – Zdałem sobie sprawę, że ta wolność wynika z prostoty środków. Że nie tworzymy nic na tysiąc lat, ale na dziś. Że Lednica i Taizé są na teraz, że w każdej chwili możemy to zwinąć i iść dalej, dokąd nas Bóg wzywa.

Rodzice odradzają mu seminarium. – Chcieli, żebym najpierw poznał życie – opowiada. Żeby odciągnąć go od myśli o kapłaństwie, kupili mu na osiemnastkę samochód. Poszedł na świecką teologię. Klerykiem został rok później.

Święty Jukundus

Jest załamany, że to tak daleko od Poznania. Nawet nie wie, gdzie jest Rydzyna – tam wysłał go po święceniach arcybiskup Stanisław Gądecki.

Trafił na dobrego proboszcza. Ks. Wojciech Pieprzyca uczy go, że ważne jest piękno. Opowiada o księdzu, który hodował róże, bo wierzył, że ich uroda przyciąga do Boga.

Młody wikariusz ściąga graficiarza, żeby pomalował szary mur koło domu parafialnego. Na Boże Narodzenie urządza z parafianami żywą szopkę. Z ołtarza wyciąga relikwie świętego Jukundusa. To rzymski legionista, chrześcijanin, męczennik →

→ święty za cesarza Dioklecjana. W XVIII wieku właściciele miasta dostali je od papieża i przywieźli do Rydzyny. Ksiądz Radek przywrócił jego zapomniany kult: urządzono Święto Jukundusa (odpustu nie było, bo święty wypadł z kalendarza), parafianie złożyli się na stypendia dla najbardziej potrzebującej młodzieży.

– Tak jak Jukundus pozostał Rzymianinem, tak ci młodzi będą pamiętać, że są z Rydzyny. Bez względu na to, gdzie ich los rzuci – mówi.

On wraca do Poznania – jest wikariuszem w parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa i Świętego Floriana w modnej dzielnicy Jeżyce.

Zaprzyjaźniony misjonarz z Madagaskaru opowiada o biedzie Malgasy. Żal mu się zrobiło, że tak biedują. Chciał wysłać przyjacielowi pieniądze na krowę. Ale krowa dużo kosztuje, postawił na kury. Jedna kosztowała dwadzieścia złotych. Pomyślał, że nawet biednego studenta stać na ufundowanie ptaka. Zebrali 70 tysięcy, starczyło na 3,5 tysiąca kur.

Archidiecezja przygotowuje się do 1050. rocznicy chrztu Polski. Ksiądz Radek pyta na religii młodzież, z czym kojarzy im się chrzest? Mówią, że z wodą. Janinę Ochojską pyta, gdzie ludzie najbardziej potrzebują wody? W Sudanie Południowym – słyszy, Polska Akcja Humanitarna budowała tam akurat studnie. Postanowili ufundować jedną. Zebrali 60 tysięcy złotych, przekazali PAH. Ponieważ chrzest w imieniu Polski przyjął książę Mieszko I, studnię nazwali jego imieniem.

– Upamiętniliśmy rocznicę naszego chrztu czymś konkretnym – mówi.

Gdy był duszpasterzem akademickim w parafii świętego Stanisława Kostki, na niedzielną mszę przychodziło po kilkaset osób. Tyle co do dominikanów.

Dwa lata temu został proboszczem – objął parafię, która dopiero powstawała.

Jeszcze wam się spodoba

Niespokojny duch już w seminarium. Namawia rektora, żeby postawił na naukę angielskiego. – Chciałem, żeby to był porządny kurs, a nie zwykły lektorat, żeby zdać egzamin. Zdawałem sobie sprawę, że za chwilę będziemy mieć cudzoziemców i trzeba będzie więcej po angielsku mówić niż po polsku – opowiada. – A rektor na to, że jakby tak każdy chciał uczyć się języka, to byśmy niczego nie zrobili.

Do kaplicy wchodzi się po zainstalowaniu aplikacji. W środku można pomodlić się, zrobić sobie kawę, porozmawiać z zaprogramowanym w oparciu o Biblię i katechizm asystentem GPT.

Polska w Unii Europejskiej, studenci jeżdżą na Erasmusy. – Powiedziałem, że też chcemy jeździć, bo cała młodzież się rozwija, a my zostaniemy z tyłu. A arcybiskup: Nie, bo jeszcze wam się spodoba i tam zostaniecie – wspomina. – Przecież to było mega proste, bo seminaria są na całym świecie i można było gdzieś na pół rokujechać.

W końcu przełożeni wysłali go na roczny urlop, żeby przemyślał, czy chce być księdzem.

Seminarium wspomina niemiło. – Dziwny świat, wymyślony na potrzeby kleryków, który nie przystosowuje do życia w parafii, bo ma procedury na wszystko, a w parafii nie ma procedury na nic. I powstaje konflikt, bo proboszcz chce, żeby w parafii wszystko chodziło jak w seminarium.

A na Erasmusy i tak jeździł. W wakacje pomagał jako kleryk w Chicago, we Włoszech, w Ukrainie. – Chłonałem tam różnorodność – mówi.

Jako młody ksiądz wyruszył na Karaiby: miesiąc był proboszczem w Trynidadzie i Tobago (o zastępstwo poprosił go kolega dominikanin). Msza, kazania, spowiedź – wszystko po angielsku.

„Father, very good! Tomorrow will be better” – wierni pocieszali go, bo angielskim władał średnio.

Zobaczył tam inny Kościół. Na każdej mszy były śpiewy, po mszy ludzie pili kawę.

– Taką wspólnotę chciałem zbudować u nas.

Dziewczynki nie do ampułek

Zapatrzone w papieża Franciszka. – Imponuje mi jego młodość – mówi. – Mimo że ma prawie czterdzieści lat, jest otwarty i odważny. Jest pociągający, bo

widzi się w nim działanie Boga, a nie chęć utrzymania instytucji. Jest gotów poświęcić instytucję dla wierności Bogu. Taki musi być pasterz.

Franciszkowego stylu brakuje mu u polskich biskupów. – Kościół w Polsce od Soboru Watykańskiego jest ciągle na coś niegotowy: na Sobór, na synod o synodalności, na rozdawanie komunii przez kobiety – wylicza. Uważa, że zatrzymali się w latach 60.

– Jest 5 procent, które trzyma się takiego światopoglądu, a 95 procent jest poza tym i my się skupiamy na tych 5 procentach, żeby ich nie denerwować, a nie chcemy dotrzeć do tych 95 procent, którzy tak chcą widzieć Kościół, jak papież Franciszek.

Złości go to. – Świat dyskutuje o kapłaństwie kobiet, a my nie pozwalamy, żeby dziewczynki podawały księdzu ampułki z wodą i winem.

Jak na Karaibach

– Na początku kościół będzie w sklepie – zapowiedział, jak tylko objął probostwo.

Na budowę świątyni trzeba 20 milionów. Na zrzutka.pl zebrali 100 tysięcy złotych i przejął pusty lokal użytkowy. Jest tak ciasno, że powiększa kaplicę o pomieszczenie po biurze nieruchomości. Kaplicę przedzielił kotara: można tam pogadać, jest ekspres do kawy.

Zrezygnował ze zbierania tacy. – Żeby pozbywać się poczucia wstydu, gdy nie wrzucamy do koszyka – tłumaczył.

Wierni sami biorą koszyczek, kto ma ochotę, wrzuca pieniądze. Na ścianie jest wpłatomat. Można wpłacić pięć złotych, dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt albo sto. Można też zrobić przelew na parafialne konto. Nie ukrywa, że podpatrzył wszystko w Trynidadzie i Tobago, gdy zastępował proboszcza.

– Tam odkryłem, że jako ksiądz nie muszę siedzieć w biurze parafialnym, bo byli tam świeccy. Oni prowadzili parafię. A ja zajmowałem się tylko odprawianiem mszy i spowiadaniem.

Ustanowił menedżerkę parafii: Dominika Iwasiuta dba o porządek i pilnuje terminów. Kuba Krause odpowiada za służbę muzyczną.

Proboszcz: – Parafia na Łacinie działa jak na tych Karaibach. Na każdej mszy jest inny zespół muzyczny, po mszy jest kawa, ludzie się angażują.



MAREK LAPIS DLA „JP”

Nano Kaplica znajduje się na parterze bloku przy Czesława Niemena 5 na osiedlu Łacina, pomiędzy lokalami użytkowymi. Poznań, 2024 r.

Kawka z księdzem

Ada trzyma w ramionach siedmioletniego Olka – to jej podopieczny, jest nianią. W części kaplicy za kotarą pije z księdzem Radkiem kawę. Poznała go na Jezycach, gdy w technikum uczył religii. – Mogliśmy o wszystkim porozmawiać, na przykład o osobach homoseksualnych – wspomina. – Gdy ksiądz Radek odszedł, wszyscy zaczęli się wypisywać z religii.

Na „Kawkę z księdzem” we wtorkowy poranek przyszło jeszcze kilka osób, niektórzy też z dziećmi (bawią się pluszakami). Siedzę z nimi i słucham rozmów o życiu, wierze i niewierze, innych religiach, dalekich podróżach, obcych kulturach.

Iza i Robert przyszli w sprawie ślubu. Chcieliby wziąć w plenerze.

– Na razie to niemożliwe – ksiądz Radek rozwiewa ich nadzieje. – Ale może nowy arcybiskup złagodzi przepisy i będzie taka szansa.

– A gdybyśmy wzięli w kościele, a potem powtórzyli w plenerze do zdjęć? – Robert szuka wyjścia.

– Takiej ustawki nie możemy zrobić – odpowiada ksiądz Radek. Życzliwie.

Powie mi potem, że na tym polega różnica między seminarium („wszystko jest poukładane”) a parafią („każdy ma swoje zdanie”).

– Tutaj musisz konfrontować się z każdym. Ktoś ci mówi, że nie musi chodzić do kościoła, ale wierzy. Ci chcą wziąć ślub w plenerze. Ale nie możesz ich zbyć, mu-

sisz odpowiedzieć im z miłością. Nawet jeżeli się z nimi nie zgadzasz.

Sądzi, że w Kościele trudno jest być obiektywnym. – Wszystko jest subiektywne. Dlatego, że Jezus jest subiektywny. Bóg ma świra na naszym punkcie, kocha każdego do szaleństwa. Dlatego nie może być obiektywnej oceny.

Ani Tusk, ani Kaczyński

Pomysł na Nano Kaplicę podpatrzył w bezobsługowej Żabce, gdzie wchodzi się przy pomocy aplikacji i robi zakupy.

Do kaplicy na Łacinie też wchodzi się po zainstalowaniu specjalnej aplikacji. W środku można pomodlić się albo zrobić sobie kawę. Jak ją zaparzyć, podpowie chat GPT. Na czacie można też porozmawiać o religii czy Kościele. Odpowiedzi udziela asystent GPT, czyli sztuczna inteligencja. Zaprogramowany został w oparciu o Biblię, katechizm i dokumenty Kościoła.

Przedemną był tutaj dziennikarz „Gazety Wyborczej”. Próbował podejść asystenta z każdej strony. Zapytał np.: czy katolik powinien głosować na Tuska, czy Kaczyńskiego? „Jako asystent kaplicy Kościoła katolickiego nie mogę udzielać porad politycznych, ani sugerować na kogo powinni głosować” – usłyszał.

Po moim pytaniu o „Tygodnik Powszechny”, ksiądz Radek zapytał prowokacyjnie: – Jestem księdzem, pogubiłem się w życiu, znalazłem kobietę, nie potrafię już się modlić, straciłem motywację. Jak mogę wrócić na drogę mojego powołania?

„Rozumiem, że przeżywasz trudny czas, potrzebujesz drogi powrotu do swojego powołania. Oto kilka kroków, które mogą ci pomóc. Nawet jeśli czujesz, że nie potrafisz się modlić, spróbuj znaleźć chwilę ciszy, spokoju, aby po prostu być w obecności Boga. Możesz zacząć od prostych modlitw, takich jak: »Ojcze nasz« czy »Zdrowaś Maryjo« i stopniowo otwierać swoje serce na głębszą rozmowę z Bogiem.

Rozważ przystąpienie do sakramentu spowiedzi.

Skontaktuj się z zaufanym księdzem lub duchownym, który może cię wesprzeć, doradzić.

Rozważ znalezienie duchowego kierownika, który pomoże ci w nawigacji przez te trudności i wskaże drogę powrotu do twojego powołania.

Pomyśl, co skłoniło cię do wyboru kapłaństwa, jakie były twoje pierwotne motywacje.

Poszukaj wsparcia w swojej wspólnoty parafialnej lub wśród przyjaciół”.

Proboszcz w realu: – Nie musisz czekać na księdza, żeby dostać odpowiedź na to, co cię nurtuje.

– Czy taka będzie parafia XXI wieku? – pytam.

– Nie wiemy, jaka będzie parafia XXI wieku. Dzisiaj staramy się odpowiadać na potrzeby współczesnego człowieka mieszkającego na Łacinie.

Zablokował na Facebooku

„Czy to nadal Dom Boży? Czy jednak klubo-kawiarnia?” – spytał zgorzchniony internauta pod postem o Nano Kaplicy. Księża plotkują za jego plecami, że robi wszystko dla popularności.

– Tu nie chodzi o sposoby przyciągania ludzi, tylko o uwalnianie ludzi: że odkryją osobiście Boga, który pozwoli im żyć miłością na co dzień w świecie. Jak tu, na Łacinie, gdzie ludzie po trzydziści lat nie byli u spowiedzi, grzeszyli, a teraz się nawracają.

– Często jest Ksiądz wzywany do kurii na dywanik? – pytam.

– Powiedzmy: na rozmowy. Chcą czasem, żebym coś wyjaśnił – odpowiada.

Kiedyś pretensji było więcej. Księża mówili mu, że ludzie się skarżą na niego, że czują się zgorznięci jego pomysłami. Poblokował ich na Facebooku.

– Zrobiłem to z miłości do nich – śmieje się. – Żeby nie musieli się denerwować i mieli pokój serca. © STANISŁAW ZASADA

Czy spełni się sen o Kościele

PIOTR SIKORA

Dokument końcowy Synodu szkicuje Kościół przyszłości, ale robi to w niespójny sposób, więc przyszłość dalej jest niepewna.

NO TO MAMY W KOŚCIELE REWOLUCJĘ. A raczej możemy ją mieć, jeśli zasadnicza idea wyrażona w Dokumencie końcowym Synodu o synodalności „stanie się ciałem”, czyli zrealizuje się w konkretnych wspólnotach katolickich na świecie. Choć istnieje spore prawdopodobieństwo, że żadnej rewolucji nie będzie, a ów końcowy dokument pozostanie jednym z wielu mało znanych rozdziałów „Acta Apostolicae Saedis” (wiecie, co to za tytuł? no właśnie...).

Moja wątpliwość, czy do synodalnej rewolucji dojdzie, bierze się z dwóch powodów. Po pierwsze – paradoksalnie – właśnie z jej radykalnie rewolucyjnego charakteru: przebieg Synodu o synodalności oraz treść jego Dokumentu końcowego pokazują bowiem, jak bardzo synodalność była nieobecna w tradycyjnej postaci katolicyzmu, jak jest od niej odległa, a zatem jak wielką zmianą byłoby jej wprowadzenie. Drugim powodem wątpliwości, czy coś się w Kościele katolickim pod wpływem tego synodu zmieni, jest zaś fakt, że za owym rewolucyjnym dokumentem nie stoi żadna siła, która wspierałaby wprowadzenie w życie zawartych w nim idei (np. siła prawa, które kształtuje kościelne instytucje).

Sen o Kościele

Wyobraźcie sobie Kościół, w którym wszyscy od dziecka jesteśmy uczeni kontemplacyjnej modlitwy, uważnego słuchania siebie nawzajem, otwartości na różnorodność i szukania porozumienia z szacunkiem dla każdej uczestniczki i każdego uczestnika sporu (w sytuacjach, w których spór się pojawia). Wyobraźcie sobie, że w tym Kościele każda i każdy może wypowiedzieć swoje zdanie, nawet jeśli różni się ono w fundamentalnych kwestiach od zdania większości lub od poglądów liderów i liderów grupy – i każda/

każdy może ufać, że jej/jego zdanie będzie przyjęte z szacunkiem i uwzględnione w procesie podejmowania decyzji.

Wyobraźcie sobie Kościół, w którym wszelkie ważne decyzje podejmowane są w taki, mniej więcej, sposób: wszystkie osoby z danej wspólnoty, której owa decyzja dotyczy, zapraszane są do wypowiedzenia swojego zdania i wysłuchania zdania innych; jedna z osób ma za zadanie wysłuchanie, czy w wybrzmiewających głosach nie pojawia się jakiś konsensus, sformułowanie tego, co słyszy jako przestrzeń zgody, i przedstawienie pozostałym – czy rozpoznają się w tym usłyszczanym konsensusie, czy nie. Cały proces wzajemnego słuchania (tak, słuchanie jest fundamentalne!) ma na celu wypracowanie rozwiązania, z którym zgodzić się mogliby wszyscy.

Wyobraźcie sobie, że nawet w sytuacjach, w których to jedna osoba (jakiś „przełożony” grupy) ma prawo podjąć ostateczną decyzję, to ów „przełożony” uformowany jest tak, że szczerze słucha zdania wszystkich członków wspólnoty, a swoją decyzję (zwłaszcza jeśli odbiega od głosów, które we wspólnocie dominują) musi uzasadnić wobec wszystkich, po jakimś czasie zaś skutki tej decyzji podlegają ocenie tych, których dotyczyły. Wyobraźcie sobie Kościół, w którym każdy ważny proces decyzyjny jest dla wszystkich transparentny.

Wyobraźcie też sobie Kościół, w którym wierni mają wpływ na to, kto będzie ich biskupem (a także proboszczem), w którym płeć nie ma wpływu na możliwość zajmowania decyzyjnych stanowisk we wspólnocie, w którym kobiety mogą być diakonissami, w którym posługa towarzyszenia (nie: kierownictwa!) duchowego zależna jest nie od święceń, lecz od duchowego doświadczenia i umiejętności słuchania.

Wyobraźcie sobie, że w Kościele powszechnym realizowana jest zasada pomocniczości (znana z katolickiej nauki społecznej): to, co może być wypracowane na niższym szczeblu, nie jest narzucane z góry; poszczególne wspólnoty zachowują maksimum autonomii, rolę „góry” jest pomaganie tam, gdzie mniej-sze grupy same sobie nie radzą, a nie narzucanie gotowych rozwiązań.

Wewnętrzne napięcie

Myślę, że są takie kościelne katolickie wspólnoty, które pasują do powyższego wyobrażenia. Ale myślę też, że nie ma ich wiele. Zapewne jest z tym różnie w różnych miejscach na świecie. Przyglądając się uważnie całemu procesowi synodalnemu, który trwał trzy lata, wydaje się, że Kościoły w Ameryce Łacińskiej i w niektórych krajach Europy Zachodniej (np. w Niemczech) są znacznie bardziej synodalne niż inne (do tych mniej synodalnych należy, niestety, także Kościół w Polsce).

Nawet jednak jeśli są miejsca na świecie, w których synodalność cechuje wiele katolickich wspólnot, dotychczasowa postać katolicyzmu – i jej ideowe, teologiczne uzasadnienie – dalekie są od wizji, która wyłania się z kart Dokumentu końcowego. Można nawet zauważyć, że tę odległość pomiędzy dominującą teologią i praktyką katolicką a zasadniczą ideą synodu widać w treści samego Dokumentu.

Napięcie ujawnia się najwyraźniej w miejscach, w których wspomniana jest hierarchiczna natura Kościoła. Już sam język, który mówi o „Pasterzach” (pisanych, nie wiadomo dlaczego, z wielkiej litery), którym „powierzona została część ludu Bożego”, nie pasuje do tych fragmentów, w których idea synodalności wiąże się z akcentowaniem całkowitej równości wszystkich osób tworzących wspólnotę Kościoła i wspólnie za nią odpowiedzialnych przez pełnienie różnych, ale wzajemnie uzupełniających się funkcji.

Problematyczny jest nie tylko zbyt enigmatyczny punkt 70., w którym napisano, że „Zgromadzenie Synodalne pragnie, by lud Boży miał większy głos w wyborze biskupa” – bez jakiegokolwiek dalszej sugestii, jak taki synodalny proces wyboru biskupa miałby wyglądać. Jeszcze bardziej znamieny jest fakt, że w rozdziałach poświęconych transparentno-



Papież Franciszek podczas mszy kończącej Zgromadzenie Ogólne Synodu Biskupów w Bazylice Świętego Piotra w Watykanie. 27 października 2024 r.

ści procesów decyzyjnych w Kościele nie ma ani słowa o całkowitym braku takiej transparentności w dotychczasowych procedurach mianowania biskupów ani jakiegokolwiek sugestii, że taką transparentność trzeba wprowadzić.

Nie ma też nic o transparentności procedur mianowania proboszczów i wikarych, ani – tym bardziej – o tym, że wierni mogliby (powinni?) mieć wpływ na to, kto jest ich bezpośrednim duszpasterzem. Innymi słowy – najbardziej problematyczny z punktu widzenia synodalności element struktury Kościoła – piramidalna, scentralizowana hierarchiczność – pozostał poza krytyczną refleksją Zgromadzenia Synodalnego.

Myślenie życzeniowe

Równie znamienny jest fakt, że Dokument końcowy Synodu wydaje się najbardziej dopracowany tam, gdzie mówi się o synodalnej duchowości. Fragmenty, które dotyczą tego, jak owa duchowość

powinna wyrażać się w strukturach kościelnych instytucji, są natomiast bardzo ogólnikowe.

Tak na przykład: Dokument wiele mówi o jedności w różnorodności, a co za tym idzie, o tym, że poszczególne Kościoły lokalne powinny mieć jak najszerszą autonomię, poza tymi kwestiami, które muszą być określone na szczeblu powszechnym. Niestety, w Dokumencie nie znajdujemy niemal żadnych wskazówek, gdzie – zdaniem synodu – przebiega granica pomiędzy tymi rodzajami spraw.

Możemy w Dokumencie przeczytać sugestie konieczności zmian w prawie kanonicznym tak, by dostosować je do synodalnego charakteru Kościoła. Nie ma w nim jednak żadnych poważnych konkretnych propozycji takich zmian. Ocena zaś, gdzie aktualne prawo kościelne wspiera synodalność, wydaje się raczej przejawem myślenia życzeniowego, a nie rezultatem wnikliwej analizy.

Kto wprowadzi zmiany?

W niektórych komentarzach okołosynodalnych można znaleźć pewne wyjaśnienie powyżej zarysowanej sytuacji – podkreśla się w nich mianowicie, że synod wytyczył pewien zasadniczy kierunek, a teraz odpowiednie instytucje watykańskie (np. dykasterie odpowiedzialne za prawo kanoniczne) będą tworzyć konkretne rozwiązania.

Być może tak właśnie będzie. Ale pokazuje to tylko, jak mało synodalny jest w tym momencie w rzeczywistości Kościół. Wszak zgodnie z zawartym w samym Dokumencie opisem synodalnego podejmowania decyzji, to nie odgórne instytucje (dykasterie czy nawet papież) powinny wypracowywać konkretne rozwiązania. One powinny być sformułowane w samym synodalnym procesie, papież (lub watykańskie urzędy, które działają w jego imieniu) powinien wchodzić do gry tylko w wyjątkowych przypadkach. Jeśli zatem teraz to papież lub jakaś dykasteria wprowadzi konkretne zmiany, będzie to przeciwieństwo synodalnego sposobu działania.

Nie da się bronić tej słabości synodalnego Dokumentu mówiąc, że konkretne rozwiązania wymagają spokojnego, długiego namysłu, który teraz będą mogły podjąć watykańskie urzędy, korzystając z pomocy specjalistów. Dokument końcowy jest bowiem efektem trzyletniego procesu, w którym brało udział wiele wspólnot oraz... wielu specjalistów z zakresu teologii czy prawa kanonicznego.

Słabość Dokumentu końcowego – czyli to, że brak w nim wielu konkretów, które pokazałyby, jak ogólna idea synodalności może się realizować w praktyce kościelnych wspólnot – jest, moim zdaniem, wynikiem tego, jak bardzo duchowość i praktyka synodalności odbiegają od dotychczasowej dominującej katolickiej mentalności i praktyki. Sama idea synodalności napotykała więc na znaczny opór w wielu miejscach Kościoła. Treść Dokumentu końcowego Synodu wydaje się zatem rezultatem kompromisu pomiędzy tymi, którzy chcieliby katolicyzmu synodalnego, a tymi, którym to sformułowanie wydaje się oksymoronem. Być może taki kompromis jest dziś przejawem synodalności.

Czy czeka nas zatem rewolucja w Kościele? Zobaczymy. ©P

Subiektywna historia „Frondy”

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

Choć zamknięcie kwartalnika „Fronda” jest wydarzeniem symbolicznym, swoich „końców” i przekształceń to z założenia prowokacyjne pismo przeżyło wiele.

NA POCZĄTKU PAŹDZIERNIKA WYDAWCA ogłosił, po niemal 30 latach od ukazania się pierwszego numeru „Frondy”, „koniec naszego czasopisma, przynajmniej w formie, w której ukazywało się ono dotychczas”. Historia „Frondy” w jej wszystkich odsłonach – kwartalnika, wydawnictwa i portalu – jest częścią mojego życia. Nasze drogi się rozeszły. Ale gdy myślę o latach tam spędzonych, nieustannie wraca do mnie jeden obraz, który – i to łączy wielu ludzi z pierwszej, drugiej i kolejnych „Frond” – ukazuje wierność fundamentalnej idei tego pisma. I wcale nie chodzi o konserwatywny katolicyzm ani o prawicowość (choć taki wizerunek, także za sprawą moich wyborów redakcyjnych, „Fronda” miała), ale o pewną formacyjną opowieść, którą sobie przekazywano.

Fronda, jeśli szukać jej źródłosłowa, to starofrancuskie określenie procy, a proca – co w wielu rozmowach powtarzano – to broń Dawida, którą pokonał Goliata. I „Fronda” miała być właśnie taką procą, którą strona słabsza w debacie, pozbawiona wielkich mediów, wpływów, spychana na margines, miała się bronić przed dominującymi dyskursami politycznymi czy religijnymi. Tam, gdzie brakowało wielkich nakładów czy korporacyjnych struktur, tam bronią miały się stać prowokacja, a czasem skrajne przerysowanie wątków, które po drugiej stronie debaty budziło niekiedy grozę. Jej budzenie stało się poza twórców kolejnych Frondowych środowisk.



Założycielski duet

Mitem założycielskim „Frondy” było wesele Grzegorza Górnego, podczas którego miał powstać concept pisma, które z jednej strony będzie owszem, konserwatywne, chrześcijańskie, ale z drugiej absolutnie kontrkulturowe i awangardowe.

To był początek lat 90. Dominującą pozycję na rynku miała „Gazeta Wyborcza”, która prowadziła wojnę nie tyle nawet z Kościołem, ile o duszę Kościoła. Katolicyzm otwarty w duchu Hansa Künga miał zastąpić ortodoksyjny katolicyzm, którego założyciele „Frondy”, Grzegorz Górny i Rafał Smoczyński, uczyli się w Drodze Neokatechumenalnej i Opus Dei. Zamiast jednak tworzyć piśmko katolickie (obciachowe, szarobure i bogoojczyźniane), chciano zbudować coś, co będzie obrazoburcze, działające na liberalny mainstream jak płachta na byka. To dlatego już w pierwszym numerze pojawiła się ankieta dotycząca szatana, w której wzięli udział m.in. Tomasz Jastrun, Marek Jurek, Krzysztof Piesiewicz, Jerzy Prokopiuk, Zbigniew Romaszewski czy Jadwiga Staniszkis.

Przedmiotem ataku miała być również nieszczególnie mądra popkultura, której synonimem był wówczas magazyn „Bravo”. To on był nieustannym źródłem inspiracji, które miały pokazać, że pewne modele przeżywania seksualności prowadzą na manowce. Z niektórych najbardziej radykalnych pomysłów (choćby sugestii, by zrobić wzorowaną na opowieściach o „moim pierwszym razie” ankietę o tym, jak poczęło się moje pierwsze dziecko), rezygnowano, ale inne pojawiały się i często naprawdę wywoływały skandal, ale i pełną zainteresowania dyskusję (także na łamach „Wyborczej”). A wszystko dlatego, że te pierwsze numery z lat 1993-1996 były z jednej strony apologetyczne, neoficko chrześcijańskie, ale z drugiej awangardowe, jadące po bandzie, czasem na granicy (a może i poza) dobrego smaku. Takie teksty jak wywiad z nekrofilem, dzisiaj by nigdzie nie przeszły. Wtedy przyciągały czytelników spragnionych ognia, wyrazistości, ale i kontrkulturowego obrazowania.

To był ten prawdziwie złoty czas „Frondy”. Pierwsze numery zmieniły coś po prawej stronie, uświadomiły znaczenie tego środowiska i pozostały w pa-



STEFAN MASZEWSKI / REPORTER

Na koncercie zespołu Armia podczas obchodów dziesięciolecia pisma „Frona”.
7 listopada 2004 r.

diowałem filozofię, a swoje pierwsze teksty publikowałem na łamach „Więzi” czy „Myśli Protestanckiej”. Raz czy dwa razy Radio Plus, w którym wtedy pracowałem, a którego część pracowników powiązana była z „Froną”, wysłało mnie do ówczesnej siedziby redakcji, ale wtedy raczej w sprawach programu telewizyjnego, który ekipa otrzymała za czasów Walendziaka. Gdy do opublikowania pierwszych tekstów we „Fronzie” namówił mnie Grzegorz Górny, to była to już mniej awangardowa, a bardziej jednolicie konserwatywna „Frona”, prezentująca myśl z obrzeży także prawicowego mainstreamu.

I może dlatego właśnie tam się wtedy odnalazłem. Dwa pierwsze moje teksty z numeru 27/28 w 2002 r. dotyczyły teologicznego usprawiedliwienia samobójstwa u Ignacego Sołowieckiego i teologii czarnego islamu. Kolejne opowiadały o świętości cara Mikołaja II. A później – wraz z powolną ewolucją pisma w kierunku akcentowania „wojny kultur”, pisałem już o aborcji, powtórnie narodzinym prezydencie Georgu W. Bushu czy o chińskich konwertach.

Nowy początek, czyli jak mnie wyrzucono

Skręt Grzegorza Górnego w kierunku coraz większego zaangażowania w tę „wojnę kulturową”, a później objęcie przez niego funkcji redaktora naczelnego tygodnika „Ozon” (w lipcu 2005 r.), którego właścicielem był wówczas Janusz Palikot, doprowadziło do kolejnej zmiany w kwartalniku „Frona”. „Ozon” miał się wówczas stać tygodnikiem pokolenia JP2, bo wydawało się, że tamto wielkie zjednoczenie po śmierci Jana Pawła II jest dowodem na to, że nie tylko to pokolenie istnieje, ale i ma szansę spełnić rolę budziela katolickiego odrodzenia w Polsce i na świecie.

Proca, jaką była „Frona”, została skierowana na front walki z laicyzacją. To niekoniecznie podobało się starej ekipie, która miała poczucie, że niepotrzebnie dokonała się rezygnacja z kontrkulturowego elementu pisma. I to oni przekonali Grześka, by złożył funkcję naczelnego, a jego miejsce zajęła pierwsza ekipa pod wodzą Marka Horodniczego,

która chciała przywrócić bardziej pierwotny model pisma, i zerwać z „ksero-konserwatyzmem”, jak określała bliską amerykańskiego neo- i teokonserwatyzmu linię Górnego. To z jej czasów pochodzą słynne okładki z aniołkiem pokazującym gest Kozakiewicza i podpisem „poza Kościołem nie ma zbawienia” (do tego numeru napisałem tekst ekumeniczny o tym, że zasada ta obecna jest w różnych wyznaniach chrześcijańskich).

Właśnie wtedy po raz pierwszy wyłączałem z redakcji i stopki redakcyjnej. Dlaczego? Bo jako jeden ze współtwórców portalu ekumenizm.pl podpisałem list w obronie osób homoseksualnych. Z powodu „lewicowego odchylenia” moje nazwisko znikło ze stopki w numerze 38 (choć był tam jeszcze mój tekst). Wróciłem do stopki i do pisania, gdy na fotelu naczelnego zasiadł po przerwie związanej z „Ozonem” Grzegorz Górny, a odeszła ekipa wcześniejsza.

Prekursorzy symetryzmu

„Seks po katolicku” – czyli numer 44/45 – oznaczał nie tylko nowy skład redakcji, ale też śmierć kolejnej wersji „Frondy”. Górny zdecydował o silniejszym katolickim zaangażowaniu pisma. Mielśmy być elementem „archipelagu ortodoksji”, czyli grupy różnorodnych katolickich liderów opinii, dziennikarzy, intelektualistów, którzy – niezależnie od różnic – wspólnie bronili cywilizacji życia i kolejnych papieży przed zakusami liberalnie nastawionych katolików i laicyzującego się świata. Polska miała być zapleczem dla odrodzenia wiary.

Nie, „Frona” nie była wówczas polityczna. Ostro krytykowaliśmy – ciekawe, że moim tekstem – pozorną religijność Jarosława Kaczyńskiego, a w numerze o czasach saskich już wtedy prezentowaliśmy podejście, które później określano mianem „symetrystycznego”. „Jeśli Platforma Obywatelska jest za reformą edukacji, to PiS (choć w poprzedniej kadencji wysuwał dokładnie takie same postulaty) będzie przeciwko” – pisałem w 2009 r. w tekście „Recydywa saska”.

Symetryzm był wówczas o tyle prostszy, że wielu pamiętało jeszcze POPiS, który miał być właśnie odpowiedzią liberalno-konserwatywną na procesy laicyzacyjne. Niewielu pewnie pamięta, że kard. Stanisław Dziwisz organizował wówczas

mięci jako coś nowego. Doceniono to zresztą, bo Wiesław Walendziak, ówczesny prezes TVP, zaproponował stworzenie w 1994 r. wersji telewizyjnej kwartalnika, czyli Programu Poświęconego. On także dawał do myślenia, a czasem zwyčajnie prowokował.

Pierwszy koniec

Kiedy to się skończyło? Gdy z redakcji odszedł Rafał Smoczyński. Był rok 2001, po latach sukcesów pisma Smoczyński miał przeżyć kryzys światopoglądowy i zająć się nauką. Dynamizm pozostał, pozostali świetni graficy oraz środowisko, które później przez lata ciągnęło pismo. Został też Grzegorz Górny, który stał się głównym znakiem rozpoznawczym. Jednocześnie w otoczeniu „Frondy” pojawili się ludzie, którzy pozwolili jej przetrwać finansowo (to oni obecnie odpowiadają za Wydawnictwo Fronda i portal Fronda.pl, które organizacyjnie nie mają ze sobą nic wspólnego), ale też zaczęli „uprofesjonalniać”, a niekiedy określać wewnętrzne stosunki. To była wówczas nowość w tym anarcho-konserwatywnym środowisku.

Ja sam ten pierwszy okres znam jedynie z opowieści. W tamtym czasie stu-

→ rekolekcje dla Platformy Obywatelskiej. „Fronda” stała wtedy po innej stronie debaty katolickiej, ale to wcale nie oznacza, że nie było w niej sympatii dla liberalnych pomysłów gospodarczych.

Archipelag ortodoksji

Niewątpliwie w latach 2009-2011 „Fronda” stała się jednym z bardziej wyrazistych przedstawicieli tzw. archipelagu ortodoksji i ostro, niekiedy prowokacyjnie broniła pozycji konserwatywnych w dziedzinie moralnej i religijnej. Uczciwie muszę przyznać, że robiła to także moim piórem, bo i ja byłem wówczas absolutnie przekonany, że jest to najlepsza z możliwych dróg.

To był również czas, gdy z Grzegorzem Górnym prowadziliśmy telewizyjny program „Wojna cywilizacji” i wydawaliśmy wspólnie książki (choćby „Bitwa o Madryt” o zapateryzmie czy wywiad rzekę z abp. Józefem Michalikiem). Byliśmy wówczas przekonani, że wizja Jana Pawła II i Benedykta XVI, a także ostrożna droga polskiego Kościoła jest przyszłością, i nie mieściło nam się w głowie, że i do Polski przyjdzie kiedyś błyskawiczna laicyzacja. Zapateryzm był wówczas silnym straszakiem.

Koniec kolejnego etapu papierowej „Frondy” związany był ze mną, bo Grzegorz Górny zrezygnował z bycia naczelnym po tym, jak wydawnictwo Fronda w 2012 r. opublikowało wywiad rzekę (mój) z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim, w którym duchowny ten mówił o tym, że w polskim Kościele istnieje lawendowa mafia. To, zdaniem wielu duchownych i świeckich publicystów, był atak na Kościół, bezlitosna krytyka, której nie wolno było wybaczyć. I dlatego, na znak protestu przeciwko wydaniu tej książki, Górny odszedł z „Frondy”.

I tak właśnie – to jednak jest pewien paradoks – zostałem redaktorem naczelnym kwartalnika (od roku 2012 i numeru 64). To była – dzisiaj mam tego świadomość – kolejna „śmierć” Frondy, bo odszedł z niej ten, który ją założył. I nawet jeśli starałem się wówczas (z głębokiego przekonania o konieczności walki o cywilizację życia) zachować dotychczasowy kierunek, to nie było to już możliwe. Wtedy byłem skoncentrowany na kwestiach bioetycznych, byłem przekonany, że to w tej dziedzinie rozgrywa się kluczowy spór współczesności i już choćby dlatego „Fronda” (i kwar-

talnik, i portal) pod moim kierunkiem wyraźnie skreśliła w tę stronę.

Nie udało mi się, i to też jest moja wina, nigdy zbudować nowego środowiska – choć przez portal i kwartalnik przewinęło się wielu świetnych autorów (do tej pory obecnych w przestrzeni publicznej, by wymienić choćby Stefana Sękowskiego, Łukasza Adamskiego, Tomasza Rowińskiego czy Piotra Goćka).

Może dlatego jesienią 2013 r. właściciel wydawnictwa Michał Jeżewski podjął decyzję o zmianie szefostwa w kwartalniku (pozostałem naczelnym portalu, ale to zupełnie inna historia). I wtedy na arenę dziejów wszedł Mateusz Matysz-



kowicz i jego ekipa „Frondy LUX”. On, to trzeba jasno powiedzieć, stworzył nowe środowisko, potrafił je wypromować jako „hipster-prawicę”, i zdecydował się zmienić – po raz kolejny – linię pisma. To już nie było pismo starcia cywilizacji, tylko próba powrotu do przekonania, że katolicyzm jest kontrkulturą zdolną do dialogu z kulturą współczesną. Gry obrazami, wpisanie się w kody popkulturowe były tym, co niewątpliwie tej ekipie wychodziło znakomicie. Do „Frondy” weszli wtedy ludzie, którzy później (za PiS-u) mieli się przenieść do mediów publicznych. To miał być wówczas świeży powiew prawicy, i za taki uważała go nawet „Gazeta Wyborcza”.

Wtedy rozeszły się moje drogi z kwartalnikiem, choć nie z „Frondą” w ogóle. Ostatnią książkę – poświęconą kryzysowi w Kościele – opublikowałem w wydawnictwie w 2020 r., a ostatecznie współpracę z portalem fronda.pl zakończyłem w roku 2016.

Ale i to nie był ostatni koniec „Frondy”, bo po ekipie Mateusza Matyszkowicza przyszła jeszcze następna... I ta doczekała do końca papierowej wersji kwartalnika. Wciąż istnieją jednak przecież wydawnictwo (które ma się całkiem nieźle) oraz portal.

Rachunek sumienia

I na koniec trudno jest mi nie zadać pytania: czego mnie nauczyła „Fronda” i jaka jest lekcja z historii tego pisma i środowisk, które go tworzyły? Pierwsza odpowiedź – w mniejszym stopniu dotycząca mnie samego i pierwszych tworzących je ekip, a w większym hipster-prawicy – brzmi: bieżąca polityka zabija niezależność myślenia i pisania, a wejście w nią wyznacza koniec niezależności. Tę drogę wybrali – z żalem to przyznaję – zarówno znajdujący się już na marginesie Mateusz Matyszkowicz (w ostatniej fazie rządów PiS prezes TVP), jak i Dawid Wildstein (od 2022 r. w strukturach decyzyjnych radiowej Trójki) czy Samuel Pereira (kierownik TVP Info).

Druga – i to już bardziej uwaga do linii pisma, którą sam tworzyłem – uświadamia, że zaangażowanie w starcie cywilizacji czy wojnę kultur staje się istotną blokadą w skutecznym głoszeniu Dobrej Nowiny. Szukanie winnych, analizowanie błędów, szukanie najlepszych modeli pokazania zła strony przeciwniej, uniemożliwia dostrzeżenie w innych ludziach kogoś takiego samego jak my, tak samo zagubionego, szukającego i pragnącego dobra. A jeśli nie widzi się w drugim bliźniego, tylko przeciwnika, to trudno w spotkaniu z nim zaprezentować Ewangelię. Tego musiałem się nauczyć po odejściu z „Frondy”.

Ale jest i trzecia refleksja. Może najsmutniejsza. Otóż w związku ze zmianami kulturowymi i politycznymi, w związku z procesem stopniowego przejmowania prawicy przez populizm, takie pismo jak pierwsza „Fronda” jest już zwyczajnie niemożliwe. Wywiad z nekrofilem czy analizowanie religijności Jarosława Kaczyńskiego zostałyby dzisiaj potępione nie tylko przez stronę politycznie poprawną, ale i przez strażników kontrrewolucyjnej moralności. Niewiele też jest w naszej rzeczywistości miejsca na próby pojednania kontrkultury i religii, konserwatyzmu i awangardy. Ten element świata pierwszej „Frondy” już umarł.

© TOMASZ TERLIKOWSKI

ZUZANNA

Radzik: Na skrawku siedzenia



PO RAZ PIERWSZY W ŻYCIU ROZKRACZAM SIĘ, SIADAJĄC JAK MI NAJWYGODNIEJ NA SIEDZENIU W POCIĄGU. Zupełnie jak mężczyzna naprzeciwko, ale jemu nie powtarzano od dziecka, że ma siedzieć ze złożonymi kolanami. Nie odważyła-

bym się, gdyby nie złe samopoczucie i to, że nie jestem w stanie tak bardzo się skulić jak zwykle, zając tak mało miejsca. Przecież nie jestem jakaś szczególnie nieśmiała, ale tabu to tabu. I przecież w spodniach się rozkraczam, więc nie jest to szczególnie bezwstydne. Przyznam, że fascynuje mnie to, iż wielu mężczyzn nie ma z tym rozpieraniem się w przestrzeni żadnego problemu. Ilekroć napierają na mnie z obu stron w tramwaju, metrze czy autobusie rozkraczone męskie kolana, staram się przynajmniej nie kulić się nadmiernie, nieco swoją przestrzeń odzyskać. Ale żeby tak bezwstydnie zabierać cudzą?

W tym pociągu więc usprawiedliwiam się w myślach, choć nikt nie pyta. Jednocześnie czytam książkę Natalii Waloch „Bo nie”, w której dziennikarka „Wysokich Obcasów” namawia właśnie do tego, by odmawiać światu, rzucać wyzwanie odruchom własnej socjalizacji, nie zawsze dyscyplinować ciało i żądać więcej. Książka niczym terapia na dylematy, które właśnie przeżywam. Nie zrozumcie mnie źle, to nie książka namawiająca, żeby zupełnie nie myśleć o innych, ale taka, która mierzy się z socjalizacją kobiet, nauczonych, by rzadko myśleć o sobie i swoich potrzebach.

A że długa droga czeka mnie tego dnia, to przeczytam też drugą książkę, znów feministyczną. Wywiad Katarzyny Sroczyńskiej z psycholożką i psychoterapeutką prof. Barbarą Józefik „Gender w gabinecie. Rozmowy o ciele, płci i relacjach”. Oprócz fascynujących rozmów feministycznie wrażliwej dziennikarki z feministycznie wrażliwą psycholożką cieszy też to, że taką rozmowę można przeczytać w wydaniu „Biblioteki Więzi”. Nie co dzień katolickie wydawnictwa, zamiast demonizować, traktują gender jak narzędzie czytania świata. Czuję dzięki temu, jakby było normalnie. Jakby katolicyzm nie wykluczał się z widzeniem świata z perspektywy wiedzy o płci kulturowej, tym jak postrzegamy siebie w ciele i co nam to robi z głową, związkami i stosunkiem do samych siebie.

Jadę więc przed siebie i czytam, udając, że synod zakończony w Rzymie wcale nie jest rozczarowaniem. Waka-

cje mam, krótkie, jesienne. Nie zamierzam się złościć, nie planuję przeżywać. Przecież gdy zaczynał się te trzy lata temu, już wtedy niewiele się po nim spodziewałam. Już wtedy bałam się, że nabierzemy się na te konsultacje, partycypację, a będzie jak zwykle. No i jest. Jasne – końcowy dokument zawiera paragraf o poszerzeniu pola posługi kobiet, ale bez konkretów. Resztę wyjaśni się w komisjach i watykańskich gabinetach. Współczesna historia zna już takie wyjaśnianie spraw kobiet w Kościele, w gabinetach i komisjach tworzonych przez mężczyzn. Gorsze jest może to, że przy całym mówieniu o synodalności wiemy, iż rozmowę o posługach kobiet zablokowało osobiste papieskie poczucie Franciszka, że na to jeszcze nie czas, że sytuacja nie dojrzała. Co to za ułomna synodalność, jeśli decyduje ostatecznie głos jednej osoby? I co za słaba sakramentologia, która do tych samych zadań mężczyzn uzbraja w role, tytuły i szczególne łaski (czyli święcenia), a kobiety wysyła jak bądz. Niech idą, ogarną, dadzą przecież radę...

Trochę mną w środku ten finał synodu telepie, ale mam wakacje. Udać mi się zachować pozory obojętności do momentu, gdy na naszych łamach „Tygodnika” czytam krótki wywiad z księdzem Halikiem, który twierdzi, że ci, którzy oczekują od synodu radykalnych zmian w instytucjach Kościoła, prezentują postawę klerykalną. Jak jednak ma się zmienić scentralizowany rzymski katolicyzm, skoro wystarczy, by papież nie czuł tematu zmian roli kobiet, a cała dyskusja, karmiona głosami globalnych konsultacji, natychmiast wyhamowuje? Jak on sobie inaczej wyobraża zmianę instytucji, która za nadmierne oddolne eksperymenty potrafi wyrzucić z diecezji całą parafię, lub teologa z uczelni, bo w końcu ma kodeks prawa oraz długą tradycję ekskomunik i wciąż potrafi ich użyć?

Wracam do moich pociągowych lektur i dumam, co by znaczyło dla kobiet rozeprzeć się w Kościele jak nigdy wcześniej, niczym ja w tym fotelu. Zagarnąć bezwstydnie przestrzeń i przestać udawać, że kolejne kilkadziesiąt lat męskiego dumania nad naszą rolą przetrwamy na tym skraweczku siedzenia. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet”.

NAJDROŻSZA KAMPANIA W HISTORII AMERYKI

Listopadowe wybory w USA kosztowały niemal 16 mld dolarów. Walka o Białą Dom to maraton, który pochłania coraz większe pieniądze – i uzależnia polityków od miliarderów oraz grup interesu.

MARTA ZDZIEBORSKA

PONAD PÓŁ MILIARDA DOLARÓW – TYLE sztaby Harris i Trumpa oraz wspierający ich sojusznicy wydali na kampanię prezydencką w ciągu pierwszych szesnastu dni października. Choć pełne dane finansowe poznamy dopiero jakiś czas po wyborach, ostatnia kampania prezydencka jest na dobrej drodze, aby pobić rekord takich wydatków w USA.

OpenSecrets, organizacja śledząca przepływy finansowe na kampanie, szacuje, że listopadowe wybory federalne – te o fotel prezydenta oraz o miejsca w Kongresie – mogły kosztować 15,9 mld dolarów. To o 800 mln więcej niż w 2020 r. (jedynie gdyby uwzględnić inflację, wyjdzie na to, że tegoroczny wyścig był nieco tańszy).

Ale jeszcze w trakcie wyborczej walki padł rekord w historii amerykańskiej polityki. Do końca września, czyli w ciągu niecałych trzech miesięcy od ogłoszenia jej kampanii prezydenckiej, Kamala Harris zebrała miliard dolarów. To tyle, ile Donald Trump uciułał podczas swojego niemal dwuletniego boju o Białą Dom.

O tym, czy te astronomiczne pieniądze były w stanie zapewnić Harris zwycięstwo, zdecydowali w wyborach 5 listopada Amerykanie (tekst ten ukończono jeszcze przed głosowaniem). Jedno jest pewne: wyścig prezydencki w Stanach stał się finansową jazdą bez trzymanki, która podkopuje zaufanie do amerykańskiej demokracji.

Klub wpływowych

Według wyliczeń Forbesa, bój Trumpa i Harris o Białą Dom wsparło co najmniej stu miliarderów. Donalda Trumpa zasilą finansowo nie tylko najbogatszy człowiek świata Elon Musk, ale także inne grube ryby: Timothy Mellon (spadkobierca imperium bankowego), Miriam Adelson (wdowa po magnacie kasynowym Sheldonie Adelsonie) oraz Richard Uihlein, który dorobił się fortuny na produkcji opakowań kartonowych.

Z upublicznionego sprawozdania dla Federalnej Komisji Wyborczej wynika, że tylko od lipca do września Musk, Adel-

son i Uihlein zasilili zaplecze Trumpa kwotą 220 mln dolarów. Na ostatniej prostej dolarami sypnęli też m.in. Jan Koum (współzałożyciel WhatsAppa) i inwestor z Doliny Krzemowej Marc Andreessen.

Z kolei w obozie Harris do grupy darczyńców z najwyższej półki należą magnat medialny Michael Bloomberg,





Elon Musk na spotkaniu z kandydatem Republikanów do Senatu USA Dave'em McCormikiem w Pittsburghu w Pensylwanii, 20 października 2024 r.

współzałożyciel Facebooka Dustin Moskovitz, miliarderka-filantropka Melinda French Gates oraz współzałożyciel Netflixa Reed Hastings. Ten ostatni na wsparcie Harris przeznaczył w trzecim tygodniu lipca, czyli tuż po rezygnacji Bidena z wyścigu, okragłe 7 mln dolarów.

Ta kwota blaknie jednak w porównaniu do gestu wspomnianego Timothy'ego Mellona, który od początku roku na kampanię Trumpa przekazał co najmniej 140 mln dolarów. Kolejny na liście Elon Musk do połowy października przelał niemal 119 mln dolarów na konto America PAC – utworzonej przez siebie grupy,

która wypuszczała protrumpowskie reklamy i namawiała do pójścia do urn republikańskich wyborców w tzw. stanach się wahających.

Grupa Muska wywołała też duże kontrowersje, oferując milion dolarów zwycięzcom loterii dla zarejestrowanych wyborców, którzy podpiszą petycję ↪

→ popierającą wolność słowa i prawo do posiadania broni palnej.

Komitety obok sztabów

Obaj ci miliarderzy – Mellon i Musk – mogli wpompować w kampanię Trumpa ogromne środki, bo przekazali je tzw. organizacjom super PAC, czyli komitetom akcji politycznej wspierającym określonego kandydata lub sprawę.

Z racji tego, że komitety te działają poza strukturami sztabowymi, nie obowiązują je limity wpłat. Gdyby Musk chciał zasilić bezpośrednio kampanię Trumpa jako darczyńca indywidualny, mógłby mu przelać tylko 6,6 tys. dolarów – połowę, gdy ten startował w prawyborach Partii Republikańskiej, a drugą część, gdy miał już nominację partyjną. Pozostaje także przekazanie środków komitetom partyjnym, jednak nie ma tu mowy o wielomilionowych wpłatach.

Ze wsparcia tzw. komitetów super PAC korzystała też Kamala Harris. Główna grupa w jej obozie, Future Forward, na końcówce wyścigu wydała na spoty telewizyjne więcej niż sztaby Harris i Trumpa razem wzięte. Reklamy te sfinansowali m.in. kryptowalutowy miliarder Chris Larsen i wspomniany współzałożyciel Facebooka Dustin Moskovitz, który w pierwszej połowie października przekazał 25 mln dolarów.

Luki w przepisach

Choć w tym okresie Future Forward zebrało okrągłe 89 mln dolarów, na dobrą sprawę nie wiadomo, kto jeszcze stał za największymi wpłatami. Dzieje się tak, gdyż komitety super PAC korzystają z luk w przepisach: co prawda muszą upubliczniać listę darczyńców, jednak nic nie stoi na przeszkodzie, aby figurowały na niej także tzw. *dark money nonprofits*, czyli organizacje niemające obowiązku raportowania, skąd mają środki.

W ten sposób do świata polityki płyną pieniądze od niejawnych grup interesu, i to po obu stronach politycznej barykady. Organizacja OpenSecrets wyliczyła, że w 2020 r. komitety super PAC – wspierające kandydatów na prezydenta oraz kandydatów startujących w wyborach do Kongresu – zebrały 660 mln dolarów od organizacji *dark money* i spółek wydmszek.

Na tajemniczych wpłatach najbardziej skorzystali wtedy Demokraci i ów-

czesny kandydat Joe Biden. Jego kampanię zasiłło ok. 174 mln dolarów od anonimowych darczyńców. To ponad sześć razy więcej niż w przypadku jego rywala Trumpa. Jednym słowem: Demokraci korzystają z systemu, choć wielokrotnie apelowali o jego reformę i zasypanie luk prawnych w finansowaniu kampanii politycznych.

Zaczęło się od filmu

Machina wyborcza, coraz bardziej uzależniona od zewnętrznych grup interesu, pędzi bez opamiętania za sprawą wyroku Sądu Najwyższego z 2010 r. Orzekł on, że nie można zakazywać finansowania wyborów korporacjom, związkom zawodowym oraz innym grupom, gdyż byłoby to naruszeniem konstytucyjnego prawa do wolności słowa.

Werdykt ten wienczył batalię rozpętana przez konserwatywną organizację Citizens United, która przed prawyborami Partii Demokratycznej w 2008 r. chciała wyemitować w telewizji kablowej dokument „Hillary: The Movie”. Sąd niższej instancji uznał wówczas, iż film ten, krytyczny wobec startującej w tych prawyborach senatorki Hillary Clinton, to nic innego jak agitacja wyborcza objęta przepisami federalnymi dotyczącymi finansowania kampanii. A te zakazywały organizacjom *non profit* opłacania ze swojego budżetu spotów na 30 dni przed prawyborami.

Gdy Sąd Najwyższy przekreślił obowiązujący porządek, dziennik „New York Times” nazwał to „ciosem w demokrację”, który burzy mur między korporacjami a polityką. Ten trzymał się mocno od 1907 r., gdy po skandalu wokół kampanii prezydenckiej Theodore’a Roosevelta zakazano korporacjom i bankom dotowania kandydatów na urzędy federalne.

Pierwszy krok w tył Sąd Najwyższy zrobił już w 1978 r., zezwalając korporacjom na finansowanie kampanii dotyczących stanowych inicjatyw ustawodawczych (również na nie płyną duże pieniądze). Gdy w 2010 r. sędziowie jeszcze szerzej otworzyli drzwi dla amerykańskiego biznesu, była to prosta droga do zakładania wspomnianych komitetów super PAC – i do dalszego poluzowywania restrykcji. Skorzystała na tym nie tylko korporacje, ale także miliarderzy pragnący mieć jeszcze większy wpływ na politykę.

Gdzie Stany, gdzie Francja

Nie jest zaskakujący fakt, że w następnej dekadzie wybory federalne stały się najdroższymi w historii USA. I tak, według wyliczeń dziennika „Wall Street Journal”, tegoroczne wybory federalne kosztowały – uwzględniając inflację – niemal dwa razy więcej niż te w 2016 r. oraz trzykrotnie więcej niż wybory na początku XXI wieku.

W porównaniu z europejskimi politykami, amerykańscy dysponują astronomicznymi budżetami. Cztery lata temu Biden wydał 70 razy więcej na kampanię niż ubiegający się w 2022 r. o reelekcję prezydent Francji Emmanuel Macron (gdy tymczasem Stany mają tylko ponad pięć razy większą populację niż Francja).

Przyczyną tak wielkich wydatków są nie tylko amerykańskie regulacje, które je umożliwiają. Pamiętajmy, że USA to ogromny kraj: kandydat walczący o Białą Dom musi dotrzeć ze swoim przekazem do mieszkańców 50 stanów, opłacając zwłaszcza drogie spoty reklamowe w radiu i telewizji.

Wyborczy outsourcing

Swoją rolę odgrywa także czas. Przykład Kamali Harris, która na start i dobiegnięcie do wyborczej mety miała nieco ponad trzy miesiące, to absolutny wyjątek. Zwykle kampanie prezydenckie to maratony trwające nawet dwa lata – uwzględniając prawybo-ry, które służą wyłonieniu zwycięzcy w wyścigu o nominację partyjną.

Donald Trump swoją trzecią z kolei kampanię prezydencką ogłosił 15 listopada 2022 r. Potem przebył wyboistą drogę, zmagając się z mniejszymi wpływami na kampanię m.in. od „finansowych płotek”, tj. osób wpłacających po mniej niż 200 dolarów.

Według analizy agencji The Associated Press i organizacji OpenSecrets, jeszcze cztery lata temu takie datki stanowiły niemal połowę wpłat na jego kampanię. W tegorocznym wyścigu – już tylko niecałą jedną trzecią.

Mając przytkany jeden kurek z pieniędzmi, Trump musiał oprzeć się mocniej na komitetach super PAC (jak ten należący do Muska), powierzając im mobilizację elektoratu w stanach kluczowych dla wyścigu, choć to zadanie należące tradycyjnie do sztabów. Na taki wyborczy outsourcing zezwoliła w tym roku Federalna Komisja Wyborcza.



Donald Trump wręcza Prezydencki Medal Wolności Miriam Adelson, która hojnie wspierała jego kampanię. Waszyngton, 16 listopada 2018 r.

ALEX WONG / GETTY IMAGES

Wysyp spotów

Patrząc na te zmagania Trumpa, Kamala Harris miała przed sobą czerwony dywan. Każdego miesiąca jej sztab zbierał i wydawał kilkukrotnie więcej pieniędzy niż Trump. A choć przewaga finansowa nad rywalem nie gwarantuje wygranej – co wcześniej pokazała porażka Hillary Clinton w 2016 r. – to pieniądze dają duży komfort szczególnie na końcówce kampanii. Podczas gdy Harris mogła skupić się na spotkaniach z wyborcami, Trump musiał wykroić jeszcze cenny czas na zbieranie funduszy.

Duży budżet umożliwia też zalenie wyborców większą liczbą spotów. Na finiszu sojusznicy Harris mocno inwestowali w reklamy telewizyjne dotyczące obniżenia podatków, opieki zdrowotnej i osoby jej rywala. W tych ostatnich spotach wykorzystano m.in. słowa jego byłego szefa personelu Białego Domu, generała Johna Kelly'ego, który w wywiadzie dla „New York Timesa” twierdził, iż Trump mieści się w ogólnej definicji faszysty.

W ostatnim terminie

Z kolei sojusznicy Republikanina w tzw. stanach wahających się pompowali pieniądze w spoty atakujące Harris za dawne poparcie dla finansowania z publicznych pieniędzy operacji korekty płci dla więźniów. Wykorzystano polaryzujący społecznie temat do przyciągnięcia mężczyzn i mieszkanki przedmieść.

Na ostatniej prostej powstał też nowy protrumpowski komitet RBG PAC,

który wydał niemal 20 mln dolarów na reklamy w sieci mające złagodzić wizerunek Trumpa w kwestii aborcji – po tym, jak w czasie swej prezydentury nominał do Sądu Najwyższego trzech konserwatywnych sędziów, którzy potem przyłożyli rękę do zniesienia federalnego prawa do przerywania ciąży.

Komitet ten złożył wniosek o rejestrację dokładnie 16 października, gdy mijał termin na wysłanie sprawozdań finansowych do Federalnej Komisji Wyborczej. Dzięki temu manewrowi grupa ta – przewrotnie nawiązująca swoją nazwą do inicjałów Ruth Bader Ginsburg, zmarłej sędzi Sądu Najwyższego, która broniła prawa do aborcji – nie musiała ujawniać przed wyborami listy swych darczyńców.

Naciski i oczekiwania

W amerykańskiej maszynie wyborczej mnożą się pytania nie tylko o tajemniczych darczyńców, ale także o intencje tych, którzy jawnie syją milionami dolarów.

Na ostatniej prostej media wałkowały zapowiedź Trumpa, że w przypadku wygranej może powołać Muska na przewodniczącego komisji, która miałaby czuwać nad „efektywnością” amerykańskiej administracji. W praktyce ciało to mogłoby rekomendować cięcia wydatków i zmiany w przepisach. Dla Muska, właściciela SpaceX – firmy z branży kosmicznej – byłaby to furka do kontrolowania tych, którzy do tej pory kontrolowali jego działania.

Weźmy pod lupę także Miriam Adelson, amerykańską Żydówkę, która zasiłała finansowo każdą kampanię Trumpa o Białą Dom. Jej mąż Sheldon, wspomniany już magnat kasynowy, wsparł ponoć pierwszą kampanię Republikanina w 2015 r., bo ten miał obiecać mu, że jako prezydent przeniesie ambasadę USA z Tel Awiwu do Jeruzolimy.

Tak się zresztą stało, a na ceremonii jej otwarcia brylowało małżeństwo Adelsonów (znane także z dobrych relacji z premierem Izraela Benjaminem Netanjahu). Dziś „New York Times” spekuluje, że Miriam Adelson (od 2021 r. wdowa) może ponownie naciskać w sprawach bliskowschodnich na Trumpa.

Sytuacje, które mogą budzić podejrzenia, iż chodzi o jakieś interesy, mają miejsce także u Demokratów. Jeszcze zanim Harris przyjęła w sierpniu nominację partyjną, współzałożyciel serwisu LinkedIn Reid Hoffman obwieścił w wywiadzie dla CNN, że ma nadzieję, iż ta w przypadku zwycięstwa odwoła Linę Khan, szefową Federalnej Komisji Handlu.

Khan znana jest z antymonopolowego kursu wobec firm technologicznych i innych gigantów. Według doniesień medialnych do jej odwołania nakłaniają także grube ryby z Wall Street, które chciałyby zwolnić także innego regulatora – Gary'ego Genslera, szefa Amerykańskiej Komisji Papierów Wartościowych i Giełd.

Pragnienie reformy

W świetle tych wszystkich informacji nie dziwi, że według sondaży ponad 70 proc. Amerykanów chce zaostrzenia przepisów dotyczących limitów wpłat na kampanie, a 60 proc. uważa, że ograniczenie wpływu wielkich pieniędzy na politykę powinno być najwyższym priorytetem.

Na razie jednak w tegorocznych wyborach po raz kolejny „przepalone” zostały miliardy dolarów. Amerykanie zaś ponownie obudzili się następnego dnia z poczuciem, że uczestniczyli w koszmarnie drogim przedstawienu.

© MARTA DZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press”.

Tekst ukończono 30 października.

Staram się nie być sama

ANTONINA PALARCZYK

Z OBWODU DONIECKIEGO (UKRAINA)

Olga Danczenko-Konował ma 36 lat i jest wdową. Jej mąż, żołnierz ukraiński, zginął na froncie kilka miesięcy temu. Oto jej opowieść: o Serhiju, miłości i stracie. A także o innych kobietach, które też straciły swoich kochanych.



ARCHIWUM PRYWATNE x2

Olga Danczenko-Konował, 2024 r.

SERHIJ MAWIAŁ, ŻE MIEJSCE PRAWDZIEGO wolontariusza jest na froncie – mówi mi Olga, gdy spotykamy się w przyfrontowym miasteczku w obwodzie donieckim. – I właśnie na froncie się poznaliśmy: ja wolontariuszka, on dowódca kompanii „Stalowa Sotnia” w 67. Brygadzie, stworzonej na bazie Ukraińskiego Ochotniczego Korpusu Prawy Sektor. To była wiosna 2022 r., front w obwodzie charkowskim, niedaleko miejscowości Barwinkowe.

Serhij służył od 2014 r. Kiedy pierwszy raz trafił na front, miał 22 lata. Na początku był w „Hospitalierach”, ochotniczej jednostce medycznej. Potem kierował tarnopolskim Prawym Sektorem.

Przyjechałam do jego oddziału na cztery dni. Zostałam do teraz. Żyłam z tym oddziałem. Nie, nie brałam udziału w walkach. Odpowiadałam za zaopatrzenie dla chłopaków. I dbałam o ich stan moralno-psychologiczny, mam dyplom psychologa.

W sierpniu 2023 r. Serhij oświadczył mi się, a w styczniu 2024 r. wzięliśmy ślub, w Tarnopolu. Choć nie chciałam zimowego ślubu. Wyobrażałam sobie, że będzie ciepło i pięknie. Jak małej dziewczynce, marzyły mi się pantofelki i warokocze. Ale on nalegał, mocno.

TEN DZIEŃ | Serhij zginął w kwietniu 2024 r. Razem z nim zginął jego zastępca i najlepszy przyjaciel, Taras. Wcześniej Taras przygotowywał żonę na swoją śmierć. Wspominała, że czuła to w rozmowach z nim. Ja z Serhijem – nigdy. Nie mówił nic takiego, nie miał fatalistycznego nastawienia. Zawsze, kiedy wychodził na pozycję, miał gdzieś schowaną notatkę ode mnie – taką mieliśmy tradycję. Nigdy nie wiedział dokładnie, gdzie je schowałam. I zawsze, kiedy kończyła się jego rotacja, lub kiedy sytuacja nagle się pogarszała, od razu pisał mi wiadomość. „U nas beznadzieja”. Odpowiadałam: „To znajdź notatkę”. Tak było za każdym razem.

Zawsze czekałam, żeby zostawił też coś dla mnie, ale nigdy nie było dla mnie notatki. Aż przyszedł dzień jego śmierci. Dostałam wiadomość, gdy byłam w drodze powrotnej z Wielkiej Brytanii – w Krakowie na lotnisku. Potem było pożegnanie na kijowskim Majdanie, a następnie pożegnanie i pogrzeb w Tarnopolu.

Nie zabawiłam długo w zachodniej Ukrainie, po tygodniu wróciłam do oddziału. Weszłam do naszego pokoju w przyfrontowej kwaterze, otworzyłam laptop Serhija. Chłopcy nie dotykali w pokoju nic od jego śmierci. Na laptopie otworzony był plik z długą notatką, wręcz listem dla mnie. Pierwszy raz, kiedy zrobił to dla mnie, był też ostatnim.

Nie było w nim złych przeczuć. Pisał mi, co będzie, jak wróci z pozycji. O tym, że byśmy poszli na pizzę w Kramatorsku.

ŚWIADOMOŚĆ | Kiedyś zginął też mój bliski przyjaciel. Wcześniej, na długo przedtem, przygotowywał na to swoją żonę. Nagrał specjalnie wideo, na którym pokazywał, jak wymienić akumulator w samochodzie. Gdzie klucz do piwnicy, gdzie do garażu. Zginął trzy miesiące później.

Nie, to nie kwestia przecucia. To po prostu świadomość ryzyka i możliwości śmierci. Rozmawiam z chłopakami o takich przecuciach. Nie jak psycholog, tylko po przyjacielsku. O tym, co w ich głowach, oraz o praktycznych kwestiach, które powinni brać pod uwagę.

Przypominam na przykład o napisaniu testamentu. Oraz że w Zbrojnych Siłach Ukrainy jest bezpłatny program zamrożenia nasienia. Chłopcy są w szoku, wręcz przestraszeni, gdy słyszą o tym po raz pierwszy. Wyjaśniam im, że gdybyśmy z Serhijem wiedzieli wcześniej o tej możliwości, teraz z dumą urodziłabym jego dziecko. Tej możliwości nie będzie już nigdy.

PLAN | To było lato 2023 r., gdy zaczęły się u mnie ataki panicznego strachu o Serhija. Bałam się cały czas. Zaczęłam kon-



Olga i Serhij pobrali się w styczniu 2024 r. Mąż zginął na froncie trzy miesiące później.

trzymać jego każdy krok. Gdy był na pozycjach i choć przez godzinę nie dawał znać, co u niego, zaczynałam się trząść. Kontaktowałam się wtedy z innymi chłopakami, którzy byli na zmianie, aby usłyszeć np., że Serhij po prostu śpi.

Poszłam wtedy do psychologa. Ten zaproponował: wyobraź sobie, że to się stało, że Serhij nie żyje. Wyobraź sobie, że właśnie się o tym dowiedziałas. Zrób sobie w głowie plan na wszelki wypadek. Wówczas bardzo mi to pomogło.

PRZESTRZEŃ | Trzeciego dnia po śmierci Serhija powiedziałam, że będzie zemsta. Uruchomiłam produkcję dronów FPV. Początkowym celem była setka. Do teraz zrobiliśmy i wykorzystaliśmy ich ponad trzysta.

Pragnienie zemsty za Serhija podtrzymało mnie, nie rozsyłałam się. I dało to nadzieję także innym wdowom. Dostałam mnóstwo wiadomości, w któ-

rych pisały, że widzą w tym inspirację. Trudno jest, gdy zabili twojego męża i nie możesz nic zrobić, jak tylko usiąść i płakać. A zemsta i działania przynoszą ulgę. Wiele kobiet po stracie zabiera się za intensywny wolontariat. Często starają się trafić do tego oddziału, w którym służył poległy. Szukają siły i schronienia w przestrzeni, która zadała im największy ból.

BRAK | Mija trzeci rok wojny. Niektóre z wdów zdążyły powtórnie wyjść za mąż. Niektóre znowu za wojskowego. Niemal każda przynajmniej raz, w swoim czasie, myślała o samobójstwie. Nie słyszałam o takiej z nas, która by nie miała takich myśli. Myśli, że to będzie jedyna skuteczna ucieczka od tego stanu zapaści, od tego stresu.

Brakuje nam fizycznego kontaktu, bliskości. Mnie przytulają dwie bliskie przyjaciółki. Przeglądając nasze wspólne zdję-

cia, niemal na każdym widzę, jak się obejmujemy. Rozmawiałam z nimi o tym; usłyszały, jak jest to dla mnie ważne. Bo one wrócą do swoich domów i przytulą się do swoich mężów. A ja wrócę do domu sama.

Cieężko być w cywilnym świecie, wśród kompletnych rodzin. W mediach społecznościowych odsuwam się od widoku tych, którzy wrzucają szczęśliwe zdjęcia rodzinne. Zwłaszcza jeśli to znajomi, którzy nie służą w wojsku. Skoro wiem, że od patrzenia na to czuję się źle, po co mam patrzeć? Gdy podczas spotkań ze znajomymi para zacznie się przytulać, proszę ich, żeby nie robili tego przy mnie. Umiem powiedzieć to na głos, ale wiele dziewczyn nie jest w stanie. Zamykają się przez to w sobie, przestają widywać ze znajomymi.

ZAGINIENI | W wyjątkowo ciężkiej sytuacji są te kobiety, których bliskich uznano za zaginionych bez wieści. Przyglądam się temu problemowi, pracując z żonami zaginionych, a także z ludźmi z projektu „Na Tarczy”, którzy odpowiadają za transport ciał.

Bez ciała nie da się udowodnić czyjejś śmierci z prawnego punktu widzenia. Nawet jeśli są świadkowie, chłopaki z oddziału. Dlatego oni często są proszeni o przyniesienie choćby skrawka ciała, z którego da się pobrać próbkę materiału genetycznego.

Status „zaginionego bez wieści” utrzymuje się prawnie przez sześć miesięcy. Po upływie tego czasu sąd uznaje taką osobę za zmarłą. Ale dla wielu żon i partnerek niechby było i sto decyzji sądowych – dopóki nie będzie ciała lub próbki DNA, nie uwierzą w śmierć.

(Dodajmy, że nieporównywalne z poprzednimi latami tej wojny nasycenie frontu dronami FPV sprawia, że coraz częściej rezygnuje się z prób wydostania ciał z zerówki. Bezwładnego trupa niesie się ciężiej niż zeszytniałego rannego – słyszę od żołnierzy. Trudno wynieść martwego towarzysza, jeśli to oznacza ryzykowanie życiem kolejnych czterech ludzi).

STATUS | Olga: – Nawet jeśli bracia z oddziału mówią, że widzieli moment śmierci, niejedna żona ma nadzieję, że przeżył i trafił do niewoli. To najgorsze. Słyszę: „Jak mam zbudować moje życie na nowo? Wyjdę znów za mąż, a za

→ dziesięć lat on stanie u moich drzwi. Co wtedy?”

Dopóki utrzymuje się status „zaginionego bez wieści”, rodziny otrzymują 100 tys. hrywien miesięcznie [ok. 10 tys. złotych – red.], to równowartość dodatku bojowego. Gdy sąd uzna żołnierza za poległego, zaczyna się zbierać wszystkie dokumenty. Rekompensata wypłacona zostanie tylko, jeśli udowodni się śmierć poniesioną w strefie działań bojowych, w obiekcie wojskowym. Nie w wypadku drogowym, jakich sporo na donieckich drogach. Nawet nie wtedy, gdy żołnierz zginie w przyfrontowym sklepie trafionym rakietą. I, przede wszystkim, nic po rekompensacie, jeśli we krwi wykryta zostanie obecność alkoholu lub narkotyków. Jeśli zginął na pozycji, a nie miał kamizelki i hełmu – tak samo. Niebagatelna suma wypłacana do podziału najbliższej rodzinie – rodzicom, żonie i niepełnoletnim dzieciom – wynosi 15 mln hrywien.

PROCES | Żony zaginionych całymi dniami przeczesują internet. Od rana do nocy. Są grupy na Facebooku i Telegramie. Są osobne kanały, gdzie Rosjanie wrzucają tylko zdjęcia trupów ukraińskich żołnierzy. Są takie ze zdjęciami jeńców. Gdy trupy na zdjęciu są w złym stanie, niektóre kobiety w każdym z nich dopatrzą się swojego męża. „Ten jest mój, poznaję!”. Także w każdym zdjęciu wychudłego ciała jeńca, z zaklejonymi taśmą oczami, widzą swojego, bo w niewoli wszystkie ciała wyglądają tak samo.

Wiele kobiet załamuje się wtedy psychicznie. Gdy ciała nie ma, nie ma grobu. Proces żałoby nie przebiega prawidłowo. Bo pogrzeb to chwila, gdy zaczyna się

przyjmować do wiadomości, że jego już nie ma. I żałoba. Bez tego trudniej wyjść ze stanu wiecznego oczekiwania i stresu. Co z tym robić? Trzeba szukać pomocy psychologa.

Psycholog i jeszcze raz psycholog – Olga powtarza to z naciskiem. – Nie ma innego wyjścia.

AKCEPTACJA | Żałobę każda przeżywa po swojemu. Mówi się, że tylko wdowa zrozumie wdowę, ale nie do końca tak jest. Zwłaszcza jeśli któraś z nas zamyka się w sobie. Ja zdecydowałam się być wciąż z oddziałem, kontynuować działalność. Inna przywdziewa czerń i spędza cały czas na cmentarzu.

Znam kobiety, które przez rok żałoby codziennie chodzą na groby mężów. Przygotowują dwie kawy, dla siebie i dla niego. Gotują potrawę, którą mąż lubił. I tak idą do niego.

Tak, trzeba swoje przeplakać. Ale trzeba też wiedzieć, kiedy w końcu należy pogodzić się ze śmiercią ukochanego i zacząć wychodzić z żałoby.

OBCENOŚĆ | Przez ostatnie pół roku, od kiedy Serhij zginął, staram się nigdy nie być sama. Rzadko jestem w naszym domu. I choć rzadko tam bywaliśmy razem, bo cały czas spędzaliśmy przecież na wojnie, a dom to umowne pojęcie – miejsce, gdzie są nasze rzeczy... – to są to wszystko jego rzeczy. Wszystkie jego książki, bo dużo czytał. Wszystkie rzeczy związane z nim okrażają mnie, gdy wchodzę do mieszkania. On gdzieś wśród nich wciąż jest.

Chłopcy z kompanii, którą dowodził, mówią, że w mojej obecności wciąż czują

jego obecność. I na odwrót. Gdy jestem z nimi, jakby i on gdzieś był – na pozycjach, na naradzie. Czuję w tym jakąś wspierającą siłę. Ale w domu nie.

Pół roku zleciało, a nie robi się łatwiej. Zaczynam rozumieć, że Serhij już nie wróci.

CZUHUJIW | Nawroty stanów bezsilności przychodzą do mnie w konkretnych miejscach. Jak miasteczko Czuhujiw w obwodzie charkowskim. Spędziliśmy tam trzy tygodnie, gdy jednostka odyskiwała w miasteczku siły. To był nasz spokojny czas, tuż po okresie ciężkich walk w Lasach Kreminskich. Teraz coś we mnie pęka za każdym razem, gdy jadę przez Czuhujiw.

(Olga przejeżdża tędy często, bo Czuhujiw, niewielkie miasto powiatowe, ale za to ważny węzeł komunikacyjny, leży na trasie, która prowadzi do obwodu donieckiego, gdy jedzie się tam z Kijowa przez Charków).

Także w Słowiańsku i Kramatorsku, gdzie pijaliśmy razem kawę, też jest dziwnie... I w Łymaniu, gdzie mieszkaliśmy dziewięć miesięcy. Teraz czasem tam bywam, mogę przyjechać na naszą ulicę i przed dom, w którym kwaterowaliśmy. Teraz jest pusty, nikt tam nie mieszka.

Nie oglądam wspólnych zdjęć, nie czytam naszych starych konwersacji. Od innych kobiet wiem, że czasem spędzają tak dużo czasu. Nie widzę w tym sensu, skoro ta historia się skończyła. Co innego, gdy się rozstajecie, gdy jest nadzieja na ponowne spotkanie. Ale tu nie ma żadnej takiej możliwości.

© ANTONINA PALARCZYK

Pomoc na zimę dla Ukrainy

„Niech każdy liczy tylko na siebie”: taki komunikat wydała niedawno jedna z ukraińskich firm energetycznych. Zniszczenia w infrastrukturze na skutek nalotów są tak duże, że nie tylko ta jedna firma nie może gwarantować odbiorcom, że jesienią i zimą będą mieć prąd. Bliżej frontu, w obwodzie donieckim i części charkowskiego, już dziś energię zapewniają głównie mobilne kotłownie i agregaty.

Ala nie tylko w sferze energetyki może to być najcięższa wojenna zima dla Ukrainy.

Chcemy pomóc naszym ukraińskim przyjaciołom – ludziom, do których już jeździliśmy z pomocą podarowaną przez czytelniczki i czytelników „Tygodnika” – i zebrać środki, za które będziemy mogli kupić **agregaty inwerterowe, stacje zasilania i materiały z zakresu medycyny ratunkowej** (np. **opaski hamujące krwawienie**). Chcemy je zawieźć, tak jak wcześniej, przede wszystkim na wschodnią Ukrainę.

Zbiórkę prowadzi współpracujące z nami Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka, a „Tygodnik” jej patronuje.

Numerzy kont:

– w złotych:

20 10902 5900 0000 001 5044 0623

– w euro:

64 1090 2590 0000 0001 5044 0898

Odbiorca:

Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka.

<https://inicjatywasaiedzka.org>

Dziękujemy!

„Tygodnik Powszechny”

i Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka



ADALBERTO ROQUE / EAST NEWS

Ulica Hawany nocą, gdy na skutek huraganu doszło do awarii wszystkich elektrowni na wyspie, 18 października 2024 r.

Kubańskie ciemności

JANKA WOLLNY-ROSAS

Młodzi Kubańczycy opowiadają nam o życiu na wyspie, gdzie brakuje żywności, leków, benzyny. A teraz też prądu: po huraganie kraj pogrążył się w ciemnościach. Tymczasem władze wciąż serio traktują hasło „Socjalizm albo śmierć”.

PRZYKŁADOWY DZIEŃ YADIRY ZACZYNAŁ się telefonem od zaaferowanej babci, która zdobyła informację, gdzie akurat rzucili jogurty. Yadira, mama pięciolatka, pędziła wtedy po rzadkie dobro. Ale nawet gdy docierała na miejsce w rekordowym tempie, jogurtów już nie było. Nigdy nie starczało ich dla wszystkich zdesperowanych rodziców.

Podobnie jajka. Jeśli po południu Yadira dowiadywała się, że gdzieś dotarły, jak wszyscy Kubańczycy porzucała niedomyte naczynia albo wybiegała z pracy, żeby ustawić się w kolejce. Nawet jeśli na jednego klienta miały przypaść tylko dwa.

W miarę jak Yadira opowiadała o wszystkich wyrzeczeniach, których codziennie wymaga na Kubie zdobycie jedzenia, po-

dane mi przez nią na śniadanie jajko sadzone rośło mi w ustach. Zjedzenie go wiązało się z wyrzutami sumienia. Jednak zestawienie go na talerzu byłoby niewybacalne. Był rok 2019 i wydawało się, że gorzej być nie może.

Jest szczepionka, nie ma igieł

Kiedy po świecie szalał covid, Alberto opowiadał nam o rosnących kolejkach po szampon czy olej. Narzekał, że mnożą się sklepy, w których zakupy można zrobić jedynie za euro albo dolary, podczas gdy większość ludzi zarabia w pesos. Miał wyjechać z rodziną, przyznano im nawet paszporty, ale zamknięto granice.

Konieczną dla zdrowia operację musiał więc przejść na Kubie. Przyjaciółka ze Sta-

nów Zjednoczonych kupiła niedostępny na wyspie sprzęt i leki – tyle że nie było ich jak wysłać.

Kraj opracował własną szczepionkę, ale z braku igieł do strzykawek nie dało się jej aplikować. Był rok 2020 i wydawało się, że gorzej być nie może.

Autko czy ciecierzycza?

Z Roldanem poznaliśmy się na wyspie zamieszkaną przez ludzi tak wychudzonych, że ich ubrania wymagały zwężenia; w domu, któremu połowę dachu urwał huragan. Nie mieliśmy wiele czasu na rozmowy, trzeba było zapchać auto zabawkami dla dzieci i być może dać się aresztować, zanim zapadnie zmrok.

Jadąc na Kubę, w porozumieniu z Roldanem wypakowaliśmy walizki tanimi produktami żywnościowymi. Pojechaliśmy rozdać wszystko w jednej z dzielnic dotkniętych huraganem. Tam dzieci długo zastanawiały się, czy wybrać samochodzik z napędem na gumkę, czy kilogram ciecierzycy – zanim nie wyjaśniono im, że mogą zabrać do domu oba te cuda.

Po kwadransie przyjechała policja, bo pomoc humanitarna jest dozwolona jedynie za przyzwoleniem i przy pośrednictwie rządu, w przeciwnym razie za



RUBEN ROSAS

Zespół muzyczny w restauracji rządowej z regulowanymi cenami, serwującej codziennie tylko jedno danie, w zależności od bieżącej dostawy żywności, listopad 2022 r.

→ godzące w ciągłość rewolucji wręczenie dziecku pluszaka grozi więzienie. Był rok 2022 i wydawało się, że gorzej być nie może.

Czy to na pewno Kuba?

Eliane spotkalismy w sklepie z pamiątkami, a jej wyjątkowy uśmiech i niespożyta energia 23-latkki kazały nam myśleć, że jest szczęśliwa w swojej dobrze płatnej pracy. Kupiliśmy drewniany wachlarz, podarowała nam magnes udekorowany zakrętką Havana Club, rumu produkowanego od roku 1878. Na widok naszych zdjęć z wycieczki pytała, czy to na pewno Kuba, bo sama nigdy ze stolicy nie wyjechała.

Dopiero potem dowiedzieliśmy się, że w sklepie spędzała po 12 godzin dziennie, a płacono jej jedynie 5 proc. od sprzedaży, czasem 5 proc. z niczego. Z jej zapalem i inteligencją mogłaby studiować, skoro edukacja jest darmowa, ale mało kto ma czas, żeby się uczyć, kiedy nieustannie trzeba stać w jakiejś kolejce. Mimo marnych zarobków i pracy niemal od świtu do nocy, odeszła dopiero, kiedy właściciel sklepu zaczął domagać się od niej innego rodzaju usług. Był rok 2023 i wydawało się, że gorzej być nie może.

Protest

Yadira, Alberto, Roldan i Eliana wyszli na ulice 11 lipca 2021 r. razem z tysiącami innych zdesperowanych Kubańczyków. Wyszli w dziesiątkach miast i pokojowo domagali się zaopatrzenia w żywność i leki.

Na te niezbyt wygórowane postulaty rząd odpowiedział odcieniem mediów

społecznościowych i komunikatorów, palowaniem, aresztowaniami bez informowania rodziny o losach zatrzymanych oraz karami do 10 lat pozbawienia wolności. Tych, których nie aresztowano, wolności pozbawiano na raty.

Wytrzymałość Kubańczyków się skończyła, przyparto reżim do muru, wydawało się, że coś musi wreszcie pęknąć.

Jak to się stało, że potem było jeszcze gorzej?

Kraj w ciemnościach

Jest rok 2024. Na Kubie brakuje prądu, gazu, benzyny, wody. Tak, wody. Wielu nie ma gdzie ani za co kupić jedzenia. Przeszedł kolejny huragan. W październiku, z powodu awarii wszystkich przestarzałych elektrowni, cały kraj pogryzł się w ciemnościach. Kto nie siedzi w rządzie albo w turystycznym resorcie, bez elektryczności żył nawet cztery dni. Obecnie każdy ma prąd przynajmniej przez chwilę dziennie, chociaż nikt ze zwyczajnych obywateli Kubie nie ma go przez 24 godziny na dobę.

W pierwszych dniach „wyłączenia” Eliana zemdliała z głodu. Potem wykombinowanym skądś posiłkiem, który tylko na Kubie można nazwać hamburgerem, podzieliła się ze swoim desperacko miauczącym kotem.

Nam nadal wydaje się, że gorzej już być nie może.

Naród z partią?

W 2015 r. Kuba mogła dostać od Rosji ogromną pożyczkę na budowę nowoczesnych elektrowni, ale z szansy nie skorzystała, bo wymagano od niej 10 proc.

wkładu własnego. Według reżimu tych 10 proc. po prostu nie było skąd wziąć. Według Kubańczyków, rząd wydał pieniądze na inwestycje turystyczne, które miały przynieść będącym u władzy łatwe i szybkie pieniądze.

Kuba to kraj, w którym według oficjalnych informacji z 2023 r. – podczas galopującej inflacji i po brutalnie spacyfikowanych masowych pokojowych protestach – aż 75,87 proc. uprawnionych do głosowania poszło na wybory parlamentarne. Po czym 72,20 proc. głosujących zaakceptowało całą listę kandydatów zaproponowanych przez jedyną partię polityczną.

Wiarygodne informacje makro nie istnieją, możemy jedynie przyrzeć się mikro faktom i wysłuchać tych, którzy codzienną walkę o przetrwanie nazywają pieszczotliwie *luchita* („waleczka”), tak bardzo przyzwyczaili się do niepewności jutra, a nawet dzisiaj, która cieniem kładzie się na całym ich życiu.

Podczas ostatniego „zaciemnienia” Elianie i Roldanowi, którzy chwilowe dostawy prądu musieli wykorzystywać do ugotowania zapasu ryżu i nie wiedzieli, jak długo wytrzymają baterie ich telefonów, zadałam tylko dwa pytania. Pierwsze, czy mają wystarczająco dużo jedzenia. Eliana opowiedziała mi wspomnianą historię o dzieleniu się plasterkiem mięsa z kotem. Odpowiedź Roldana była filozoficzna i bardzo kubańska: „Wystarczająco – to zależy od punktu odniesienia. Żeby przetrwać? Żeby żyć? Czy żeby mieć się dobrze?”.

System przygarnia lub miażdży

Drugim pytaniem było, czy za tragedię Kubie odpowiedzialne jest embargo Stanów Zjednoczonych. To wystarczyło, by otrzymać płomienne wypowiedzi na temat przeszłości Kubie, teraźniejszości i przyszłości. Czy też jej braku.

Roldan, 38 lat, poeta: – Wina blokady USA? W żadnym wypadku. Postawmy sprawę jasno. Blokada nie istnieje, jest tylko embargo ze strony USA nałożone na pewne produkty w wyniku fali wywłaszczeń, jakiej poddane zostały amerykańskie firmy i obywatel po triumfie rewolucji. Embargo nie zabrania Kubie dowolnie handlować z całym światem, tylko ogranicza pewne, bo nie wszystkie, produkty z USA. Nie dotyczy np. żywności i leków. Mało tego, Kuba najwię-

cej mięsa kupuje dziś w Stanach, a lista importowanych stamtąd produktów nie ma końca. Dla kubańskiego rządu embargo jest artykułem pierwszej potrzeby, cały reżim opiera się na tej „blokadzie”, bo może nią usprawiedliwić każdy problem, któremu sam jest winien.

Inne wciąż powtarzane kłamstwo, to że Stany robią wszystko, by nas zniszczyć. No nie. Nie robią absolutnie nic, dla nich Kuba jest kwestią podrzędną. Do tego stopnia, że temat nie wpływał nawet podczas kampanii wyborczej, chyba że na Florydzie.

To niewydolność i złe zarządzanie oraz zaleganie z płatnościami, do którego kubański rząd przyzwyczał świat sprawiają, że nikt nie chce Kubie nic sprzedać, jeśli nie dostanie od razu gotówki. Już nawet Chiny i Rosja nie sprzedają nam nic na raty.

Rządzącym jest to na rękę, bo póki ludzie nie mają zaspokojonych podstawowych potrzeb, nie myślą o polityce. Nie masz czasu pójść na protest, jeśli jesteś zajęty szukaniem jedzenia.

System stworzono właśnie w ten sposób. Byłem w tych kregach, znam to od podszewki. Wszyscy tam wiedzą, jak zła jest sytuacja. Kiedy zdecydowałem się opuścić moje uprzywilejowane miejsce, przyjaciele pytali, czy oszalałem. Mówili, żebym siedział cicho, a za parę lat miałbym dom, auto i pieniądze. Ci, którzy służą reżimowi, sami w niego nie wierzą. Wybiera się między wygodą a strachem. System cię przygarnia albo miażdży.

Nie chcę opuszczać Kuby

Roldan: – Nie ma żadnych zdjęć, żadnych filmików, które mogłyby wyjaśnić, co się tu dzieje, no bo jak? Filmik przedstawiający ciemną noc? Filmik z niczego, bo nie ma nic, nie ma wody pitnej, prądu, żywności, leków, edukacji. Jakby ludzie protestowali, można by to pokazać, ale wszyscy są wyczerpani.

Ci, którzy w swoim czasie się postawili, wyjechali z kraju, bo byli zbyt zmęczeni, by dalej to ciągnąć. Obrywanie męczy, męczy policja, która pojawia się w twoim domu z groźbami, męczy każdy

pobyt w więzieniu, zwłaszcza jeśli nikogo to nie obchodzi.

A nikogo nie obchodzi. Zwykły Kubańczyk uznaje, że nie ma na rzeczywistość wpływu. Tak się rodzi i umieramy. Taka nasza smutna rzeczywistość. Wytrzymujemy i jeszcze wytrzymamy, choć wielu umrze po drodze. To jest w tym najgorsze, że tych ludzi właściwie już zabito. Dyktatura przeprowadziła kampanię indoktrynacji. Ukradziono nam wszystko, nawet dusze.

Nie chcę opuszczać Kuby. Odmawiam uznania, że jedynym wyjściem z tej cholernej sytuacji jest wyjazd, że jeśli chcę żyć godnie, muszę stąd odejść.

Trudno wytłumaczyć naszą rzeczywistość Zachodowi. Ktoś, kto urodził się w demokracji, nigdy nie zrozumie, przez co może przejść człowiek. Ani poniżenia, jakiego może doświadczyć.

Wszystkich pod but

Eliana, 24 lata, ekspedientka i drobny przedsiębiorca: – Nie ma nic bardziej absurdałnego niż zrzucanie winy na →

REKLAMA



Nagroda Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera

Zapraszamy do udziału w gali
21 listopada o 18.00
w Nowohuckim Centrum Kultury.
Wykład wygłosi Natalia de Barbaro

Wejściówki dostępne od 4.11.:

- w kasach NCK
- w recepcji Radia Kraków
- oraz na stronie: kbfbilety.krakow.pl

→ blokadę USA. To kłamstwo. Embargo wręcz przynosi rządowi korzyści, to tujejszy model biznesowy, używa się go do wyciskania łez. Kuba brała wszystkich na litość i handlowała z całym światem. Tyle że sprowadzone produkty rząd sprzedawał, po czym zamiast za nie zapłacić dostawcom, pieniądze zachowywał dla siebie. Dlatego nikt już nie chce robić z nami interesów i wszystkiego brakuje.

Kuba to ogromne więzienie, hasłem totalitarystów jest „Socjalizm albo śmierć” i każdy, kto im się sprzeciwił, wie, co go czeka. Kiedy Fidel Castro przejął władzę, ogłosił, że to jego własna komunistyczna wyspa i rozstrzelał tysiące Kubańczyków, którzy nie zgadzali się z jego doktryną. Obecnie zbieramy to, co zasiał. On wpoił ludziom strach, że wypowiadając się, a nawet myśląc inaczej niż on, stracą wszystko.

Najdobitniejszym tego przykładem był 11 lipca 2021 r., gdy zaczynał się największy kryzys gospodarczy na Kubie. Naród kubański wyszedł nieuzbrojony na ulice, w całym kraju protestowało 10 milionów osób. Po prostu maszerowano ulicami domagając się wolności, jedzenia i ustąpienia prezydenta Miguela Díaza-Canela, który jest kolejną marionetką systemu. Nie było przemocy, ludzie tylko krzyczeli. Także tam byłam.

Odpowiedzią prezydenta było wysłanie wojska przeciw narodowi, który nazywał „zdezorientowanym”. Efekty? Dzieściu moich przyjaciół odsiaduje wyroki od 7 do 10 lat więzienia za „kontrrewolucję”. Oberwało się każdemu, kto wyszedł wtedy z domu, pałowano dzieci,

starców, młodzież. Zabito wiele osób, zasiano strach i wzięto wszystkich na nowo pod but.

Boli mnie mój kraj

Eliana: – Na cały świat trąbią, że Kuba ma najlepszą służbę zdrowia i najlepszych lekarzy, a tymczasem ich pensje nie starczą do końca miesiąca. W szpitalach nie ma nawet łóżek, nici do szycia czy gipsu, wszystko masz sam dostarczyć, kupić po cenach czarnorynkowych, a medykom musisz zapłacić, jeżeli chcesz, żeby ci pomogli. Służba zdrowia nie jest darmowa. Jest upokarzająca. Nie ma strzykawek ani rękawiczek, o lekach nie wspominając, jest za to brud, karaluchy i poniżenie.

W szkolnictwie płace są jeszcze gorsze, budynki się sypią, nie ma książek, zeszytów ani ołówków. Nauczyciele są nieprzygotowani, a kampania nauki czytania i pisanja, ogłaszana latami, była tylko kolejną kampanią polityczną. Dziś większość nastolatków czyta ledwo-ledwo, a z matematyki umie tylko dodawać i odejmować, bo po prostu przepychają cię do kolejnej klasy. Albo płacisz za egzamin i gotowe.

Kultura, którą pokazuje się turystom, jest sprzed 60 lat. Kubańczycy znają dziś tylko reggaeton, nie wiedzą, co to kino czy teatr. Słuchają w kółko obrzydliwości o ruszaniu tyłkiem i seksie, w prostym języku, żeby można się było rozerwać i nie myśleć.

Rząd o tym wszystkim wie, ale potrzebne mu jest to masowe ogłupienie, bo wie, że wykształcony naród spaliłby całą wierzchośćkę na stosie.

Nikt na świecie nam nie pomoże, a sami nic nie możemy zrobić, bo za każdym razem, kiedy próbujemy, czekać nas może tylko – według hasła reżimu – śmierć. Jest im obojętne, czy zabijają wszystkich Kubańczyków co do jednego i zostaną z pustym krajem, byle tylko utrzymać się u władzy i nadal wysyłać pieniądze na swoje szwajcarskie konta.

Sami wywołali ten kryzys energetyczny, a teraz ogłaszają, że będą ludziom sprzedawać panele słoneczne po 55 tys. pesos.

Nie jesteście sobie w stanie wyobrazić, jak bardzo boli mnie mój kraj.

Będzie gorzej

Tego samego dnia, 21 października 2024 r., w reżimowej gazecie „Granma” mogliśmy przeczytać, że prezydent Díaz-Canel „podkreślił ogromne zaangażowanie elektryków i zrozumienie okazane przez naród w obliczu zaistniałej sytuacji oraz zaznaczył, że Rewolucja nigdy nie będzie tolerować żadnych działań mogących zaburzyć spokój obywateli”.

Nieważne, na której stronie otworzysz tę gazetę, wszędzie wyczytasz to samo: będzie jeszcze gorzej.

■ ■ ■

Imiona bohaterów zostały zmienione, ale ich historie i słowa są prawdziwe.

© JANKA WOLLNY-ROSAS

Autorka jest iberystką i absolwentką studiów Praw Człowieka i Prawa Międzynarodowego w Instituto Europeo Campus Stellae w Santiago de Compostela. Wielokrotnie jeździła na Kubę. Obecnie mieszka w Hiszpanii.

Gdy brakuje benzyny, pozostaje tradycyjny środek transportu. Hawana, listopad 2022 r.





Tylko do 30 listopada masz szansę przedłużyć lub rozpocząć prenumeratę „Tygodnika Powszechnego” w dotychczasowej, niższej cenie. Nie czekaj – już dziś wybierz swoją prenumeratę i zagwarantuj sobie nieprzerwany dostęp do wartościowych treści!

ZAPRENUMERUJ PÓKI TANIEJ

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
■ Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
■ Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
■ Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
■ 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta prenumeraty Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.



Gwarancja SLA



Obiekt klasy Tier 3



Transmisja danych
do krajowych operatorów



Samodzielny dostęp
do szaf w trybie 24/7



Redundantne połączenie
z siecią Internet



Monitoring 24/7
oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszą generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.



Systemy
przeciwpożarowe



Systemy
chłodzenia



Niezależne
zasilanie



s-net.pl/data-center



Skontaktuj się z nami

+48 12 395 71 00

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 45/2024

35 lat temu: **JAK OBALANO MUR**





Resztki muru to dziś atrakcja turystyczna. Na muralu: Honecker i Breżniew, przywódcy NRD i Związku Sowieckiego. Berlin, październik 2024 r.

Mur nas wyprzedził

TEKST I ZDJĘCIA **ŁUKASZ GRAJEWSKI** Z BERLINA

35 lat temu opozycja w Niemczech Wschodnich chciała zmieniać swój kraj na wzór Polski. Jednak większość obywateli NRD wybrała kurs na szybkie zjednoczenie z Zachodem. Jak dawni opozycjoniści patrzą dziś na tamten czas?

Michael Bartoszek jest poetą, lubi metafory. – Przed tobą stoi mur, który dzieli na dwie części twoje miasto, kraj, kontynent, cały świat. Jego twórcy zapewniają, że będzie tak jeszcze stał i sto lat. Wiesz, że jego zburzenie będzie wymagało ogromnego wysiłku i poświęcenia. Zaczynasz biec w jego kierunku. Nabierasz tempa. Po-chylasz głowę. Zaciskasz zęby. Już niemal odczuwasz ból zderzenia ze ścianą. I nagle w murze otwiera się przejście. Rozpędzony, przelatujesz na drugą stronę. Spoglądasz z niedowierzaniem. Niby jesteś tam, gdzie chciałeś być. Ale to nie to – Michael Bartoszek chętnie sięga po metafory, gdy wspomina życie i działalność

opozycyjną w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

Wtedy, jesienią 1989 r., Bartoszek wierzył, że jego kraj będzie można zreformować i nadać mu ludzkie oblicze. Czwartkowa noc 9 listopada 1989 r. wywróciła te plany do góry nogami.

Koniec muru, koniec strachu

To właśnie wtedy, 35 lat temu, runął mur berliński.

Zresztą to również metafora. W rzeczywistości w tym dniu, wieczorem, przedstawiciel władz NRD w chaotycznym komunikacie podanym w telewizji poinformował, że rządzący komuniści pozwalają na przekraczanie dotychczas pilnie strzeżonej granicy z Niemcami Zachodnimi.

Jej symbolem był mur dzielący wschodnią i zachodnią część Berlina.

Wieść o zmianie przepisów szybko rozniosła się po obu stronach muru. Wieczorem przy punktach granicznych zaczęły gromadzić się tłumy. – Wypuście nas! – krzyczeli mieszkańcy Berlina Wschodniego. – Wpuście nas! – skandowali ci z Berlina Zachodniego, którzy byli równie ciekawi świata po drugiej stronie. Zdezorientowani strażnicy z *Grenztruppen*, wojsk pogranicznych NRD, do których nie dotarły jeszcze wytyczne, przez kolejne kilka godzin starali się utrzymać porządek.

W końcu, blisko północy, szlabany się uniosły. Tłumy zaczęły przewalać się to w jedną, to w drugą stronę. Wielu wdra-

pywało się na mur i w euforii stało tam przez wiele godzin. Dzień wcześniej taki akt odwagi zakończyłby się śmiercią – bo wcześniej NRD-owscy strażnicy strzelali tak, aby zabić.

Wydarzenia z 9 listopada 1989 r. zakończyły kilka dekad strachu. Fizyczna rozbórka całego muru zaczęła się dopiero później, ale w głowach ludzi mur zniknął właśnie w ten dzień. Zostały tylko betonowe płyty, odarte z ich dawnego złowrogiego sensu.

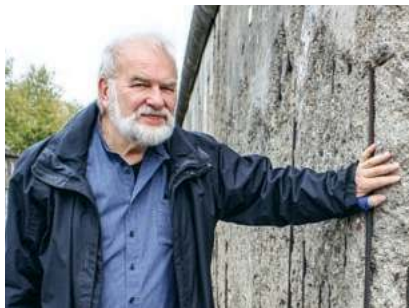
Seminarium o Polsce

Michael Bartoszek już od kilku miesięcy wyczuwał, że zbliża się przełom. Dziś przyznaje, w wielogodzinnej rozmowie z „Tygodnikiem”, że nie miał pojęcia, jak szybko i w jakiej skali dojdzie do zmian. Był skupiony na oddolnej pracy.

W październiku 1989 r., na kilka tygodni przed upadkiem muru, był zajęty organizacją cyklu wydarzeń kulturalnych poświęconych Polsce. Pokazuje zachowany program z tamtego okresu. W ewangelickim kościele św. Bartłomieja w Berlinie Wschodnim przygotowano wystawę zdjęć na temat Solidarności. Odbłyły się też prelekcje z udziałem Adama Krzemińskiego z „Polityki” i Wojciecha Wiczorka z „Więzi”, czytano wiersze Czesława Miłosza.

Z dzisiejszej perspektywy zwykle wieczory kulturalne. Ale wówczas ich organizacja odbywała się w konspiracji i strachu przed reakcją organów siłowych. Agenci Stasi, wschodnioniemieckiej bezpieki, rejestrowali każde słowo. Tajna policja wypatrywała potencjalnych przeciwników systemu. – Atmosfera tamtych dni przywoływała wspomnienia z Polski, gdy w październiku 1981 r., na krótko przed ogłoszeniem stanu wojennego, spędziłem kilka dni we Wrocławiu – opowiada Bartoszek.

Seminarium poświęcone Polsce organizowano pod szyldem inicjatywy Demokracie Jetzt, czyli organizacji Demokracja Teraz (wkrótce potem partii). Bartoszek był jej współzałożycielem. Opozycyjna grupa zawiązała się dopiero miesiąc wcześniej, 12 września 1989 r. Jedną z inspiracji dla jej twórców była Polska: w NRD miało dojść do podobnych zmian, co w Polsce, w której w czerwcu odbyły się pierwsze częściowo wolne wybory i zwyciężył w nich obóz Solidarności. Tadeusz Mazowiecki został premierem.



MICHAEL BARTOSZEK, jeden z założycieli opozycyjnej partii Demokracja Teraz, przy resztkach muru. Październik 2024 r.



WOLFGANG TEMPLIN, w NRD współzałożyciel opozycyjnej Inicjatywy Wolność i Prawa Człowieka, dziś angażuje się dla walczącej Ukrainy. Październik 2024 r.

Warszawa czy Pekin?

Ale ze świata płynęły w tamtych miesiącach roku 1989 także zupełnie inne sygnały.

W Chinach 4 czerwca komunistyczne władze brutalnie rozgromiły studenckie protesty na placu Tiananmen. W wyniku interwencji wojska zginęło kilka tysięcy demonstrantów. Hasła chińskiej rewolty były bardzo podobne do postulatów opozycji w krajach Układu Warszawskiego: demokratyczne wybory, wolne media, rozprawienie się z korupcją władz.

Społeczeństwo w Niemczech Wschodnich wiedziało, że i w centrum Europy może dojść do rozlewu krwi. Dlatego 9 października, gdy w Lipsku na ulicach zgromadziło się kilkaset tysięcy demonstrantów, cały kraj wstrzymał oddech. Zadawano sobie tylko jedno pytanie: czy padną strzały?

Nie padły. Pokojowy przebieg „poniedziałkowych demonstracji” w Lipsku był sygnałem dla reszty kraju – podobne demonstracje zaczęły się wszędzie w NRD – i preludium do dalszych wydarzeń. Znakiem, że pokojowa transformacja jest dla Niemców realną drogą.

To wtedy nieliczne grupki opozycyjne zaczęły na poważnie myśleć o zmianie systemu.

NRD, obietnica rozwoju

Wcześniej opozycja w NRD nigdy nie była masowym zjawiskiem. W dużej mierze tworzyli ją społeczni outsiderzy. Tacy jak Wolfgang Templin, z którym „Tygodnik” spotyka się teraz w Berlinie.

– Od zawsze czułem się wyrzutkiem – przyznaje Templin na wstępie. Był owocem uczucia, które połączyło jego matkę z sowieckim oficerem stacjonującym po II wojnie światowej w Niemczech. Takie kontakty były oficjalnie zakazane. W dokumentach w rubryce „ojciec” widniała adnotacja „nieznany”.

Wolfgang dorasta w spartańskich warunkach, żyjąc z matką i babcią na przedmieściach Jeny w Turynii. Jako „dziecko Rosjanina” jest naznaczony i piętnowany przez rówieśników. Spokój i radość odnajduje w lekturze. Miłość do książek prowadzi go aż do Berlina Wschodniego, gdzie w 1968 r. zaczyna studia.

Jeszcze jako student wierzy w ideały propagowane w NRD. Zapisuje się do komunistycznej młodzieżówki, później do Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (SED).

– Wiele rzeczy mi się nie podobało, byłem absolutnie przekonany, że NRD musi się zmienić. Jednocześnie widziałem, że ten kraj ma coś, czego nie ma kapitalistyczny Zachód. Że ten system daje komuś takiemu jak ja szansę na rozwój. To ja, który w domu nie miałem niemal nic, dostałem szansę i dzięki wynikom mogłem się dalej kształcić. To były czasy, kiedy Nikita Chruszczow ogłaszał, że za 20 lat wyprzedzimy Zachód. I my w to wierzyliśmy – wspomina.

Moment, który zmienił moje życie

– Studiowałem już filozofię na Uniwersytecie Humboldta. Szanse na dalszą karierę można było wzmocnić, wyjeżdżając na przykład do Moskwy. Ale do Warszawy? Nikt nie chciał wyjeżdżać do Polski – opowiada z uśmiechem Templin. Nikt, oprócz niego.

W latach 1976-77 Templin udaje się na wymianę studencką do stolicy PRL. Tam poznaje środowisko tworzącego się właśnie Komitetu Obrony Robotników. Kołakowski, Modzelewski, Kuroń, →



Artysta Yadegar Asisi odtworzył realia podzielonego Berlina i umocnień granicznych w formie dostępnej turystom panoramy. Październik 2024 r.

⇒ Michnik. Ich odważne postulaty mają wpływ na chłopaka z Berlina Wschodniego. – Podczas pobytu w Polsce zdałem sobie sprawę, jak działa system – mówi dziś.

W matriksie komunistycznej dyktatury wiele mówi się o prawdzie. Rzeczywistość oblepiona jest jednak fałszem. Oficjalnie partia dba o dobro proletariatu. W istocie społeczeństwo pozbawione jest podmiotowości. W przemówieniach czynowników pokój odmieńnia się przez wszystkie przypadki. Gdy jednak ktoś próbuje zakwestionować reguły systemu, władza sięga po brutalne środki represji.

Również dla Michaela Bartosza pierwszym momentem przejrzenia na oczy jest wyjazd do Polski. Podczas studiów w Magdeburgu poznaje Theo Mechtenberga, wtedy katolickiego duchownego pełniącego posługę wśród studentów, który już w latach 60. XX w. angażuje się na rzecz pojednania polsko-niemieckiego.

Mechtenberg regularnie jeździ do Polski, gdzie spotyka się z krytykami PRL-owskiej władzy. W jedną z takich podróży zabiera młodego Bartosza. Jadą do Warszawy i Krakowa. Spotykają Mazowieckiego, redakcję „Tygodnika Powszechnego” i środowisko Klubu Inteligencji Katolickiej. – W Polsce dotarły do mnie zupełnie nowe sygnały. To był moment, który odmienił moje życie – przyznaje dziś Bartoszek.

Wielki Brat patrzy

Przed jesienią 1989 r. zdecydowana większość społeczeństwa NRD dostosowuje się do realiów. Skupia się na życiu prywatnym: auto (trabant), skromne mieszkanie (w bloku z meblościanką). Życie jest znośne, a kontestowanie systemu obarczone sporym ryzykiem.

Bartoszek należy już do nieformalnego kręgu dysydentów, w którym nie słabnie fascynacja Polską. Grupa wydaje w podziemiu zbiór tekstów, głównie tłumaczeń polskich autorów, Miłosza, Barańczaka, Michnika, i kilka esejów poświęconych sytuacji kultury i społeczeństwa w obu krajach.

Coś, co dziś każdy może znaleźć w internecie, przetłumaczyć za pomocą translatora i wysłać do dowolnej liczby przyjaciół, wtedy wymagało wielu poświęceń. Trzeba było kupić papier. Ktoś mógł to zauważyć i donieść Stasi. Trzeba było znaleźć maszynę drukarską i zorganizować druk. Ktoś mógł to zauważyć i donieść. W końcu trzeba było rozprowadzić wydrukowane egzemplarze. Ktoś mógł to zauważyć. W NRD blisko 200 tys. obywateli było informatorami tajnej policji.

– Wszystko, o czym tu opowiadam, jest z dzisiejszej perspektywy liberalnego społeczeństwa absurdałne i niezrozumiałe – mówi Bartoszek. Wspomina, że w dokumentach Stasi znalazł potem notatkę, że pewnego razu ktoś doniósł na niego, iż kupował pewną ilość pa-

pieru, wtedy na prywatny użytek. W notatce opisano dokładnie liczbę arkuszy i zapłaconą sumę.

Propozycja bez wyboru

W 1983 r. Wolfgang Templin jako jeden z nielicznych otwarcie kwestionuje system. Postanawia odejść z partii. – Położyłem przed nimi swoją legitymację partyjną i powiedziałem, że odchodzę. Odparli, że to niemożliwe. „Nie możesz opuścić partii”. „Ależ oczywiście, że tak. Tak jak sam wstąpiłem do partii, tak teraz z niej odchodzę”.

Za naruszenie tabu zostaje wyrzucony z pracy. Jest już jednak zdecydowany na życie dysydenta. Na utrzymanie rodziny musi zarabiac dorywczą pracą fizyczną. Ale w swoich przekonaniach nie jest sam. Grupa podobnych mu buntowników, po części wyrosłych z ruchu pokojowego i kręgów kościelnych, zakłada w 1985 r. Inicjatywę Wolność i Prawa Człowieka.

– Byliśmy skrajnie różni, same indywidualności, ale w tym tkwiła nasza siła – mówi Templin.

Grupa spotyka się także w jego domu. Wydają podziemne pismo „Grenzfall”. Nawiązują kontakty z opozycją w Europie Wschodniej, a także z politykami i prasą z Niemiec Zachodnich. Ich celem jest obalenie rządów jedynej słusznej partii. Wszystko to z coraz większą wściekłością obserwuje Stasi.

Kroplą, która przelewa czarę goryczy, jest demonstracja w styczniu 1988 r. Jej

organizatorzy powołują się na ikony niemieckiego ruchu socjalistycznego z początków XX w.: Karla Liebknechta i Różę Luksemburg. – Chcieliśmy pokazać, że Luksemburg jest nasza, a nie ich – mówi Templin.

Ale władze mają na ten temat inne zdanie. Zatrzymują go wraz z żoną i składają propozycję nie do odrzucenia: albo wyjadą z NRD, albo stracą prawo do opieki nad dziećmi. – To była deportacja – uważa Templin. Trafia do Bochum w Zagłębiu Ruhry, gdzie ponownie podejmuje studia.

Wyrzucanie z kraju kolejnych dysydentów nie może powstrzymać rozpadu, który postępuje w całym bloku komunistycznym. Gospodarka leży. W Związku Sowieckim trwa pierestrojka. W Polsce opozycja i władze zasiadają do Okrągłego Stołu; pierwsze częściowo wolne wybory odbywają się 4 czerwca 1989 r.

Po wielu dekadach historia przyspiesza także w NRD. Idą „demonstracje poniedziałkowe”, tworzą się struktury, plany reform. Aż nagle upada mur.

Moc historii

Czy można dziś prowokacyjnie postawić tezę, że dla opozycji w NRD byłoby lepiej, gdyby do upadku muru doszło później, tak żeby struktury mogły się pogłębić, a polityczne postulaty dojrzeć?

– Byli tacy, którzy wówczas widzieli to w ten sposób. Ja się do tej grupy nie zaliczałem. Choć to prawda, że upadek muru wyprzedził nas wszystkich. Na szczęście historia czasem potrafi zaskoczyć – przyznaje Bartoszek.

A gdy prąd historii nabiera takiego tempa, jak miało to miejsce po upadku muru, trudno kontrolować przebieg wydarzeń. Templin wraca do Berlina Wschodniego i bierze udział w zorganizowanym i tutaj Okrągłym Stole. Przygotowywane są reformy i pierwsze wolne wybory do parlamentu NRD.

Jednocześnie zwykli ludzie widzą główny cel nie w reformach, lecz w zjednoczeniu kraju. O ile jeszcze przed upadkiem muru na ulicach skandowano „To my jesteśmy narodem”, to po 9 listopada hasło poddane zostaje niby drobnej, ale zasadniczej korekcie. Teraz ludzie wołają: „My jesteśmy jednym narodem”. My, czyli wschód i zachód.

– Już w styczniu 1990 r. było wiadomo, że większość w NRD chce szybkiego zjednoczenia i przejścia zachodniej waluty – mówi Templin.

Inicjatywa Wolność i Prawa Człowieka, do której należał Templin i Demokracja Teraz, której członkiem był Bartoszek, zawiązują wraz z kolejną organizacją Nowe Forum koalicję wyborczą Sojusz '90. W kampanii wyborczej – wolne wybory zaplanowano na marzec 1990 r. – podkreślają znaczenie reform dla przyszłości NRD.

Dla niedawnych wschodni Niemców opozycjonistów to pierwsze doświadczenie w robieniu prawdziwej polityki. Po drugiej stronie ustawiają się wielkie partie z Zachodu: socjaldemokratyczna SPD oraz chadeckie CDU i CSU. Ich sztaby wyborcze dysponują kadrami, sprzętem, *know-how*. – Nie mieliśmy szans przeciwko tej maszynie. Czasu było za mało, a ludzie robili się coraz bardziej niecierpliwi – mówi Templin.

– Zrobiliśmy, co mogliśmy – ocenia Bartoszek, który sam bezowocnie startował wtedy do parlamentu z listy opozycyjnej. Nawet dziś mówi o frustracji ludzi z opozycji z wyniku wyborów, które miały miejsce w marcu 1990 r.: Sojusz '90 otrzymał zaledwie 2,9 proc. głosów. Obiecująca szybkie zjednoczenie Niemiec koalicja partii chadeckich dostała 41 proc., a SPD 22 procent.

Lud podjął decyzję.

Zwycięstwo nad systemem

Warto o tym pamiętać, gdy dzisiaj to właśnie mieszkańcy wschodnich landów, czyli byłej NRD, stanowią najbardziej niezadowoloną część niemieckiego społeczeństwa. Powszechnie padają zarzuty, jakoby 35 lat temu zostali skolonizowani przez Zachód, wykorzystani gospodarczo, poddani szokowej transformacji, pozbawieni szans na przyszłość itd.

Pomija się fakt, że to oni sami obrali kurs prowadzący szybko do zjednoczenia. →



KINA-BILD / ARCHIWUM WOJCIECHA PIĘCIAKA

Wybite po otwarciu granicy przejście przy Eberswalderstrasse. Berlin, 11 listopada 1989 r.

Jak upadał mur berliński

„9 LISTOPADA 1989 ROKU, W POŁUDNIE. Jesienny Berlin ma zapach brykietów z węgla brunatnego, opału popularnego i trującego środowisko. Od rana mży. Ponuro. Pusto. Żadnych ulotek, plakatów. Trudno uwierzyć, że coś się tu zmienia, że kilkanaście dni temu ze stanowisk odeszli szef partii Erich Honecker i Erich Mielke, szef bezpieki (Stasi). Na ulicy nie czuje się napięcia. Tu rewolucja jest jakoś ustrukturyzowana: rozgrywa się w poniedziałki, gdy idą demonstracje...” – tak zaczynał się reportaż o 9 listopada 1989 r., kiedy to wieczorem upadł mur berliński.

Wojciech Pięciak, dziś redaktor „Tygodnika”, przyjechał do Berlina Wschodniego wczesnym rankiem tamtego dnia, aby dla polskiej prasy (jeszcze) drugoobiegowej relacjonować przebieg demokratycznej rewolucji w NRD. Upadek muru zaskoczył go – jak wszystkich wtedy. Jego opowieść o tamtych dniach, opublikowana później w „Tygodniku”, przypominamy na naszej stronie internetowej: www.powszech.net/murberlinski

→ Nie dali szans ludziom z NRD-owskiej opozycji na wypracowanie reform, na zmienienie tego kraju – również po to, aby zjednoczenie obu państw niemieckich mogło dokonać się na bardziej równoprawnych, bardziej partnerskich zasadach (czy wtedy późniejsze dzieje wschodnich landów, naznaczone legendarną *Ostalią*, potoczyłyby się inaczej?).

Ale wtedy kierunek historii wydawał się nie mieć alternatywy.

Ciekawe, że ci, którzy przed jesienią 1989 r. aktywnie zwalczali reżim w komunistycznych Niemczech Wschodnich, obecnie nie przyłączają się do tych zbiorowych lamentów. W wielu przypadkach po zjednoczeniu działali dalej na rzecz sprawiedliwego społeczeństwa, tylko w nieporównanie bardziej sprzyjających warunkach: w zjednoczonych i demokratycznych Niemczech.

– Dziś znów wszędzie mamy podziały. My i oni. I to nie tylko w naszym kraju. To mnie przeraża – mówi Bartoszek. – I często zadaje sobie pytanie, dlaczego niemal nikt nie jest dumny z tego, co przeszedł w trakcie transformacji. Dlaczego tak trudno uznać bolesne, ale przezwyciężone biograficzne pęknięcia za to, czym tak naprawdę są: niezwykle trudnym życiowym osiągnięciem, zwycięstwem nad autorytarnym systemem.

Walka trwa

Wolfgang Templin zwraca uwagę na szerszy kontekst. Tak jak wielu innych dawnych opozycjonistów z czasów NRD, obecnie angażuje się na rzecz Ukrainy. Nie ma złudzeń co do autorytarnego charakteru putinowskiej Rosji. Obca jest mu *Ostalgia*, czyli uczucie nostalgii za życiem w państwie autorytarnym, któremu ulega wielu ludzi na wschodzie Niemiec.

– Rok 1989 był szczęśliwym momentem – mówi dziś Templin. – Ale największe bitwy i wyzwania wciąż są przed nami – dodaje. – A w tej walce nadal jest miejsce dla takich weteranów jak my.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

Tor przeszkód na drodze do Krzyżowej

DANIEL LEMMEN

Wizyta Helmuta Kohla w Polsce w listopadzie 1989 r. otworzyła nowy rozdział w relacjach polsko-niemieckich. Ale nic nie było tu z góry oczywiste: poprzedziły ją trudne negocjacje, a w jej trakcie nagle upadł mur berliński.

Stosunki między Polską a Niemcami Zachodnimi były w okresie powojennym niezwykle trudne i obciążone w wielu wymiarach. Przede wszystkim był to balast zbrodni niemieckich z czasu II wojny światowej i niejednoznaczne uregulowanie kwestii granic na konferencji w Poczdamie w 1945 r., które w RFN budziły u niektórych nadzieje na odzyskanie wschodnich terytoriów, a w Polsce obawy o ich utratę. Co więcej, relacje te wpisane były w konflikt Wschód-Zachód, czyli podział Europy „żelazną kurtyną”.

Po pierwszych zbliżeniach między społeczeństwami, przede wszystkim poprzez działania organizacji związanych z Kościołami, dopiero układ między PRL a RFN z 1970 r. szerzej uchylił drzwi do wzajemnych kontaktów. I choć rozwijały się one powoli, to pod koniec lat 80. sprzyjać im zaczęły zmiany, dokonujące się w Polsce i nie tylko.

Kryzys gospodarczy w PRL stopniowo doprowadził do wstrząsów politycznych. W tym samym czasie stosunki między Bonn a Moskwą uległy poprawie, co też przełożyło się na zmianę nastawienia między Niemcami Zachodnimi a sowieckim satelitą, jakim była PRL. Media państwowe w PRL znacznie ograniczyły krytykę „wroga klasowego”, jakim jawiła się RFN, a władze PRL zaczęły starać się polepszenie swoich stosunków z państwem zachodnioniemieckim.

Próba nowego otwarcia

Początkowo próbowano wypracować rozwiązania istniejących problemów dwu-

stronnych w kilku polsko-niemieckich grupach roboczych. Okazało się to jednak mało skuteczne. W rezultacie prezydent Niemiec Zachodnich Richard von Weizsäcker zaprosił premiera Mieczysława Rakowskiego na kolację w Bonn w styczniu 1989 r., z okazji 75. urodzin byłego kanclerza, socjaldemokraty Willy’ego Brandta.

Doszło tam także do spotkania premiera Rakowskiego z kanclerzem Helmutem Kohlem. Obaj byli zgodni, że należy postarać się o znalezienie rozwiązań w szczególności dla praw mniejszości niemieckiej w Polsce, wsparcia finansowego dla Polski ze strony RFN, programu wymiany młodzieży oraz dalszej współpracy kulturalnej i naukowej. Istniało przekonanie, że wszystkie te kwestie są ze sobą powiązane i albo uda się znaleźć rozwiązanie dla wszystkich tych problemów, albo negocjacje zakończą się fiaskiem.

Pozamykano zatem nieefektywne grupy robocze i nadano całemu procesowi najwyższy priorytet. Obie strony wyznaczyły koordynatorów ds. stosunków dwustronnych. Po stronie niemieckiej był to Horst Telschik, najważniejszy doradca Kohla ds. polityki zagranicznej. Warszawa wyznaczyła Ernesta Kuczę, kierownika Wydziału Zagranicznego KC PZPR i poważanego eksperta ds. niemieckich.

Plan zakładał, iż po osiągnięciu kompromisu między Bonn a Warszawą kanclerz Kohl przybędzie do Warszawy latem 1989 r. Następnie 1 września 1989 r., w 50. rocznicę wybuchu II wojny światowej, wizytę państwową miał złożyć w Polsce prezydent RFN.



KAROL MAŁCZYŃSKI / EAST NEWS

Kancelarz Helmut Kohl i premier Tadeusz Mazowiecki podczas Mszy Pojednania w Krzyżowej, 12 listopada 1989 r.

Rząd Mazowieckiego i porozumienie

W realizacji tego harmonogramu przeszkodziły jednak ważne wydarzenia polityczne w obu krajach.

W Niemczech Zachodnich po wyborach lokalnych w 1989 r. coraz większe znaczenie na scenie politycznej zaczęła zyskiwać skrajnie prawicowa partia Republikanie. Helmut Kohl i niemieccy chadecy zaczęli obawiać się, że stracą wyborców na jej rzecz, jeśli pójdą na zbyt wiele ustępstw wobec Polski.

W Polsce natomiast po pierwszych częściowo wolnych wyborach w czerwcu 1989 r. władzę przejęła dotychczasowa opozycja, a na czele nowego rządu stanął premier Tadeusz Mazowiecki. Zaś koordynatora Kuczę, pełnomocnika ds. stosunków polsko-niemieckich w Warszawie, zastąpił wkrótce Mieczysław Pszon – członek redakcji „Tygodnika Powszechnego”.

O ile mniejszość niemiecka służyła dotąd kierownictwu PZPR jako karta przetargowa (czyli mogłaby zostać

uznana, jeżeli Bonn zechciałby przyznać Polsce hojne warunki kredytowe), o tyle rząd Mazowieckiego chciał zaprezentować się jako siła demokratyczna, która obejmuje ochroną także mniejszości etniczne.

Ostatecznie do porozumienia doszło 3 października 1989 r. – dokładnie na rok przed zjednoczeniem Niemiec (wówczas niewyobrażalnym jeszcze dla nikogo). Po zagwarantowaniu ochrony mniejszości niemieckiej w Polsce, RFN potwierdziła gotowość udzielenia gwarancji kredytowych. Rząd Kohla zadeklarował również wolę opieki nad niemieckimi miejscami pamięci w Polsce. Dotyczyło to także Krzyżowej na Dolnym Śląsku, jako miejsca spotkań kręgu przeciwników reżimu Hitlera.

Przełomowa wizyta

Wkrótce potem, 9 listopada, kanclerz Kohl wyruszył w podróż do Polski – nie spodziewając się, jak przełomową okaże się ta data. Podczas gdy Kohl przebywał w polskiej stolicy, wieczorem tego dnia

niemiecka delegacja otrzymała wiadomość o upadku muru w Berlinie.

Pomimo początkowego zaskoczenia (i niezrozumienia ze strony polskich gospodarzy), podróż została przerwana, a Kohl poleciał do Berlina. Kilka dni później dotrzymał obietnicy i wrócił, aby kontynuować wizytę. Do historii przeszedł udział obu szefów rządów w Mszy Pojednania w Krzyżowej. Dała ona nowy początek zachodnoniemieckich – a wkrótce już ogólnoniemieckich – stosunków z Polską, których symbolem stał się znak pokoju przekazany sobie podczas mszy przez obu szefów rządów.

Po nim, 14 listopada, spisana została wspólna deklaracja. Nie był to jeszcze traktat, lecz zapis politycznych intencji, zebranych w 78 punktach. Podczas ceremonii podpisania kanclerz Kohl mówił o „mapie drogowej” dla współpracy polsko-niemieckiej u progu nowego tysiąclecia.

Kolejne miesiące pokazały, że historia może przyspieszyć w niespodziewany sposób. Równy rok później zjednoczone Niemcy i demokratyczna Polska podpisały traktat graniczny, a w czerwcu 1991 r. traktat o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy.

Wrogowie stają się partnerami

Krzyżowa stała się symbolem nowej ery w stosunkach polsko-niemieckich i kamieniem węgielnym dla wielu dwustronnych inicjatyw i instytucji, których działalność do dzisiaj wpływa na zacieśnienie więzów między Polakami i Niemcami.

Opublikowane właśnie badania wizerunku Polaków i Niemców w „Barometrze Polska–Niemcy 2024” potwierdzają, że nie widzimy już w sobie wrogów, a staliśmy się partnerami. Rocznicą wydarzeń w Krzyżowej powinna być jednak nadal okazją do refleksji, jaki sens nadać naszemu sąsiedztwu. A sama Krzyżowa niech pozostanie naszym azymutem.

© Tłumaczyła HANNA DMOCHOWSKA

DR DANIEL LEMMEN jest historykiem, pracuje w przedstawicielstwie Fundacji Konrada Adenauera w Polsce.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 45/2024

REDAKCJA: Wojciech Pięciak
OKŁADKA: Niemcy z NRD przechodzą do Berlina Zachodniego,
listopad 1989 r. / DAVID TURNLEY / CORBIS / GETTY IMAGES
TP TYPOGRAFIA: Andrzej Leśniak | FOTOEDYCJA: Edward Augustyn

PARTNER WYDANIA

**KONRAD
ADENAUER
STIFTUNG**

JAK POLICZYĆ WYBITNOŚĆ

Jeden z najczęściej przywoływanych rankingów w akademii, wbrew powszechnym opiniom, nie jest rzetelnym wykazem naukowych osiągnięć. Czy da się je w ogóle mierzyć? I jak ocenić stan polskiej nauki?

KRZYSZTOF CIEPLIŃSKI

OSOBY ZAINTERESOWANE NAUKĄ i sprawami środowiska akademickiego zapewne słyszały o „rankingu Uniwersytetu Stanforda najlepszych 2 proc. badaczy z całego świata”. Swoimi reprezentantami na tej liście lubią się chwalić uczelnie, ranking przywołują też publicyści – w ostatnich tygodniach np. ci, którzy komentowali polityczne zamieszanie wokół zmian na czele IDEAS NCBR. Obecność w „stanfordzkim” rankingu Piotra Sankowskiego, byłego już kierownika tej badawczo-rozwojowej jednostki, przywoływano jako argument za jego wysoką pozycją w świecie nauki. I choć w rzeczywistości ten „ranking” istnieje, to jest z nim wiele problemów. Przede wszystkim nie jest on zestawieniem najlepszych naukowców na świecie ani nie jest przygotowywany przez Uniwersytet Stanforda.

Ale zacznijmy od początku.

Trzy bazy danych

W 2019 r. w czasopiśmie „PLoS Biology” ukazał się artykuł Johna Ioannidis z Uniwersytetu Stanforda, Jeroena Baasa z firmy Elsevier oraz Richarda Klavansa i Kevina Boyacka z SciTech Strategies Inc., opisujący trzy bazy danych, z których każda zawierała wybrane informacje dotyczące dorobku (publikacji naukowych) i cytowań (przywołań tych publikacji w innych pracach naukowych)

ok. stu tysięcy autorów. Dane w dwóch bazach mają charakter długookresowy – pierwsza uwzględnia publikacje z lat 1960-2017 i cytowania z lat 1996-2017, a druga odpowiednio z okresów 1960-2018 i 1996-2018. Trzecia baza zawiera dane dotyczące cytowań tylko z roku 2017.

Do każdej z baz trafiło po 100 tys. autorów z dwóch grup: w jednej z nich uwzględniono autocytywania (powołanie się autora na jego własne, wcześniejsze publikacje), a w drugiej – nie. O ich pozycji decydował tzw. złożony indeks cytowań (indeks c). Wyliczany jest on przy pomocy wzoru wykorzystującego sześć różnych wskaźników związanych z liczbą cytowań prac danego naukowca, a także kolejnością, w jakiej jego nazwisko pojawia się na liście autorów (w przypadku prac napisanych przez wiele osób).

Nie we wszystkich dziedzinach ma to sens. Choć są bowiem i takie, gdzie kolejność na liście autorów oznacza stopień zaangażowania danej osoby w powstanie pracy (pierwszy z autorów jest wówczas zwykle tym głównym, a ostatni może oznaczać konsekwentnie tego z najmniejszym wkładem, ale też lidera grupy czy kierownika laboratorium), to w innych regułą jest stosowanie kolejności alfabetycznej.

*Inauguracja roku akademickiego
na Uniwersytecie Jagiellońskim,
Kraków, październik 2016 r.*



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

tycznej. Jako przykład posłużyć może oświadczenie Amerykańskiego Towarzystwa Matematycznego z 2004 r., przypominające, że alfabetyczna kolejność autorów publikacji należy do tradycji i kultury matematyki. Zabawny przykład rozwiązania tej kwestii to artykuł M.P. Hassella i R.M. Maya opublikowany w 1974 r. w „Journal of Animal Ecology”, w którym o kolejności autorów zdecydowały... wyniki 25 partii krokiet.

W 2020 r. ukazał się kolejny, krótki tekst Ioannidis, Boyacka i Baasa informujący o aktualizacji i rozszerzeniu baz danych z poprzedniego roku. Nowe bazy zawierały zarówno – tak jak w 2019 r. – listy „top sto tysięcy” naukowców z najwyższym indeksem c, jak i – po raz pierwszy – listy „top 2 proc.”, czyli wykaz tych autorów, których indeks c mieścił się w górnych 2 proc. w jednej ze 174 poddyscyplin 22 dziedzin naukowych. Tym razem uwzględniono więc nieco specyfikę

różnych dziedzin badań i w efekcie „zdemokratyzowano” wykazy. Przykładowo, na jednej z pierwszych długookresowych list „top sto tysięcy” (nieuwzględniającej podziału na dyscypliny) znalazło się ponad 40 tys. autorów przypisanych do dziedziny medycyny klinicznej, ok. tysiąca reprezentantów matematyki i statystyki, a także zaledwie 70 przedstawicieli filozofii i teologii. Oczywiście, zmiana ta doprowadziła do znacznego (o ponad połowę) wzrostu liczby autorów w obu bazach.

W 2021 r. Baas, Boyack i Ioannidis udostępnili kolejne edycje baz, a od 2022 r. robi to już sam John Ioannidis. Do ostatnich baz trafiło po ok. 220 tys. autorów, spośród których ok. 1300 osób ma polską afiliację.

Osuźci i dziennikarze

Podkreślmy, że opisywane bazy danych nigdy nie były i nadal nie są listami „top 2 proc.”. Pierwsze – te udostęp-

nione w 2019 r. – to listy „top sto tysięcy” (osób z najwyższym indeksem c), a kolejne to zestawienia obejmujące oprócz autorów z „top sto tysięcy” także tych z „top 2 proc.”.

Co istotne, list tych nie należy utożsamiać z rankingiem „najlepszych naukowców na świecie”. Po pierwsze, do baz trafiają bowiem również osoby niebędące naukowcami, np. dziennikarka medyczna „The BMJ” Elisabeth Mahase, która w jednorocznej bazie z 2022 r. uplasowała się na 217. miejscu, wyprzedzając wielu noblistów – a także wszystkich autorów z Polski. Jest tak, ponieważ wiele najsłynniejszych czasopism naukowych ma sekcję publicystyczną, w której drukuje się zwykle teksty dziennikarskie, jak newsy, reportaże czy recenzje książek.

Po drugie i ważniejsze, indeks c nie mówi nic o jakości prowadzonych badań i uzyskanych w ich efekcie wyników. →



⇒ Opiera się on wyłącznie na wspomnianych sześciu wskaźnikach dotyczących cytowań, które nie mówią nic o ich „jakości”. Nie wiemy w szczególności, kto i gdzie nas cytuje, a nawet czy w pozytywnym kontekście. Druzgocąca krytyka to też cytowanie.

Nie wszyscy autorzy, którzy pojawiają się w bazach, zawdzięczają to rozpoznawalności swoich prac. W przypadku części osób decydują o tym autocytowania (w 2022 r. do wykazu jednorocznego trafiło dwóch autorów, na których publikacje nie powołał się nikt inny – wyłącznie oni sami). Odwoływanie się do swoich prac to oczywiście nic złego, nie jest to też jednak powód do chwały. Niestety zdarzają się osoby, które wykorzystują to do nierzetelnej „autopromocji”. Bardziej wyrafinowanym i efektywnym sposobem nieuczciwego windowania sobie indeksów cytowań są tzw. spółdzielnie, czyli międzynarodowe grupy wspólnie publikujących i wzajemnie cytujących się autorów.

Innym problemem jest obecność na listach ewidentnych naukowych oszustów. Otóż w najnowszej edycji baz uwzględniono także dane dotyczące wycofanych publikacji (redakcje czasopism formalnie wycofują publikacje po stwierdzeniu w nich poważnych uchybień). Niechlubnym rekordzistą w przypadku bazy jednorocznej jest japoński anestezjolog Hironobu Ueshima, z którego 276 artykułów opublikowanych w latach 2011-2023 aż 140 zostało później wycofanych: Ueshima dopuszczał się różnych rodzajów oszustw – m.in. fabrykował dane.

Nobel z matematyki

Gdyby uznać, że publikowane przez Johna Ioannidisa bazy danych stanowią ranking najlepszych naukowców na świecie, to trudno byłoby wytłumaczyć brak w nich badaczy uzyskujących ważne wyniki i prestiżowe naukowe wyróżnienia.

Zacznijmy od rodzimego podwórka i laureatów „polskich Nobli” – Nagród Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Jak wyliczałem w 2021 r. w „Forum Akademickim”, blisko połowa z tego grona (52 na 106) nie znalazła się w długookresowej bazie uwzględniającej cytowania z lat 1996-2019. Przyjrzałem się także obecności w bazach afiliowanych w polskich instytucjach laureatów prestiżowych gran-



Wyrafinowanym
i efektywnym
sposobem
nieuczciwego
windowania
indeksów cytowań
są tzw. spółdzielnie,
czyli grupy wspólnie
publikujących
i wzajemnie
cytujących się autorów.

tów Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych (ERC). W wykazie długookresowym znalazł się zaledwie co piąty z nich, a w jednorocznym – co czwarty.

Ograniczmy się teraz do matematyki, za to w ujęciu globalnym.

W udostępnionej w 2022 r. długookresowej bazie wśród blisko 2,5 tys. autorów reprezentujących dyscyplinę „matematyka i statystyka” nie znalazło się aż 25 laureatów Medalu Fieldsa (najważniejszej, obok przyznawanej corocznie od 2003 r. Nagrody Abela, matematycznej nagrody naukowej), który od 1936 r. wręczono zaledwie 64 uczonym.

Medal Fieldsa przyznaje się stosunkowo młodym naukowcom (do 40. roku życia), więc nieobecność części najmłodszych laureatów tej nagrody w długoterminowych bazach można zrozumieć. Ale są też ciekawsze przykłady. Do żadnej z baz nie trafili m.in. twórca teorii katastrof René Thom (laureat Medalu Fieldsa z 1958 r.), Paul Cohen (medalista z 1966 r.), znany z wkładu w rozwiązanie pierwszego z 23 słynnych problemów sformułowanych w 1900 r. przez Davida Hilberta, czy genialny (i nieco ekscentryczny) Grigori Perelman (laureat z 2006 r.), który jako jedyny w historii odmówił przyjęcia Medalu, podobnie zresztą jak miliona dolarów, jaki należał mu się za potwierdzenie – po blisko stu latach – tzw. hipotezy Poincarégo, dotyczącej pewnego zagadnienia topologii geometrycznej.

W długookresowej bazie zabrakło też miejsca dla 4 z 25 laureatów Nagrody Abela: Johna Nasha Jr., Andrew Wilesa, Yvesa Meyera i Roberta Langlandsa.

To wielkie postaci nauki: Nash – bohater książki i filmu „Piękny umysł” – uhonorowany został m.in. ekonomicznym Noblem za osiągnięcia w teorii gier, Langlands otrzymał także Nagrody Shawa i Wolfa, a Wiles, który w wieku 41 lat udowodnił słynne wielkie twierdzenie Fermata z XVII w., otrzymał całą stertę nagród, w tym jako jedyny w historii specjalne wyróżnienie zamiast Medalu Fieldsa, którym z racji wieku nie mógł już być uhonorowany.

Trzymajmy się faktów

Zauważmy jeszcze, że chwalenie się przez uczelnie obecnością swoich naukowców w „rankingu stanfordzkim” jest do pewnego stopnia specyfiką lokalną. Robi to wiele polskich uczelni (w tym te najlepsze), często bez rozróżniania, czy ktoś jest w „top sto tysięcy” czy w „top 2 proc.”, ani tego, czy trafił tam dzięki cytowaniu przez innych autorów, czy przez samego siebie. Przykładowo, powodem do dumy dla jednej z poznańskich uczelni jest jej emerytowany pracownik, którego indeks c bez autocytowań plasuje się w okolicach połowy szóstego miliona rankingu. Trudno znaleźć podobne informacje na stronach najbardziej prestiżowych uczelni europejskich czy amerykańskich, które mają dużo więcej realnych sukcesów niż nasze (a być może także lepiej orientują się, czym są i czym nie są bazy Ioannidisa).

W 2020 r. zwracałem uwagę w „Forum Akademickim”, że tylko jeden (Ioannidis) z twórców baz jest pracownikiem Uniwersytetu Stanforda. Sugerowałem w związku z tym, że zbyt silne wiązanie Uniwersytetu Stanforda z „listami” wydaje się nieco przesadzone.

I nawet dziś, gdy bazy sygnowane są wyłącznie nazwiskiem Ioannidisa, określanie ich mianem „rankingu” czy „list Uniwersytetu Stanforda” jest nieuzasadnionym wykorzystywaniem prestiżu tej słynnej uczelni. Uniwersytet ten ich nie publikuje, nie finansuje specjalnie, a nawet nie udostępnia na nie miejsca (bazy są dostępne w repozytorium firmy Elsevier).

Ile jesteście w wari

Skoro bazy Ioannidisa niezbyt się do tego nadają, to jak bez specjalistycznej wiedzy stwierdzić, którzy naukowcy należą do ścisłej czołówki w danej dziedzinie? Wydaje się, że nie ma innego rozwiązania,

niz zdać się na opinię specjalistów, której emanacją są różne nagrody, członkostwo w naukowych korporacjach, wystąpienia na najważniejszych kongresach i konferencjach, publikacje w najbardziej prestiżowych czasopismach naukowych na świecie czy pozyskiwanie na badania uznanych grantów.

Zacznijmy od nagród. Laureatów najbardziej znanych poznaliśmy w październiku – nie ma wątpliwości, że laureaci Nagród Nobla należą do najwybitniejszych uczonych świata. Oczywiście Noble są przyznawane tylko w wybranych dziedzinach, ale niektóre inne mają ich „odpowiedniki”. W informatyce jest nią Nagroda Turinga, a w matematyce wspomniane już Medal Fieldsa i Nagroda Abela. Są też inne niezwykle prestiżowe (i związane z wysokimi gratyfikacjami pieniężnymi) wyróżnienia, jak choćby „Nobel Wschodu”, czyli przyznawana m.in. w naukach przyrodniczych Nagroda Shawa (jej jedynym polskim laureatem jest pracujący od lat w USA matematyk Henryk Iwaniec), Nagroda Kioto honorująca osiągnięcia w zaawansowanej technologii, naukach podstawowych oraz sztuce i filozofii (w tej ostatniej kategorii wyróżniono Andrzeja Wajdę i Witolda Lutosławskiego) czy „Naukowy Oskar”, jak nazywana jest niekiedy najhojniej premiowana (trzemna milionami dolarów) Breakthrough Prize.

Jest jasne, że laureatów takich nagród jest niewiele (a Polaków wśród nich, niestety, jak na lekarstwo). Jest jednak wiele innych międzynarodowych nagród naukowych, co prawda nie aż tak prestiżowych, ale też bardziej specjalistycznych, niekiedy zawężonych dodatkowo geograficznie czy wiekowo. No i są nagrody krajowe – u nas np. wspomniane już „polskie Noble”, nagrody wydziałów PAN czy wyróżnienia przyznawane przez towarzystwa naukowe.

Inną formą wyróżnienia dla naukowca jest jego członkostwo w korporacji uczonych. W Polsce mamy członków PAN – krajowych (których może być maksymalnie 350) i zagranicznych. Jest przy tym jasne, że szczególną wagę mają w tym przypadku członkostwa nadawane poza własnym krajem.

Wyrazem uznania środowiska dla osiągnięć naukowców może być również zaproszenie ich do wygłoszenia odczytu na najważniejszych kongresach czy konfe-

rencjach poświęconych danej dziedzinie. W matematyce otrzymanie zaproszenia w charakterze prelegenta na odbywający się co cztery lata Międzynarodowy Kongres Matematyków jest nazywane wręcz niekiedy „wprowadzeniem do galerii sław”. Na kongresie w Rio de Janeiro w 2018 r. zaszczytu tego dostąpiło 200 matematyków, z czego dwudziestu wyróżniono dodatkowo wykładami plenarnymi. W XXI w. na kongresach wykłady (sekcyjne) wygłosiło siedmioro uczonych zatrudnionych w Polsce, z których tylko jeden, Tomasz Łuczak, trafił do ostatnich baz Ioannidisa. Polskich prelegentów było jednak więcej, ale pracowali już za granicą. Wspomniany Henryk Iwaniec jako ostatni z Polaków wygłosił w 2006 r. na kongresie wykład plenarny.

Tym, co pokazuje, że ktoś prowadzi badania naukowe na najwyższym poziomie, jest również publikowanie ich wyników w najbardziej prestiżowych czasopismach na świecie. Dwa powszechnie znane z nich to „Nature” i „Science”. Według bazy Scopus, autorzy z polskimi afiliacjami opublikowali w tych pismach w ostatnich dziesięciu latach 274 z ponad 20 tys. artykułów (co daje nam 26. miejsce na świecie). Wiele dyscyplin i poddyscyplin naukowych ma także swoje własne specjalistyczne prestiżowe czasopisma. Ich listę znaleźć można m.in. w Global Ranking of Academic Subjects, czyli jednej z wersji popularnego rankingu szanghajskiego. Nie wiem, czy na tej liście można polegać w każdej dziedzinie – w matematyce moim zdaniem tak – ale z pewnością jest to bardziej wiarygodne źródło niż nasza ministerialna lista czasopism punktowanych, zdewastowana przez poprzedniego szefa resortu nauki Przemysława Czarnka, który zrównał lokalne polskie periodyki z zagranicznymi czasopismami o globalnym zasięgu i renomie.

Europejskie ambicje

Granty ERC zapewniają ich beneficjentom międzynarodowy prestiż i wysoki budżet (w przypadku Advanced Grant sięga on 2,5 mln euro z możliwością zwiększenia o dodatkowy milion), zabiegają więc o nie naukowcy z najlepszych europejskich instytutów badawczych i uczelni, które chętnie chwala się sukcesami swoich pracowników na tym polu (stosowne informacje można znaleźć na stronach m.in. Uniwersytetu w Cambridge, Uniwersytetu Oksfordzkiego czy

paryskiego Sorbonne Université). Od 2007 r. ERC wybrała do finansowania ponad 16 tys. projektów, z czego jedynie nieco ponad 80 w polskich jednostkach (około 40 proc. z nich w Uniwersytecie Warszawskim). O ile fakt, że od gigantów europejskiej nauki – Niemiec i Wielkiej Brytanii (uzyskały już po ponad 2 tys. grantów) – dzieli nas przepaść, może specjalnie nie dziwić, o tyle pół tysiąca grantów w Austrii, dwa razy więcej niż u nas w Portugalii czy porównywalne z naszymi liczbą w Czechach i na Węgrzech muszą martwić.

W tym kontekście doskonale widać, jak dużym osiągnięciem jest otrzymanie przez wspomnianego Piotra Sankowskiego aż czterech grantów ERC, z których ostatni przeznaczony był na projekt realizowany w IDEAS NCBR (choć dwa z nich to granty Proof of Concept w wysokości 150 tys. euro przeznaczone na komercjalizację wyników badań osiągniętych w trakcie realizacji poprzednich, „podstawowych” grantów ERC).

Dodajmy jeszcze, że w ostatnim konkursie dla naukowców od 2 do 7 lat po doktoracie 2 spośród 494 Starting Grants uzyskali uczeni zatrudnieni w Polsce. To trzy razy mniej niż z samego Uniwersytetu Oksfordzkiego, ale też – jak pocięła redakcja „Forum Akademickiego” – cztery razy mniej niż młodzi polscy badacze otrzymali na realizację swoich projektów w innych krajach.

■ ■ ■

Nie jest łatwo porównywać osiągnięcia czy pozycję w świecie akademickim poszczególnych uczonych. Na pewno niewiele w tym pomagają bazy Johna Ioannidisa, mylnie nazywane rankingiem Uniwersytetu Stanforda. Niestety, znaczenie tych list przeceniają nie tylko laicy. W grudniu ubiegłego roku Prezydium PAN zaproponowało, by w ewaluacji jakości działalności naukowej jednostek uwzględnić m.in. liczbę pracowników znajdujących się w rankingu „top 2 proc.”.

Musimy rozmawiać o jakości polskiej nauki i sposobach jej oceny – ale nie tędy droga.

© KRZYSZTOF CIEPLIŃSKI

Autor jest doktorem habilitowanym matematyki i profesorem Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Pracuje w Katedrze Równań Różniczkowych.

ELIZA

Kacka: Duch wodny



AUTOBUS 131, DWIE O LASCE. „A WIE, że dziś Czaskoski puścił tramwaj na Wilanów?”. „Już?!”. „Eee, i tak nie będę jeździć tym jego tramwajem”. „A mnie tam Wilanowa nie trzeba. Niech se go wezną, jak go obsiedli”.

„Myśli pani, że chociaż księdza poprosili?”. „Do tramwaja? Nieee”. „Czyli świecka linia będzie”. „A pani by chciała księdza? Na takiej imprezie?! Już myślę, że lepiej bez”. „Prawda! Nie ma co diabłu kropidłem służyć”.

INSTYTUT ONKOLOGII, POD GABINETEM. PRZY MNIE KOBIETA w mini i kozakach do pół uda. Nadaje na cały korytarz: „Twoją matkę ogarnęłam”. Pauza. „Co ty, zamówiłam mycie”. Pauza. „Kotek, dopiero paznokcie zrobiłam”. Pauza. „Ojca się dołoży”. Pauza. „Zaraz zapytam, ale daję mu miesiąc”. Pauza. „Szkoda, że nie przed Wszystkich Świętych. I tak się na wianki wyda. No trudno”. Pauza. „Jak nie wykupiłeś?”. Pauza. „Kwaterna na Powązkach! Prajmi!”. Pauza. „Powiem tak: chcesz Bródno, masz rozwód. Nie pójdę tam leżeć!”.

DOLNA, ROZKOPY, MIASTO W BUDOWIE. SIEDZĘ NA ŁAWCE-PROWIZORCE z widokiem na koparkę. „Ależ ryją” – starszy w palcie z sąsiedniej. „A owszem”. „Dawno mieli skończyć”. „Tak”. Pauza. On: „Przepraszam, pytanie osobiste: jaki ma pani stosunek do szczęścia?”. „U, skomplikowany” – uśmiecham się. „Hehe, to mi pani nie pomoże”. „A w czym rzecz?”. „Zostało mi kilka miesięcy. Nawet końca tego rycia nie dożyję”. „Aha”. „I szkoda mi jednego: że nigdy nie byłem szczęśliwy...”. „Nigdy?”. „...świadomie. Wciąż miałem czas. I zawsze mi coś nie leżało”. „Uhm”. „Teraz nie leży mi to rycie”. „Hah”. „Bo wie pani, ja już wiem, że nie wezmę szczęścia z osiągnięć, bo miałem bardzo zwykłe życie”. „A może to szczęście?”. „Że zwykłe? Chyba uczciwe. Ale to mało”. „To, zdaje się, dużo”. „Tak? Dziękuję. Ale teraz inaczej się myśli”. „Owszem”. Pauza. On: „Wczoraj wpadłem na pomysł”. „Tak?”. „Że mogę to sobie postanowić”. „?”. „Że jestem szczęśliwy. A moim osiągnięciem będzie śmierć”. „Śmierć?”. „Spokojna, bez lęku. Zrobię to inaczej, niż myślałem”. „Wysoko pan wiesza poprzeczkę”. „Z tym brakiem świadków?”. „Też”. „Z tym to ludzie mają dziś chyba większy problem niż ze śmiercią”.

POCIĄG Z KRAKOWA. MIEJSCE PRZY STOLIKU OBOK RODZICÓW z córką na oko pięcioletnią. Mała wyciąga z plecaczka kredki, blok. „Będziesz pani przeszkadzać” – gość wygarniturowany. Uspokajam. On do kobiety na wzburzeniu: „Mogłaby się pouczyć, a nie tylko ciapać”. „Oj, pozwól, niech sobie ma”. „Ma łamigłówki na mózg w torbie, a tylko cia-

pie”. Smutna cisza. „Co to jest?” – dziobie palcem wskazującym rysunek. Mała: „To duch wodny”. „Czyli meduza”. „Nie. Duch nie ma falbanek. I ogonka”. Gość do kobiety: „Bzdura! Widziała meduzy w Syrakuzach”. Mimowolnie się śmieję. „Co panią śmieszy? Mam problem z dzieckiem”. Mała dorysowuje kolejnego ducha. Garniturowy nie wyrobił: „Idę do kibla”. „Ej, ten ma ogonek, może to duch rybki?” – zaczepiam się. Matka patrzy na mnie z grozą: „Mąż nie lubi takich żartów, niech pani jej nie podsuwa”. Mała zaciska usta, bierze czarną kredkę. Rysuje smolisty kłęb nad wodą. „To burza?”. „Nie, to zabijaczce ducha. Duchu, chowaj się!”. Ciągnie czerni do kresu kartki, drze rysunek, wrzuca kredki do plecaka. Wraca ojciec: „O, duch w śmietniku! Brawo”.

TARGI KSIĄŻKI W KRAKOWIE, TŁUM W HALI WISŁA. Wypatrzyłam przesmyk, przemieszczam się sprawnie, a tu klinacz: „Kaarol!” – na pół hali. „No co?!” – odkrzykuje młody. „Gdzie ty jesteś? Ja tu nie mam nic do roboty!”. „Oj, mama!”. „Tu jest jeden stragan katolicki”. „No nie! Nie widziałas »Gościa Niedzielnego«?”. „Nie widziałam. Kup coś katolickiego i chodźmy stąd”. „Mama! – krzyczy nad moim uchem jak mewa na wiecu – ja ci biorę kalendarz z prymasem!”. „Dobry chłopak! I wyprowadź mnie stąd”. „Jeszcze chciałem fantastykę zobaczyć”. „Ech, to daj mi kalendarz, ja z nim idę do kibla. I chwilę poczekam. A ty se fantastykę kup, tata ci funduje”. „Dziękuję, mam”. „Tylko nie przesadz, synku!”.

POCIĄG DO KRAKOWA, DWIE NIECO STARSZE ODE MNIE: „WIESZ, ja nie mam problemu, że syn ogląda Azjatów. Mam go, że parę godzin dziennie przewija filmiki z żarciem”. „?!” „No tak. Jeden mi pokazał. Błada, chuda dziewczyna wciąga gołonkę. I kubek makaronu. Jak na przyspieszonym filmie”. „Co ty mówisz?! To konkurs?”. „Pewno tak. Nie wiem, co tu można wygrać. Setki ludzi kamerują, jak zasysają nieprawdopodobne ilości żarcia”. „Matko!”. Chrząkam. Obie patrzą się na mnie znad wspólnego stolika. „Pani też to widziała?” – pyta Pierwsza. „A owszem” – odpowiadam. „I nie uzależniło pani?” – mówi Druga. „Od spektakli żarcia? Nie”. Druga: „Dobre! Spektakli! Ej, może to płatne?” – podrzuca Pierwszej. Ta: „Jasne, że płatne. Z tego żyją. Ale dlaczego moje dziecko tak się wgapia?!”. Druga: „A nie żre w tym czasie? Ja bym musiała”. Pierwsza: „Nic nie je. Jedną kanapkę z ogórkiem. Chleb i jeden plasterek na dobę. Zaburzenia odżywiania. A ich ogląda, ogląda”. Druga: „Ja się boję tych, co nie tyją”. Pierwsza: „???”. Druga: „Człowiek tyje, jak je za dużo. A oni wyglądają dobrze. To niedobrze”. Pierwsza: „Ja myślę, że oni jedzą za niego”. „Za kogo?”. „Za mojego Romka”. „Aguś, przestań, Romuś musi być szczęśliwy”. Pierwsza: „Nie. On mi umrze. Oni go zjedzą”.

©

Eliza Kacka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu” i „Idiomy”. Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono”.



**Teatr
w Krakowie**
Im. J. Słowackiego

REPERTUARIUM grudzień

1 ND.	Pani Bovary. Możliwa historia reż. G. Jakubowska Raczkowska	Dom Machin
	Lepper. Będziemy wisieć albo siedzieć reż. M. Liber	Scena MOS
3 WT.	Wesele reż. M. Kleczewska	Duża Scena
	Simona K. wołająca na puszczy reż. A. Gryszkówna	Dom Machin
4 ŚR.	Wesele reż. M. Kleczewska	Duża Scena
	Simona K. wołająca na puszczy reż. A. Gryszkówna	Dom Machin
	Wielki Gatsby reż. J. Roszkowski	Scena MOS
5 CZW.	Wesele reż. M. Kleczewska	Duża Scena
	Wielki Gatsby reż. J. Roszkowski	Scena MOS
6 PT.	Wesele reż. M. Kleczewska	Duża Scena
	Bóg, ja i pieniądze reż. M. Wojtyśko	Dom Machin
	Wielki Gatsby reż. J. Roszkowski	Scena MOS
7 SB.	Wesele reż. M. Kleczewska	Duża Scena
	Bóg, ja i pieniądze reż. M. Wojtyśko	Dom Machin
	Język polski na dwa głosy – warsztaty edukacyjne	Scena MOS
	Wielki Gatsby reż. J. Roszkowski	Scena MOS
8 ND.	Wielki Gatsby reż. J. Roszkowski	Scena MOS
14 SB.	Państwo / Der Staat reż. J. Klata	Duża Scena
15 ND.	Państwo / Der Staat reż. J. Klata	Duża Scena
	Myślnik. Jazz – filozofia – stand-up	Scena MOS
	Maraton miniatur dramatycznych	Dom Machin

17 WT.	O dwóch doktorach i jednej pacjentce, czyli seks, władza i medycyna reż. M. Wojtyśko	Dom Machin
	Opowieść wigilijna reż. J. Krofta, M. Wojtyśko	Scena MOS
18 ŚR.	1989 reż. K. Szyngiera	Duża Scena
	O dwóch doktorach i jednej pacjentce, czyli seks, władza i medycyna reż. M. Wojtyśko	Dom Machin
19 CZW.	1989 reż. K. Szyngiera	Duża Scena
	Opowieść wigilijna reż. J. Krofta, M. Wojtyśko	Scena MOS
20 PT.	1989 reż. K. Szyngiera	Duża Scena
	Szczeliny istnienia reż. I. Kempa	Dom Machin
	Opowieść wigilijna reż. J. Krofta, M. Wojtyśko	Scena MOS
	IMPRO KRK	Scena MOS
21 SB.	1989 reż. K. Szyngiera	Duża Scena
	Szczeliny istnienia reż. I. Kempa	Dom Machin
	Opowieść wigilijna reż. J. Krofta, M. Wojtyśko	Scena MOS
22 ND.	Szczeliny istnienia reż. I. Kempa	Dom Machin
27 PT.	Proszę Państwa, Wyspiański umiera reż. A. Duda-Gracz	Duża Scena
28 SB.	Proszę Państwa, Wyspiański umiera reż. A. Duda-Gracz	Duża Scena
	Pani Bovary. Możliwa historia reż. G. Jakubowska Raczkowska	Dom Machin
	Szyborska. Kropki, przecinki, papierosy reż. A. Gryszkówna	Scena MOS
29 ND.	Proszę Państwa, Wyspiański umiera reż. A. Duda-Gracz	Duża Scena
	Pani Bovary. Możliwa historia reż. G. Jakubowska Raczkowska	Dom Machin
	Szyborska. Kropki, przecinki, papierosy reż. A. Gryszkówna	Scena MOS
30 PON.	Pani Bovary. Możliwa historia reż. G. Jakubowska Raczkowska	Dom Machin
	Szyborska. Kropki, przecinki, papierosy reż. A. Gryszkówna	Scena MOS
	SYLWESTER W TEATRZE – Serce ze szkła. Musical zen reż. C. Tomaszewski	Duża Scena
31 WT.	SYLWESTER W TEATRZE – Szyborska. Kropki, przecinki, papierosy reż. A. Gryszkówna	Scena MOS

REKLAMA

więcej na: www.teatrwkrakowie.pl

Sylwester w Teatrze

Bilety już w sprzedaży

libretto: Klaudia Hartung-Wójciak, Maria Peszek

SERCE ZE SZKŁA musical zen

reżyseria Cezary Tomaszewski

muzyka: Andrzej Smolik, Maria Peszek

KOPRODUKCJA TEATRU IM. JULIUSZA SŁOWACKIEGO W KRAKOWIE
I STUDIO TEATRGALEII W WARSZAWIE



Teatr
w Krakowie

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA

STUDIO
teatr Galeria





KULTURA

PRACE CIELESNE

By móc pisać – chodzę. Nastroszywszy nerwy, robię nieskończone ilości kroków.
Zaglądam w twarze, przypatruję się oknom i stojącym w nich ludziom.
Nie podglądam ich, raczej się w nich odbijam.

DOROTA MASŁOWSKA

GDY PRZYJMOWAŁAM ZAPROSZENIE DO WYGŁOSZENIA TEGO wykładu i usłyszałam, że ma dotyczyć autentyczności, poczułam się zrelaksowana, i niejako naturalnie gotowa do jego niezwłocznego wygłoszenia.

Okazuje się, że miałam w sobie niespodziewanie grube pokłady ufności w swoją, jako pisarki, autentyczność. Odkryłam, że czuję się magistrem, ba, może nawet doktorem

własnej literackiej autentyczności. Gdy jednak zaczęłam się przyglądać tej sprawie bliżej, zrozumiałam, że nie wiadomo, jaki ośrodek przyznał mi te tytuły, a inne szczegóły na moich niestarannie wypchnionych dyplomach też są zamazane, nieczytelne. Napisane dawno temu, w innym jeszcze świecie.

Nie wiadomo też, czy w tym, który na naszych oczach wyraża się akurat z obecnego, zostawiając wszystko, czego

jesteśmy pewni i w co ufamy, jak skorupę, wylinkę, dyplomy owe będą w ogóle potrzebne, czy będą walać się po antykwiariatach niezrozumiałe i niewypłacalne jak książeczka Szkolnej Kasy Oszczędności.

Ba, nawet ona jednak wydaje się bardzo konkretnym i autentycznym faktem ekonomicznym w porównaniu do mojego subiektywnego, tak samo oczywistego, jak i nieoczywistego POCZUCIA autentyczności, któremu to postaram się tu dziś pokrótce przyjrzeć. Autentyczność wydaje mi się tym niezręcznym, delikatnym i bardzo płochliwym przepływem między pisaniem a osobistą tajemnicą: intymną substancją własnego istnienia.

Płochliwe

Mało jest – myślałam o tym wielokrotnie w toku tych wszystkich lat spędzonych na pisaniu i ekspozycji medialnej – ekspresji tak dosłownie i dotkliwie połączonych z samym życiem jak literatura piękna. Z życiem, nazwijmy to śmiesznie, wewnętrznym, prywatnym. Z prywatnym ciałem, prywatną duszą: z miłością i seksem, płodzeniem i rodzeniem, umieraniem. Chorobami, obrażeniami, ujmami, traumami, stratami i żałobami.

Za co byśmy ich nie przebrali, to właśnie ich impet, ich energia napędza pisanie. Nigdy nie napisze się tak dobrze, tak prawdziwie i strasznie, jak kiedy ostateczność podejdziesz tak blisko pod drzwi, że słyhać jej ciężki oddech. Nie chodzi tylko o rozładowanie emocji, autoterapię. Narodziny, choroba, miłość, śmierć – te chwile, gdy przez śmieci, pozory, fasady prześwituje wieczność, wprawiają słowa i zdania w szczególny dygot, w szczególne nerwy, w coś, co, wierzę, przedostaje się do umysłu osób czytających i dalej tam drży.

Gdy jednak już się napisze, a nawet wydrukuje, zaczyna się nieuchronna praca o przeciwnym wektorze: tworzenie narracji medialnej. Ta z kolei próbuje zepchnąć na bok zawłóści literatury, rozebrać jak cebulę zbędne esy floresy, metafizyki i metafory, żądając od osoby piszącej suchych biograficznych faktów, bo to one będą się, pod pozorem jakiegś tam książki, klikać. To one mają stworzyć czy zapozorować dostęp do autentyczności osoby pisarskiej.

Fakty jednak, upublicznione, wyklikane, błedną i dewaluują się; stają się jednym z wielu śmieci na wielkim medialnym śmietniku. Bo autentyczność w ogóle wydaje się kategorią z tych delikatnych, paradoksalnych i kapryśnych. Z byciem autentyczną może być trochę jak z byciem elitą lub byciem damą – jeśli musisz mówić, że nią jesteś, to może niestety znaczyć, że nią nie jesteś.

Tak, wiemy o niej tyle, że to aż i tylko jakiś duch, gaz, płomień: coś kapryśnego, nieuchwytnego. Coś tak płochliwego, że za głośno nazwane, upublicznione, sfotografowane, nagrane, przegadane – znika.

Jak myśleć więc o autentyczności – efemerycznej i tak wrażliwej na światło – w świecie, który opętany jest fotografowaniem i relacjonowaniem, upowszechnianiem i komentowaniem, błyskawicznymi ocenami? Być może jest już w ogóle pleonazmem, jest niemożliwa?

Na zdjęciach: Dorota Masłowska na gali Festiwalu Conrada. Kraków, 27 października 2024 r.

Świat naszymi rękami obsesyjnie przechwytyje życie i przerabia je na zdjęcia i rolki, sprawiając, że to, co prawdziwe, żywe i szczere, momentalnie albo znika, albo mutuje w *fake*, przebranie, teatr, ustawkę. Ciągła zaś gotowość do potencjalnego zdjęcia stawia nasze ciała i duchy w stan specyficznej czujności, napięcia, bezustannej pozy, miny – utrwalonej już w naszych mięśniach roli.

Łapiemy w ręce ducha i dziwimy się, że to tylko puste prześcieradło.

Podwykonawstwo

Jednak być może, gdy tak gderam, wykształca się właśnie nowa autentyczność, zdjęcioodporna, rolkoodporna i lajkoodporna. Pewnie już tak. Na to musimy liczyć, ponieważ nie ma już pisania i osoby piszącej bez upublicznień, nagrań i zdjęć. Nie da się funkcjonować w literaturze bez persony i bez wizerunku, co więcej: bez ciągłych aktualizacji, bez stałej łączności z osobami czytelnickimi, którym regularnie a to trochę się odsłania, a to trochę zasłania dosłowność własnej egzystencji: biografii i prywatność.

Trzeba też zaznaczyć, że odmowa tej gry – odmowa stworzenia wizerunku i pracowania nim, czyli brak wizerunku – też jest wizerunkiem, i to silnym.

Ta gra to też nie zawsze cyniczny obrachunek – żaden zestaw life-hacków przeczytany w „Pisanie for rookies” – tylko coś, co dużo bardziej mnie przeraża. Podwykonawstwo jakiegś niewidzialnej choreografii rynku: odruchowe, nieświadome dostosowywanie się do jego wymogów, potrzeb i oczekiwań fanów, bardzo silnie stymulowane przez lajki i serduszka.

Nie doceniamy wszechmocy lajków i serduszek, nierealnie infantylnej, ale potężnej siły, która prawie niezauważalnie modeluje nasze piszące persony i ich poczynania. Niewiedzialnie wiedzie nas ona za ręce i sprawia, że tańczymy, jak wcale może nawet nie chcemy; jak wcale byśmy sami z siebie nie zatańczyli. Tańczymy nieświadomie: to niepokojący, mdły, uśredniony taniec, taniec w stronę przeciwną do autentyczności: w stronę bycia lubianymi i przyjemnymi, bez pazurów i zębów, sprzedawalnymi, podobającymi się, niebudzącymi kontrowersji i hejtu.

To przykre i można się boczyc, jednak nie sędzę, że chcąc wykonywać ten zawód, można tego tańca do końca odmówić. Można tylko odmowę pozorować, droczyć się, robić z niej kolejną taneczną figurę.

Zaślubiny z morzem

Problemem jest chyba to, że relacje literatury polskiej z rynkiem i pieniędzmi są kłopotliwe, niezgrabne i podszyte tajemniczym napięciem od zawsze. To jednak bardzo krótkie „zawsze”, zaledwie początek lat dwutysięcznych, gdy literatura polska przekształciła się w pełnowymiarowy rynek: tak się składa, że byłam jedną z głównych aktorek tego komercyjno-medialnego przewrotu, z którego wyroili się pisarze-celebryci i pisarki-celebrytki. Osobowości medialne. A więc osobowości nieautentyczne.

Przewrót ten był niesamowicie spóźniony, bowiem w literaturze anglosaskiej zjawisko wykształciło się już w XIX w., gdy popularyzacja fotografii i publikujących je czasopism przyniosła wysyp pisarzy-idoli, łączących autorytet literatury



ALICJA RZEPA / KBF

→ wysokiej z popularnością masową. Już w XIX w. posiadali oni wizerunki, fandomy, a nawet osobiste marki. I tu ciekawostka – może Państwo to wiedzą, ale dla mnie to była nowość – pierwszym pisarzem na świecie reklamującym whisky nie był wcale Szczepan Twardoch, ale Mark Twain. Robili to też Hemingway i Steinbeck.

Polska zaliczyła w tej kwestii okrutny poślizg. Ostateczne zaślubiny polskich pisarzy z morzem sławy i pieniędzy wydarzyły się, uwaga, zaledwie 20 lat temu. Po latach komunizmu, w których hierarchie literackie regulowały odgórnie ustalone nakłady;

**Z byciem autentyczną
może być jak z byciem
elitą lub byciem damą.**

Jeśli musisz mówić,
że nią jesteś,
to może niestety znaczyć,
że nią nie jesteś.

po latach 90., gdy nowy porządek mocował się jeszcze z tym starym, nadeszły nagle czasy rynku. Rynku książki, książki-produktu i celebrytyzacji osób pisarskich. Te zaś zostały z impetem i nieznaną wcześniej brutalnością wygnane z niewinności, naturalnej AUTENTYCZNOŚCI i rzucone na lądę rynku. Czyli zmuszone do samodzielnego budowania person, PR-ów i strategii promocyjnych. Bez podręczników i bez doradców.

Proces ten miał nie zrównoważoną dynamikę, podobną transformacji: cechowała go improwizacja, pośpiech, konieczność szybkiego adaptowania się. Można sobie wyobrazić, że przegrywali w nim pisarze, w których zdążyło się rozwinąć poczucie powiązanej z tym zawodem szczególnej doniosłości: ci nie byli gotowi na flirt z prasą kolorową, internetem (tu również rozwijające się już wtedy prężnie zjawisko hejtu), talk-showami i innymi niechlubnymi kanałami upowszechniania początku nowego milenium.

Wyższe sfery

Okazało się, że pisarstwo to nie tylko pisanie, papierosy, wódka, sweter i okulary. Nagle osoby pisarskie musiały wyglądać, sprawnie się wypowiadać, mieć stronę internetową i jakąś chwytliwą, archetypizującą ich biografię – najlepiej jednozdaniową – jak scenarzysta próbujący zainteresować producenta swoim nowym filmem. Już wtedy krytycy podnieśli larum. Pamiętam to larum bardzo wyraźnie. Pisarze i pisarki czyste/prawdziwe/autentyczne były przeciwstawiane w nim tym nowym/komercyjnym/sztucznie „WYLANSOWANYM”, klasyfikowanym jako jednosezonowe wydumuszki medialne, takie jak na przykład ja.

To larum, dziś tak idealistyczne i naiwne, zawierało wiele emocji ciągle aktywnych w percepcji literatury i osób literackich. Wydaje mi się, że składa się na nie romantyczne marzenie o sztuce czystej, duchowej, wynikającej z natchnienia, nawiedzenia. Ale też umocowane w katolicyzmie wyobrażenie o pisaniu nie jako o pracy, ale darze, rodzaju mediumiczności, która nie może być trywializowana spieniężeniem. W ich świetle osoba pisząca powinna pozostawać w stanie ekono-

micznej niewinności, albo choć ją ogrywać. Ponieważ pracuje w języku, a język jest darmowy i należy do nas wszystkich.

Ta przenoszona przez nas wszystkich do roku 2024 figura artysty głodnego-wiarygodnego jest już martwą skorupą i wylinką. Głód nie jest żadną gwarancją autentyczności. Bo to głodni artyści narażeni są na rozproszenie talentu przez brak wyboru, kompromisy i destrukcyjną gorycz.

W larum tym obecna też była nieufność wobec nowych komercyjnych hierarchii, pogarda do mitycznego LANSU. Jako debiutantka – przedstawiana w mediach jako nastolatka z blokowiska, która zawędrowała na szczyt – byłam notorycznie oskarżana o ten właśnie wymiar nieautentyczności: bycie sezonową sensacją siłowo wywindowaną na mityczne salony.

Ale co ciekawe – w ciągu tych dwudziestu lat kategoria autentyczności uległa kompletnemu przestrojeniu. I teraz słyszę: „kiedyś była z bloku, była prawdziwa. Dziś odklejka, obraca się w wyższych sferach”. To „obracanie się w wyższych sferach” to prawdziwy cytat z jednej z recenzji mojej książki. Nie wiem, kogo recenzent miał na myśli, być może Państwa, ale wydaje mi się, że użycie tej anachronicznej figury nie jest przypadkowe.

To właśnie w (mocno domniemanej) przynależności do wyższych sfer tkwi teraz główne źródło mojej nieautentyczności. I znów mamy tu wyobrażenie, w którym to niskie pochodzenie, niepowodzenie i brak pieniędzy gwarantują osobie piszącej nieregulamentowany dostęp do prawdy o życiu, możliwość przeniknięcia jego tajemnicy. Wyobrażenie bigoteryjne i nieprawdziwe.

Pole adresowe

W świetle tego, co mówię, widać wyraźnie, jak spiętrzoną i dziwnym konstruktem jest nowa autentyczność osoby pisarskiej. Autentyczność niemożliwa, bo wykluczana przez wizerunek, personę, wytwarzającą samoistnie maskę bardzo realistyczną i cienką, niemalże zrośniętą z twarzą, ale jednak wciąż maskę. Jednocześnie ciągle jest to kategoria kluczowa. Niemożliwa do wyegzekwowania, znajduje swoje surogaty czy rozwinięcia w biograficzności, prywatności, zdjęciach i emocjonalnej komunikacji z czytelnikami. To one pracują teraz zastępczo jako autentyczność: to choreografia odsłonięć dosłowności naszego życia daje odbiorcom poczucie bliskości, bycia w relacji, identyfikacji z kimś prawdziwym; jakąś emocjonalną prenumeratę, którą u nas wykupują.

Dominik Antonik w ciekawej pracy „Sława literacka albo nowe reguły sztuki” pisze o listach „pisanych do Marka Twaina przez oddaną publiczność, które wysyłane z pustym



16. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL LITERATURY IM. JOSEPHA CONRADA, organizowany z partnerami przez Fundację Tygodnika Powszechnego, to ponad siedemdziesiąt wydarzeń, w czasie których rozmawialiśmy z przeszło stu pięćdziesięcioma gośćmi. Ideą przewodnią zakończonej właśnie edycji była „Autentyczność”.

OLGA DREND, DYREKTOR KREATYWNA FESTIWALU, zauważyła: „To ironia losu, że termin »autentyczność« nabrał w ostatnich miesiącach rozpędu w branży marketingowej. Firmy zajmujące się analizowaniem trendów w reklamie i komunikacji internetowej uznały tę kategorię za hasło na rok 2024. Autentyczność można próbować fabrykować, najczęściej bez skutku; jest ona rzadkim dobrem, ale też najwyższym pożądanym. Być może nie potrafimy jej precyzyjnie zdefiniować, ale zdarza się, że da się ją uchwycić w locie”.

Na zakończenie Festiwalu, podczas gali wręczenia Nagrody Conrada, **DOROTA MASŁOWSKA** wygłosiła **WYKŁAD MISTRZOWSKI**, poświęcony autentyczności właśnie.

Przedrukujemy go tutaj. Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji.

polem adresowym lub kierowane pod abstrakcyjny adres: gdzieś w świecie, gdziekolwiek, Mark Twain, gdzieś w USA, dochodziły do adresata, potwierdzając skalę jego sławy”.

Dziś adres nie jest abstrakcyjny – to messenger; wiadomość wysłana na niego dociera sekundę później na mój telefon, do mojego prywatnego życia. Może być w niej pochwała, lecz równie często przygana: „tu i tu nie ma przecinka, link nie działa, tak się nie mówi – to jest błąd”. Lub też pytanie: „co oznacza to a to zdanie?”, „co pani miała na myśli?”. I notorycznie: „mam pomysł na książkę i tylko pani by mogła ją napisać”.

W tej czytelniczej bezpośredniości i proaktywności jest też zaskakujące mnie zaangażowanie: poczucie sprawczości i, mam wrażenie, jakiegoś współuczestniczenia, współtworzenia tej literatury: pragnienie doświadczenia całkowitej immersji. No i jeszcze szalę zdjęć. W nieskończonych próbach o zdjęcia, o selfie, jest jakaś ekscytacja fizycznym istnieniem osoby pisarskiej, jej ciałem.

Ciało osoby pisarskiej to ciało, które eksponowane jest w mediach nie tylko jako swoiste logo literatury. To także obietnica, że kod książki da się samodzielnie rozwikłać, przejrzeć, udosłownić, sprowadzić do zaklętych w ciele biograficz-

nych faktów. To obietnica, że w tych liniach papilarnych, mapach pieprzyków i blizn, skrętach DNA kondensuje się gdzieś jakaś „prawda” przeczytanych przez nas książek, że da się je do niego uprościć. To ta obietnica ryzykownie iskrzy na cienkich zbiegach literatury, biografii i wizerunku, widzialności, zdjęć i fizycznej obecności, które dziś razem – w ciągle negocjowanych proporcjach – zostają wystawione na sprzedaż jako „osoba autorska”.

Jednak ostatecznie ta akurat intuicja czytelniczek i czytelników wydaje mi się trafna.

Bez skóry

⇒ Jeszcze całkiem niedawno pisarz kojarzył się z kimś w płaszczu z oderwanymi guzikami, kimś, kogo ciało służy tylko do noszenia płonącego pisarskiego łba z miejsca na miejsce. Nierozłączne atrybuty pisarstwa: papierosy, whisky, narkotyki lub choćby niewinna kawa – to rekwizyty autodestrukcji, pistolety wymierzone ostentacyjnie we własne ciało i jego odruchy: znużenie, senność. I ja swoje ciało wiele lat tak bojkotowałam, jak jakiś niezgrabny sprzęt, dziwną narośl na mnie, ciało obce. Jednak w toku lat coraz bardziej czuję, że to ono w dużej mierze pisze. Że pisanie to praca może nie fizyczna, ale cielesna.

Nierzadko, by móc pisać – chodzić. To specyficzne chodzenie, powiem pretensjonalnie: wcześniej odbieram się jakby ze skóry. W sposób specjalny nastroszywszy nerwy robię nieskończone ilości kroków. Zaglądam w twarze, przypatruję się oknom i stojącym w nich ludziom. To nie jest podglądanie ich, to raczej się w nich odbijanie. To nieświadome, że mi towarzyszy, towarzystwo mnie ośmiela. Ja we wszystkich i wszyscy we mnie. Przy tych obcych ludziach, pasażerach autobusów, kierowcach, przechodniach, uprawiam się w bolesny, napięty stan podobny do niespokojnego snu.

Z załomów mózgu wysypują się twarze, gesty, słowa. Nagrane na jakichś biochemiczne taśmy zdarzenia. Moje awantury, moje miłości, moje stosunki, moje żałosne starania, drobieńka, zrudne mandale dni. Wybuchy i wyrzuty. Drażnię się i mącę w sobie, uprawiam się w dygot, przyciskam się do ścian.

Wszystko polega na wchodzeniu w kontakt z sobą, również ze swoim bólem, wstydem i ze swoim brudem, okropieństwem. To rozumem pod obdarciem ze skóry: zdjęcie warstw ochronnych, pozwolenie życiu się przenikać z całą jego namietnością i ohydą. Nie ma we mnie nic bardziej autentycznego niż te chwile okropnego bolesnego zbliżenia do siebie. To jest dla mnie autentyczność, której żadne zdjęcie nie uchwyci i nie może mi zabrać.

© DOROTA MASŁOWSKA

Człowiek wulkan

TOMASZ PINDEL

Vargas Llosa przed Noblem i po Noblu w 2010 r. to literacka marka pierwszej kategorii. Ostatni żyjący dinozaur literatury latynoskiej bez trudu nawiązuje dziś kontakt z czytelnikami na całym świecie.

MYŚLĘ, ŻE POWIEŚĆ JEST JUŻ SKOŃCZONA. Teraz chciałbym napisać esej o Sartrze, moim mistrzu z czasów młodości. To będzie ostatnia rzecz, jaką napiszę” – tak brzmią ostatnie zdania najnowszej książki Maria Vargasa Llosy. Koniec pewnej epoki? Tak naprawdę, to kilku.

„To dla Pani ta cisza” ukazała się oryginalnie rok temu, ponieważ z definicji stając się dużym wydarzeniem literackim, jak każda nowa powieść peruwiańskiego noblisty. Bo choć przynajmniej część czytelników i, spora, krytyki zgadza się, że największe dzieła osiemdziesięcioosmioletni Vargas Llosa ma już dawno za sobą, to jednak jego nowe powieści – a czasem także tomy eseistyczne – nadal budzą zainteresowanie i są masowo czytane, bynajmniej nie tylko ze względu na wydawniczy marketing.

Trójca i inne

Vargas Llosa jest literackim fenomenem i to z paru powodów. W literackim obiegu – i to w najwyższych jego rewirach – utrzymuje się od, bagatela, sześciu i pół dekady, publikując regularnie i obficie: najdłuższą, bo pięcioletnią przerwę zaliczył na przełomie lat 80. i 90., kiedy to zaangażowanie w politykę i kampania prezydencka pochłonęły go niemal kompletnie.

Oczywiście płodnych i żywotnych twórców znaleźć można więcej, rzecz w tym, że Peruwiańczyk od razu wskoczył do pierwszej ligi, stając się jednym

z najjaśniejszych nazwisk latynoskiego boomu: debiutancki tomik opowiadań z 1959 r. przeszedł bez większego echa, ale lata 60. to istny *tour de force* pisarza: „Miasto i psy”, „Zielony dom” i „Rozmowa w Katedrze”, trzy wybitne powieści w trzyletnich odstępach – gdyby Vargas Llosa niczego więcej nie napisał, i tak wciąż byśmy go czytali i pamiętali. Te trzy tytuły ugruntowały jego pozycję jako tytana pracy (są to powieści potężne) i mistrza formy, który konstruuje swoje teksty z inżynierską precyzją: „Zielony dom” układający się jak wielkie puzzle czy „Rozmowa...” o splątanych planach czasowych, a przecież tak doskonale czytelna – to są powieści do dziś rzucające na kolana.

Po tej trójcy mistrz nieco się zmęczył, a także otworzył na nowe rejestry: w latach 70. w jego powieściach pojawia się humor. „Pantaleon i wizytantki” to kawał bardzo dowcipnej satyry i zabawa z kulturą popularną. „Ciotka Julia i skryba” czerpie garściami ze słuchowisk, radiowych przodków telenoweli; sama zresztą została jako telenowela zekranizowana. Wreszcie gra z gatunkami:





Mario Vargas Llosa we Francji,
17 października 2014 r.

ANNE-CHRISTINE POUJOLAT / AFP / EAST NEWS

„Kto zabił Palomina Molero” to wszak kryminał, zaś w „Pochwale macochy” pisarz porwał się na powieść erotyczną, z bardzo ciekawymi – na tle silnie skonwencjonalizowanego gatunku – efektami.

W latach 80. Vargas Llosa eksperymentuje już rzadziej i ostrożniej, choć wciąż zdarzają się pod tym względem błyskotliwe teksty, jak choćby „Historia Alejandra Mayty”, w której ostatni rozdział kompletnie odmienia sens wszystkiego, co dotąd przeczytaliśmy. W latach 90., kiedy do głosu dochodzi nowe pokolenie pisarek i pisarzy z Ameryki Łacińskiej, ludzi, którzy przyszli na świat, gdy boom trwał w najlepsze, Vargas Llosa tworzy dalej i zdarzają mu się wciąż powieści wybitne – jak „Lituma w Andach” – czy bardzo dobre – jak „Święto kozła” (z 2000 r.).

Ryba w wodzie

W XXI wieku pisze dalej: to już nie są powieści, które imponowałyby formą czy rozmachem, sprawiają wrażenie pisanych szybciej, autor stosuje tu sprawdzone techniki narracji, to teksty mniej, by tak rzec, kaloryczne, ale wciąż się podobają i literacki Nobel z 2010 r. wcale

nie okazał się jakąś specjalną katapultą – Vargas Llosa i przed Noblem i po Noblu to była i jest literacka marka pierwszej kategorii. Dziś, gdy kolejna generacja wchodzi do literatury, ów ostatni żyjący dzinżur rozkwitu literatury latynoskiej tworzy i bez trudu nawiązuje kontakt z czytelnikami na całym świecie.

Będąc pisarzem niezwykle pracowitym – w poprzednim akapicie skupiam się na jego powieściach, ale przecież ma on na koncie pokazną biblioteczkę tomów eseistycznych, ogromny korpus tekstów dziennikarskich i jeszcze kilka niezłych sztuk teatralnych – Vargas Llosa przez te wszystkie dekady dał się poznać jako osoba niezwykle aktywna publicznie.

Od lat 60. angażował się politycznie – najpierw na rzecz rewolucji kubańskiej, później jako krytyk coraz bardziej zamordystycznego reżimu Castro. W latach 80. wciągnął się w politykę krajową – Peru wychodziło właśnie w dość opłakanym stanie z kilkunastoletniej dyktatury wojskowej – co ostatecznie doprowadziło go do ubiegania się o urząd prezydenta w 1990 r. Przegrał, z korzyścią dla literatury, ale chyba nie dla Peru; bo choć nie

wiadomo, jakim by był prezydentem, to wiadomo, jak fatalne były rządy jego zwycięskiego rywala, Alberta Fujimori.

Od tamtej kampanii niestrudzenie – pytanie, czy zawsze potrzebnie – angażuje się w polityczne spory, nie ma wyborów w Peru, w których pisarz nie wsparłby któregoś z kandydatów. W bieżącym stuleciu zaś awansował do roli klasycznego celebryty, kolorowe pisma kiedyś, a dziś portale, rozpisują się o jego kuracjach zdrowotnych w Marbelli czy – jeszcze chętniej – o romansie z Isabel Preysler, w który to pisarz wdał się w wieku, kiedy romanse raczej się nie zdarzają.

Vargas Llosa jak ryba w wodzie – by nawiązać do tytułu jego wspomnień – czuje się w atmosferze skandalu i konfrontacji: uwielbiał wdawać się w polemiki, pisać ostre teksty, skandale obyczajowe też go jakoś specjalnie nie peszyły. Człowiek wulkan, chciałoby się rzec.

Pochwała peruwiańskości

Najnowsza powieść noblisty, „To dla Pani ta cisza”, właśnie ukazuje się po polsku. Na pierwszy rzut oka jawi się jako dość skromnie zakrojona, acz jeśli przyjrzeć się jej nieco uważniej, kryje w sobie kilka niespodzianek.

Jej bohaterem jest Toño Azpilcueta, człowiek prosty i prowadzący aż nazbyt spokojną egzystencję. Mąż, ojciec, utrzymuje się z pensji nauczycielskiej, ma jednak jedną wielką pasję: peruwiańską muzykę kreolską. Chodzi na koncerty, rozmawia z wykonawcami i od czasu do czasu publikuje jakieś recenzje czy artykułiki w efemerycznych pismach branżowych.

Pewnego dnia trafia na koncert nikomu nieznanego gitarzysty Lala Molfino – i zdaje sobie sprawę, że obcuje z wyjątkowym talentem muzycznym. A kiedy niewiele później dociera do niego wieść o śmierci chłopaka, Toño podejmuje decyzję: napisze o nim książkę; o nim i w ogóle o peruwiańskiej muzyce. Rozpoczyna więc śledztwo, by dowiedzieć się czegoś o genialnym wirtuozie, a potem przystępuje do pracy nad dziełem, które roztacza się do rozmiarów wielkiego traktatu o peruwiańskości.



→ Azpilcueta pisze o Molfino, ale także o innych wykonawcach (o ile sam Molfino jest postacią fikcyjną, to wokalistki i kompozytorzy przewijający się przez karty powieści są jak najbardziej autentyczni), o historii muzyki ludowej w Peru i o historii Peru jako takiej... Wydawnicze perypetie bohatera mają słodko-gorzki posmak, są chwile chwały, są i upadki, sporo też dzieje się w osobistym życiu Toño. Rozdziały opowiadające o przypadkach Azpilcuety przeplatają się z rozdziałami zawierającymi fragmenty jego dzieła.

O ile z początku możemy mieć wrażenie, że jest to ot, taka lekka historia o samozwańczym intelektualistcie, takim trochę sympatycznym prostaczku, to w miarę lektury zdajemy sobie sprawę, że chodzi tu o kwestię naprawdę poważną. Azpilcueta pisze tę swoją książkę w nadziei, że uda mu się wskazać źródło jedności narodowej Peruwiańczyków, namierzyć to, co łączy mieszkańców tego kraju – a moment dziejowy jest szczególnie, są to bowiem lata 80., kiedy kraj pogrążył się *de facto* w wojnie domowej między terrorystyczną organizacją Świetlisty Szlak a państwem, które odpowiadało na zagrożenie równie terrorystycznymi praktykami: słowem, to lata, w których Peruwiańczycy zabijali się tysiącami.

Czyż nadzieja, że jakaś książka zmieni ten stan rzeczy, nie jest naiwna? Pewnie że tak, ale zarazem wzruszająca i poruszająca. Azpilcueta szuka narodowego wspólnego mianownika w kulturze, a konkretnie w muzyce, która dociera do wszystkich, i jest to pomysł bez dwóch zdań ciekawy – to trochę tak, jakbyśmy szukali polskości w znanych nam melodiach, ale nie u Chopina czy Moniuszki, tylko w muzyce biesiadnej (z góry przepraszam kreolskich muzyków z Peru za to porównanie). To jest bardzo interesujący koncept.

Pytanie, które nie daje mi spokoju, brzmi: czy Azpilcueta powinniśmy postrzegać jako *alter ego* pisarza? Czy wywody bohatera na temat peruwiańskiej tożsamości należy przypisywać samemu autorowi? Jeśli tak – byłoby to bardzo zaskakujące na tle dotychczasowej postawy Vargas Llosy.

Prowokator

W kraju takim jak Peru społeczne konflikty bardzo często – jak łatwo się domyśleć – przebiegają po linii rasowej.

Wypowiedzi Llosy dotyczące ludności i kultury andyjskiej były przyjmowane bardzo negatywnie w Peru.

Tym bardziej zaskakujący jest zwrot, którego dokonał w ostatniej powieści.

Vargas Llosa jest członkiem białej elity, w jego rysach trudno dopatrzeć się jakichś metyskich przodków, jest wykształcony, zamożny, ustosunkowany, mówi czystą hiszpańszczyzną – i tak dalej – i wszystkim tym różni się od metyskiej i rdzennej większości.

W kraju i w całym regionie postrzegany jest jako prawicowiec – od kiedy jako jeden z pierwszych odwrócił się od castrowskiej rewolucji – sam uważa się za liberała; w tradycyjnym podziale na „hispanistów” (kładących nacisk na dziedzictwo hiszpańskie) i indygenistów (zwolenników tezy, że dla tożsamości Peru ważniejsze jest to, co rdzenne, oraz dziedzictwo Państwa Inków) zalicza się wyraźnie do tych pierwszych.

Jego wypowiedzi dotyczące ludności czy kultury andyjskiej przyjmowane były i są bardzo negatywnie przez sporą część społeczeństwa. Emblematycznym przypadkiem była komisja śledcza, na czele której, na początku lat 80., stanął właśnie Vargas Llosa (i komisja ta znana jest pod jego nazwiskiem). Miała na celu wyjaśnienie sprawy śmierci grupy dziennikarzy w odległej andyjskiej miejscowości. Fakty ustalono poprawnie (była to tragiczna pomyłka: rdzenni mieszkańcy wzięli obcych za terrorystów i ich zabili), ale dobudowana do niej interpretacja kulturowa już wtedy – a tym bardziej dziś – jawiła się jako rasistowska: postępowanie Indian Keczua jest tu tłumaczone ich prymitywizmem, odcięciem od świata zewnętrznego i wrodzoną brutalnością ich kultury.

Wydana dekadę później powieść „Lituma w Andach” Llosy dołała oliwy do ognia, bo i tu andyjska kultura pokazana jest jako brutalna, zaś w ogłoszonym krótko po niej esej „Archaiczna utopia”, którego bohaterem był ikoniczny dla indygenistów pisarz José María Arguedas i inne kluczowe postaci tego ruchu,

Vargas Llosa naprawdę nie brał jeńców: stawia tu m.in. tezę, że nie ma już prawdziwej kultury andyjskiej, tylko „cultura chicha”, coś w rodzaju mieszanki andyjsko-miejskiej, opisywanej przez pisarza bez specjalnego nabożeństwa.

I oto ten sam Vargas Llosa ogłasza powieść, w której kreolska muzyka, wywodząca się z niższych warstw społecznych, mieszanka, z wpływami europejskimi, ale też – bardzo ważnymi – afrykańskimi, rozbrzmiewająca gdzieś w zaułkach Limy i na ludowych festynach – że to jest właśnie kwintesencja peruwiańskości. To wcale nie musi być paradoks czy zmiana stanowiska, oba punkty widzenia da się pogodzić, niemniej „ludowy zwrot” u Vargas Llosa to coś dalece nieoczywistego.

Pochwała umiaru

Drugą rzeczą, która bardzo rzuca się w oczy w ostatniej powieści Llosy, jest zawarta w niej apoteoza skromności. Toño Azpilcueta przeżywa wielkie uniesienia – artystyczne, intelektualne, patriotyczne, ale także związane ze sławą i sukcesem, oraz, rzecz bardzo ważna, osobiste i miłosne (piszę oględnie, żeby nie psuć czytelniczej przyjemności). Ale ostatecznie rozszalałe wody jego życia uspokajają się, wielkie emocje ustępują, wszystko wraca do normy: splendory przemijają, marzenie o wielkim romanse okazuje się niepotrzebne, zamiast wielkich wzruszeń – spokojna rutyna codzienności, dobre śniadanie w miłym towarzystwie i jednak... jednak nowe pomysły na książkę.

Powieść dedykowana jest Patricii Vargas Llosie, z którą parę lat temu pisarz rozstawał się w atmosferze medialnego spektaklu, podążając za nową miłością, światową celebrytką. Trudno nie dopatrywać się w powieści osobistego wymiaru: Mario wraca do Peru, wraca do Patricii i godzi się na spokojną starość. Wygląda na to, że niemal dziewięćdziesięcioletni pisarz ostatecznie zamierza się usatkwować i odłożyć pióro. Wiadomo, już czas, ale – jakoś smutno. © TOMASZ PINDEL



■ Mario Vargas Llosa,
TO DLA PANI TA CISZA.
Tłum. Tomasz Pindel.
Znak,
Kraków 2024



JEREMI ASTASZOW / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU ZAGŁĘBIE

Scena ze spektaklu „Persona. Ciało Bożeny”, reżyseria Jędrzej Piaskowski.

Zwrot lokalny

DARIUSZ KOSIŃSKI

Jest sposób na poznanie polskiego życia większościowego, naszej rozproszonej narodowej codzienności, która nieuchronnie umyka przed socjologami. W Sosnowcu teatr służy do czegoś innego niż w Warszawie czy Krakowie.

TO WIADOMO NIE OD DZIŚ: ZNACZĄCA część polskiego życia nie toczy się na scenach wielkich miast, lecz w miastach małych i średnich. Nie od dziś też wszyscy politycy wiedzą: wyborów nie wygrywa się w Warszawie, Krakowie czy Gdańsku, lecz we Wrześni, Wieluniu, Tomaszowie Lubelskim i setkach podobnych. Przypominają sobie o tym, gdy nadchodzi kolejna kampania, prześiadają się z limuzyn w autobusy i ruszają w drogę. Ludność trochę posłucha, postoi w tle, ale zaraz idzie na lody albo do kościoła, albo na rower, bo jest niedziela i trzeba trochę pożyć, a politycy – to też wiadomo od dawna – z życiem żytym tu właśnie, we Wrześni czy Wieluniu, wspólnego wiele nie mają. I całe szczę-

ście, bo dzięki temu życie się rozwija, Polska ma się całkiem nieźle, wojna jest na górze, na dole jest tylko oglądana, jak na to zasługuje.

Sam będąc z jednego „z tych pięknych miast” („co dzień piwo, co pół roku cyrk”) i w mieście takim od ponad trzydziestu lat mieszkając, nie mam wątpliwości: nie da się zrozumieć Polski bez ich zrozumienia. A to bardzo trudne, bo miasta nieświełe nie wystawiają się i nie świecą atrakcjami. Ich życie nie biegnie w rytmie niesamowitych zdarzeń i niewiele w nim chwil godnych klikbajtowych nagłówków. Choć się nie ukrywa – jest utajone. Ale nie po schulzowsku czy tweanpeakowo – skuteczniej: roztopione w codziennej rutynie, rozproszone

w szarości niczym na pozór nieróżniących się dni, radykalnie niedramatyczne. Trwa i tętni.

Sosnowiec Główny

Usłyszałem kiedyś od studentów, że jedna z koleżanek polonistek używa oryginalnej kategorii odróżniania miast prowincjonalnych i nie: mają teatr, czy nie mają. Zapożyczyłem ten koncept dla dowodzenia, że instytucje teatralne, choć nie cieszą się popularnością, są jednak utrzymywane ze względu na prestiż: mieć teatr to odróżniać się od miast, które teatru nie mają. Mieć teatr – to znak aspiracji i dowód na kulturową siłę: „Może nic specjalnego się tu u nas nie dzieje, ale teatr mamy”.

Na przełomie tysiącleci, dzięki takim teatrom jak te w Legnicy i Wałbrzychu, doszło do zasadniczych zmian relacji „scena miejscowa – miejscowe życie”. Sceny teatrów dalece pozastatecznych przestały odgrywać sprawy wielkiego świata, stały się narzędziami do rozumienia świata bliskiego. Ten zwrot lokalny to jedno z ciekawszych zjawisk w polskim życiu teatralnym ostatnich dekad. Odgrywa ważną rolę w poznawaniu polskiego życia większościowego, tej rozproszonej narodowej codzienności, która nieuchronnie umyka przed socjologami. ➔

→ Niechętnie i tylko częściowo pojawia się w statystykach, a na scenę polityczną nawet nosa nie wyściubia.

Teatrowi też nie jest łatwo ją uchwycić i pokazać, właśnie dlatego, że taka nie-dramatyczna i niespektakularna. Poza-metropolitalne teatry, świadomie i konsekwentnie „słabe”, są najbliższe życia płynącego z dala od wirów atrakcji i scenicznego wzmoczenia. Czyż nie tworzą przyjaznego środowiska, na którym owo życie może pozwolić się obserwować, a nawet zrozumieć?

Sprawdzenie tych hipotez stało się ostatnio możliwe na przykładzie działań podejmowanych przez Iwonę Woźniak i Jacka Jabrzyka, kierujących od 2018 r. Teatrem Zagłębia w Sosnowcu. Od początku swojej dyrekcji zapraszali oni do współpracy reżyserki i reżyserów o oryginalnym a niestandardowym stylu, poszukując zarazem takich perspektyw, które pozwoliłyby na połączenie tematów ekscytujących artystyczne i akademickie centra ze światem lokalnym. Czyli: czym i jak żyje Sosnowiec.

Tu w moim wywodzie musi dojść do wiszącego nad nim od początku uścisleń: nie można wymazać specyfiki każdego z tych małych i średnich miast, które przecież nie istnieją w czasoprzestrzennej pustce, ale powstały w konkretnym miejscu, mają swoje własne historie, a i ich teraźniejszości wcale nie wyglądają identycznie, nawet jeśli mają miejsca wspólne.

Zupełnie innym miastem jest Legnica, innym Słupsk, a innym – Sosnowiec (żeby już ograniczyć się tylko do tych, które mają stałe teatry). Ten ostatni – daleki krewny ziemi obiecanej, późne dziecko rewolucji przemysłowej i kolei warszawsko-wiedeńskiej sąsiadujące z silnym tożsamościowo Górnym Śląskiem – znajduje się w sytuacji wyjątkowo trudnej, a zarazem właśnie jako typowej: doskwierającego braku tożsamości. Nawet jeśli kiedyś coś takiego się tworzyło na doświadczeniu mieszkańców przemysłowego centrum, na walce pionierów kapitalizmu z rosnącą

solidarnością klasy robotniczej i na wielokulturowości, to ta prowincjonalna wersja Reymontowskiej epopei została gwałtownie przerwana przez kataklizm wojny, Zagłady i przesiedleń.

Na miejsce jej zapomnianych bohaterów przybyli ludzie, którzy sami się wyrwali z korzeniami i weszli w proces wielopokoleniowej migracji (oni do miast, ich wnuki na Zachód). Dopiero od niedawna ci, którzy z jakichś sobie znanych powodów zostali, pytają, kim są i co to właściwie znaczy – mieszkać w Sosnowcu.

Bierzcie i jedzcie

By zmierzyć się z tym pytaniem, trzeba być blisko i zarazem zachować dystans, bo życie utajone w rozproszeniu codzienności niemal nie pokazuje się tym, którzy są w nim zanurzeni. Potrzebny jest ktoś, kto w tym, co dla tubylców normalne i oczywiste, dostrzeże osobliwość, egzotykę. Jak etnolog. Albo jak artysta teatralny o szczególnej wrażliwości i zainteresowaniach.

Takich właśnie ostatnio zapraszają do Sosnowca Woźniak i Jabrzyk. W poprzednim sezonie duet Jędrzej Piaskowski i Hubert Sulima uczynił z sytuacji przybycia do Teatru Zagłębia artysty z dalekiego świata punkt wyjścia i ramę przedstawienia „Persona. Ciało Bożeny”. Kontrapunktem dla fabuły uczyniono historię tytułowej Bożeny (świetna Mirosława Żak) – pani sprzątającej w teatrze i jej (nie)zwykłego sosnowieckiego życia, składającego się z uporczywej i zasadniczo beznadziejnej walki o przetrwanie i choćby chwilę oddechu, bo o szczęściu można tylko pomarzyć. Główny temat to wybaczenie (stąd najgłośniejsze sceny nie dotyczą lokalności, tylko tak Wielkich Historii, jak konflikt Kaczyński–Tusk czy odpowiedzialność Hitlera za Zagładę), ale to Sosnowiec nadaje całości spójność, choć schodzi na drugi plan wobec efektownych partii solowych. Niemniej jednak Sulimie i Piaskowskiemu udało się przywabić na scenę utajone życie miasta.

Nieufne stworzenie wychynęło ze swojej norki i przez chwilę wydawało się czuć w teatrze jak u siebie. Zaczęło się krzątać, a nawet opowiadać o sobie rzeczy, które ze sceny słyszy się rzadko: że jest coś świetlistego w polowaniu na promocje w Biedrze, a tragedie niezrozumienia z najbliż-

szymi mają swoją wzniosłość, nawet jeśli nie kończą się dzieciobójstwem, a tylko słuchaniem niemiłych słów na wywiadówce. I choć popisowe sceny należą w tym przedstawieniu do Krystiana, Jarosława, Donalda i Adolfa, to nie jest przypadkiem, że to Bożena jest jego bohaterką tytułową, a jej historia, choć może nieefektowna, stanowi tego przedstawienia szczególną wartość.

Dziewczyny w Sosnowcu

Po udanym eksperymencie z „Ciałem Bożeny” dyrekcja Teatru Zagłębia wykonała krok następny, bardzo śmiały, ale konsekwentny. Już sam tytuł ostatniej premiery, która odbyła się 25 października, o śmiałości tej świadczy. „Historia Sosnowca” zapowiada wszak próbę zmierzenia się wprost i bez uników z historycznym procesem wytwarzania miejsca, a może i z pytaniem o miejsca tego tożsamość. Weronika Murek (dramaturgia) i Katarzyna Szyngiera (reżyseria) to przecież artystki specjalizujące się w przedstawieniach zanurzonych w historiach prawdziwych. Tutaj skupiają się na *herstories* – przemilczanych biografiach kobiet, które w klasycznej historiografii opowiadającej dzieje królów, bitych, traktatów i wielkich odkryć występują rzadko i zazwyczaj pod warunkiem, że zajmą szturmem (lub przypadkiem)



JEREMI ASTASZOW / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU ZAGŁĘBIE



Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika”
w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.
Słuchaj na żywo lub w podkastach na Radio357.pl

miejsca zasadniczo zarezerwowane dla mężczyzn.

Jest też w spektaklu echo jeszcze dawniejszego przełomu – odejścia od relacjonowania łańcucha „wielkich wydarzeń” na rzecz mikrohistorii – opowiadania o codzienności i wypadkach niemal anegdotycznych. W pierwszych scenach o początkach współczesnego Sosnowca związanych z przemysłowymi przedsięwzięciami niemieckich fabrykantów opowiada ich anonimowa służąca (znakomita Natalia Bielecka). To z perspektywy jej poniżenia oglądamy (na początku dosłownie, bo widać tylko stopy w błyszczących półbutach) pionierskie czyny założycieli. Ona też jest główną bohaterką pierwszej części przedstawienia, stając się zrewoltowaną robotnicą walczącą o prawa pracownicze i przypominając, dlaczego o Zagłębiu mówiono kiedyś „czerwone”.

Niestety jej prowadzicielstwo wkrótce po scenie osadzonej w roku 1905 schodzi na dalszy plan, a na czoło wysuwają się kolejne wybitne kobiety z Sosnowca pochodzące. Znamienne, że dochodzi do tego w scenie opowiadającej o szkole pani Siwikowej (naprawdę niezwykle w tej i innych kobiecych rolach Piotr Zawadzki). To znamy dobrze my wszyscy z takich miast: po maturze wyjeżdża się i w większości nie wraca, a te osoby,

które osiągnęły sukces „w świecie”, są zapraszane na zjazdy maturalne i robią tam za *special guest stars*. To znają też dobrze wszyscy przyjeżdżający do Sosnowca, których po wyjściu z podziemnej resztki dworca kolejowego wita pomnik pochodzący stąd Jana Kiepurę. Wita? Raczej żegna. „Chłopak z Sosnowca” jest wszak słynny dlatego, że stąd wyjechał...

Tymczasem zmierzyć się z życiem miast małych i średnich to zmierzyć się z życiem tych osób, które tu zostały – bo musiały, bo chciały, a przede wszystkim z najważniejszego i najczęstszego powodu – bo tak wyszło. Więc mam żal do Murek i Szyngiery, że na tak długo porzuciły dziewczyny w Sosnowcu żyjące życiem zwykłym i nieheroicznym. Mam żal, choć i wdzięczny jestem za opowieści o kobietach tak niezwykłych, jak Bela Hertz vel Izabela Czajka-Stachowicz. Ale mam, bo chciałbym, by na scenie więcej było tych, które nie mają książkowych biografii, tablic, a nawet haseł w Wikipedii. Rozumiem też, że trudno nie opowiadać o takich bohaterkach jak Frumka Płotnicka (wciskająca w fotel znakomicie przewrotna sekwencja o niespełnionym ocaleniu żydowskiej bojowniczką), ale same twórcynie deklarują przecież, że szukać będą poza Wielkimi Wydarzeniami, więc mam żal, że tak wiele dekad zwykłego życia i z ich przedstawienia zniknęło.

Wanda górą!

Twórczynie chyba same czują tę nierównowagę i może właśnie dlatego ostatnie, szczególnie atrakcyjne sekwencje przedstawienia poświęciły dziewczynom w Sosnowcu. Pan za mną wreszcie poczuł się usatysfakcjonowany, bo przedfinałowo kulminacyjna część poświęcona sukcesowi i upadkowi Zakładów Dziewiarskich „Wanda” to historia wyśpiewana i wytańczona w stylu prawdziwie musicalowym.

Oparta na wspomnieniach kierownictwa i pracownic „Wandy” sekwencja wychwalająca PRL, w której na scenie jest celebrowany (chyba autentyczny?) sztandar zakładowej PZPR, a ostatnie wersy brzmią „byłoby dobrze, gdyby nie Solidarność”, została świadomie zainscenizowana. Zdystansowanie się wobec nowomieszczańskiego samozadowolenia z przejętego bez uprawnień „pozytywnego mitu” bardzo mi odpowiada. I nawet jeśli żałuję, że „Wandzie” i jej kobietom nie poświęcono więcej uwagi, to przecież cieszy mnie to, co w Sosnowcu się gra. Także to, że gra się w piłkę nożną i że spektakl kończy opowieść o początkach kobiecego klubu założonego przez Irenę Półtorak (czy przypadkiem podkreśla się, że drugą historyczną bramkę strzeliła dla niego piłkarka o imieniu Wanda?) oraz film, w którym zawodniczki mówią o swojej pasji i marzeniach, by grając nie gdzieś tam, ale właśnie w Czarnych Sosnowiec, były równie cenione i dobrze opłacane jak mężczyźni.

„Historia Sosnowca” to zaledwie prolog i zapowiedź, pewnie dalekie od doskonałości, nierówne, może i za szybko, zbyt gorączkowo opowiadane. Ale ma to przedstawienie ogromną wagę i kłaniam się czapką do ziemi wszystkim osobom, które doprowadziły do jego powstania. Oto spektakl, który zasługuje na to, by go zabrać w wielki objazd realizowany jako projekt artystyczno-społeczny, na który składałyby się pokazy i specjalne po nich dyskusje. Żeby osoby, które żyją w miastach bez stałego teatru, mogły przyrzec sobie, o sobie porozmawiać i swoje życie docenić. W końcu to dzięki nim, codziennej ich zapobiegliwości i praktycznej mądrości jeszcze Polska nie zginęła.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

„Historia Sosnowca”,
reżyseria Katarzyna Szyngiera.



Dzika energia

ANITA PIOTROWSKA

Kiedy w stoczni starsze chłopaki robią Historię, bohaterka „Imago” walczy o wolność i transformację osobistą.

MAŁO KTO DZIŚ PAMIĘTA O ZBUNTOWANYCH dziewczynach z tamtych lat, a przecież polska scena alternatywna lat osiemdziesiątych nie była tylko chłopackim podwórkiem. Takie podwórko zobaczyliśmy niedawno w średnio udanym filmie fabularnym „Idź pod prąd” Wiesława Palucha, o początkach ustrzyckiego zespołu punkowego KSU. Tymczasem Olga Chajdas nakręciła rzecz pod tym względem wyjątkową, która dopiero teraz, pomimo ważnych nagród podczas ubiegłorocznej Gdyni, wchodzi na kinowe ekrany.

„Imago” ożywia scenę muzyczną Trójmiasta z czasów schyłkowego PRL-u, w samym zaś jej centrum znajduje się dziewczyna, w której natychmiast rozpoznaję się ówczesne buntowniczkę zasłuchaną w Aptece czy Bieliźnie. Dostajemy jednak film nie o muzyce z tamtego okresu, ale raczej o bolesnych wylinkach, które trzeba było przejść w swoim rozwoju osobniczym. Zwłaszcza dziewczęńskim.

Scenariusz ma szczególnie delikatną podszewkę. Chajdas napisała go wspólnie z aktorką Leną Górą, albowiem inspiracją stała się historia jej matki, Eli Góry, barwnej postaci gdyńskiej alternatywy, wokalistki między innymi Pancernych Rowerów. Trudno sobie wyobrazić bardziej osobisty punkt widzenia, sięgający

ZÓŁTY SZALIK / MATERIAŁY PRASOWE



czasów sprzed własnych narodzin i tuż po nich. I nie chodzi tu o rozliczanie kogoś z mocno niedoskonałego rodzicielstwa, raczej o autoterapeutyczne dotarcie do własnej „sceny pierwotnej”. Skąd się wzięłam? W jakich okolicznościach powstałam? Kim tak naprawdę jest osoba, która wydała mnie na świat? Niezależnie od tego, ile w tym odtworzenia, ile artystycznego przetworzenia, „Imago”, napędzane dziką energią swojej bohaterki, opowiada historię przepoczwarczenia się młodej kobiety. Kobiety, która w muzyce, a właściwie w osobliwych improwizowanych performansach, odnajduje na chwilę własny ton. I chwilowy ratunek.

Filmowa Ela, która czasem nazywa siebie Malwiną, co chwila wykonuje charakterystyczny gest – nerwowym ruchem przekłada kolczyk z jednego ucha do drugiego, jakby ciągle szukała właściwego miejsca, lepszego zaczepienia. Cały film jest takim niespokojnym poszukiwaniem i przekładaniem. Kiedy obok w stoczni starsze chłopaki robią Historię, a za chwilę zrobią też Transformację, bohaterka walczy o wolność i transformację osobistą. Medytuje, „pracuje z cieniem”, maluje na ścianie pokoju wielkie oko, aż w końcu troskliwa rodzina siłą zamyka ją w psychiatryku.

Twórczyni filmu nie fundują jej jednak męczeńskiego portretu – sceny ze szpitala w Kocborowie są wręcz zabawne, traktowane pobłaźliwie niczym

kuriozalne nieporozumienie. Ela po prostu tam nie pasuje, jak wszędzie zresztą i jak w każdym możliwym związku, choć dziwaczne jazdy, stany zawieszenia i akty autodestrukcji będą powracać u niej nie raz. Góra gra tę bardzo bliską sobie postać nie pierwszy raz udowadniając, że jest jedną z najciekawszych, najbardziej intuicyjnych i „cielesnych” naszych aktorów. Dała temu wyraz już w „Roving Woman” (2022), polsko-amerykańskim kinie drogi, nakręconym przez Michała Chmielewskiego.

„Imago” też zdaje się filmem wewnętrznej drogi, chociaż to jazda na złamanie karku. Przez zadymione piwnice, gdzie Ela pewnego wieczoru zostaje wchłonięta przez muzykę, przez garażowe próby, snobistyczne imprezy z kręgów ASP, do których należy jej przyszły mąż i gdzie ona nie potrafi się odnaleźć. Po części jest to także próba ucieczki z rodzinnego domu, od ciągłego życia na kupie, przedstawionego w filmie ze szczególną swadą.

Blokowe mieszkanie, z non stop włączonym telewizorem, przeładowane rzeczami i dorosłymi ludźmi (Ela jest najmłodszą z dziewięciorga rodzeństwa, a jednego z braci gra pisarz Łukasz Orbitowski), ma w sobie coś z ciepłką i zarazem duchoty. Ze względu na gęstość zaludnienia ciągle coś się tam pichci na ogromną skalę, ciągle coś się razem świętuje i opija, lecz mimo fizycznej ciasnoty, trudno o prawdziwą bliskość.

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Śluchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



IMAGO

– reż. Olga Chajdas.
Prod. Polska/
/Holandia/
/Czechy 2023.
Dystryb.
Żółty Szalik.
W kinach
od 8 listopada.

Olga Chajdas
jako reżyserka
zaczynała od seriali
(„Wataha”,
„Głęboka woda”,
„1983”). W kinie
zadebiutowała filmem
„Nina” (2018),
który zdobył
m.in. Złoty Pazur
w konkursie
Inne Spojrzenie
festiwalu w Gdyni.
Drugi jej film,
„Imago”, otrzymał
m.in. gdyńskie
Srebrne Lwy, nagrodę
aktorską dla Leny
Góry i za muzykę
Andrzeja Smolika
oraz nagrodę
FIPRESCI
w Karlowych
Warach.

Na zdjęciu:
Lena Góra
w filmie „Imago”.

Zwłaszcza relacja nadwrażliwej Eli z wiecznie krzątającą się matką (w tej roli świetna Bogusława Schubert) pozostawia wiele do życzenia. Nic dziwnego, że dla pogubionej artystki, śpiewającej psychodeliczne teksty o „bulce z bólem”, własne macierzyństwo będzie za chwilę nie łąda wyzwaniem. I będzie wymagało nauczania się wszystkiego metodą własnych prób i błędów. Po omacku i na żywca. Najważniejsze, żeby tylko nie powielić w przyszłości tego spojrzenia charakterystycznego dla zatroskanej „manipumatki”.

Film Chajdas przypomina trochę swoją główną bohaterkę: czasem ma w sobie świetny energetyczny przepływ, czasem zapętla się w chaosie, to znów zastyga w stuporze. Z pewnością dobrze pracuje w nim muzyka, napisana specjalnie przez Smolika i wykonana przez stworzony na użytek filmu postpunkowy zespół o nazwie Zakaz Kąpieli. Bywa głośno, szybko, alternatywnie i zgrzytliwie, nie o efektowną ilustracyjność jednak chodzi, ale uchwycenie mocno potrzaskanego pejzażu wewnętrznego, który składa się w całość według własnej anarchistycznej logiki.

Historia Eli to także opowieść o dziewczynie działającej w męskim świecie, szarpiącej się nieustannie ze sobą i swoimi ograniczeniami, również jako kobiety. „Imago” jest filmem „transformacyjnym” nie tylko ze względu na konkretny czas akcji. Wiele w nim z tamtego klimatu zachłyśnięcia się wolnością i wiadomo, że muzyka była jej forpocztą, zwłaszcza na Wybrzeżu, trochę bardziej otwartym na świat. Tą przestrzenią wolności są też w filmie naturyzm i erotyka (bo raczej nie sama biologia) oraz świetne zdjęcia Tomasza Naumiuka, ignorujące wszelkie podszepty związane z portretowaniem tamtej epoki.

Imago to w języku entomologów osobnik w pełni dorosły, czyli taki, który już się przepoczwarzył i osiągnął zdolność do rozmnażania się. Brzmi to w kontekście filmu trochę na wyrost, bowiem ukazane w nim narodziny – dziecka czy nowej Polski – są właściwie dopiero bolesnym początkiem, rozgrzebanym placem budowy, duchologiczną prowizorką. Bardziej obietnicą i życzeniem niż ostatecznym, dojrzałym stadium. Dalsze losy tej wielkiej ustrojowej wylinki już znamy – ciekawe, jak przebiegałaby w przypadku filmowej Eli. Jakie jeszcze warstwy ochronne będzie musiała zrzucać, żeby wreszcie poczuć się bezpiecznie we własnej skórze. Ona, a potem jej córka. ©

Lektor: Granice uległości



■ Piotr M. Majewski
BRZYDKIE SŁOWO NA „K”.
RZECZ O KOLABORACJI
Wydawnictwo Krytyki Politycznej,
seria historyczna, Warszawa 2024, ss. 344

NA OKŁADCE WACŁAW KRZEPTOWSKI ZDEJMUJE KAPELUSZ przed gubernatorem Hansem Frankiem. Zdjęcie autentyczne, a zarazem symboliczne, bo sprawa Goralenvolku, kładąca się cieniem na historii Podhala, to ledwie epizod w dziejach Europy pod władzą Hitlera. I Stalina.

Piotr M. Majewski poprzednią książkę poświęcił utworzonemu przez Niemców Protektoratowi Czech i Moraw. Ten twór polityczny oraz postacie lawirującego między interesem narodowym a Niemcami prezydenta Emila Háchy oraz fanatycznego zwolennika kolaboracji Emanuela Moravca zajmują i teraz sporo miejsca. Pole badawcze zostało jednak rozszerzone najpierw o teoretyczne i historyczne rozważania nad samym tytułowym pojęciem, potem o kolejne kraje – Francję, Norwegię, Danię, oczywiście Polskę, Białoruś, Ukrainę i kraje bałtyckie, oraz sprzymierzeńców III Rzeszy, zwłaszcza Węgry, które po klęsce regenta Horthyego zmieniły się z sojusznika w kraj okupowany, posłusznie realizujący – podobnie jak Słowacja – antyżydowską politykę nazistów.

Osobne rozdziały poświęcił Majewski „naszej Lady Haw-Haw”, czyli Wandzie Wasilewskiej jako czołowej postaci współpracy z okupantem sowieckim, i fali pogromów ludności żydowskiej, jakie przetoczyły się od Estonii po Besarabię po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, ze szczególnym uwzględnieniem pogromu lwowskiego z lipca ’41. Pisze o dylematach narodów, dla których – jak dla Litwinów czy Ukraińców – współpraca z Niemcami (oznaczająca też współuczestnictwo w Zagładzie) łączyła się z walką o własne państwo, i o „kolaboracji dla ratowania życia” w stworzonych przez Niemców gettach, tak jednoznacznie (i niesprawiedliwie) ocenionej przez Hannę Arendt.

Mnóstwo tu pytań. Czy polski sojusz z Hitlerem – „zbrojna neutralność” proponowana przez Władysława Studnickiego – miał jakiekolwiek szanse? Gdzie przebiegała granica kolaboracji w przypadku niższych szczebli władzy, pozostawionych w rękach narodów okupowanych? W przypadku naszej „granatowej” policji i Polaków zatrudnionych w instytucjach niemieckich? Dlaczego pośród sojuszników Hitlera akurat Bułgarzy skutecznie ratowali „swoich” Żydów? Dlaczego „kolaboracja horyzontalna” tropiona była po wojnie tylko wśród kobiet? Niedawno w Wielkiej Brytanii wybuchł spór o wojenną politykę lokalnych władz na zajętych wtedy przez Niemców Wyspach Normandzkich, Jersey i Guernsey. „Modelowa okupacja”? No, no... ©P

OLGA

Drenda:

Co tu jest grane?



POMYŚL NA NINIEJSZY FELIETON PRZYBYŁ do mnie we śnie. Na ogół śnią mi się rzeczy prozaiczne: wysyłam senne e-maile, robię zakupy w wysnionej Biedronce (zapewne dlatego bywam rano taka zmęczona i niekoniecznie witam dzień uśmiechem). Tym razem jednak przyśniło mi się rzadkie w moim życiu zjawisko, czyli kłótnia; rozłościłam się na kogoś ze snu, gdyż próbował mnie przekonać, że pamiętam coś na pewno, lecz musiałam to „wyprzeć”.

To prawdopodobnie efekt działania kombinacji czynników: faktu, że trwa czas sprzyjający wspomnianiu i pamięci, niedawnej dyskusji o tzw. Satanic Panic na jednym z profili społecznościowych (panika moralna w USA w latach 80., gdy w muzyce metalowej, filmach i grach doszukiwano się treści nakładających rzekomo do zbrodni) oraz lektura kilku artykułów o popularności pseudoterapii, oferujących szybkie, choć mocno wątpliwe rozwiązania na ludzkie bóle duszy.

Ale wściekłabym się też na jawie, gdyby ktoś próbował mi wmówić, że coś przeżyłam, choć wiem, że to się nie stało. Nie wierzę bowiem w możliwość „odzyskania wspomnień”. Dla jasności – nie chodzi o mechanizmy wyparcia czy dysocjacji, rozpoznane w psychiatrii i psychologii, gdy ktoś na skutek doznanego wstrząsu niejako „oddziela się od samego siebie”, nie rozpoznaje siebie, czy nawet tymczasowo doznaje amnezji. Jestem też świadoma, że ofiary przemocy często z różnych przyczyn nie mówią przez długi czas o tym, co je spotkało, nawet gdy pozorują „normalne życie”. Ale jestem też absolutnie przekonana o tym, że nie doceniamy siły sugestii (czy autosugestii!) i możli-

wości wmówienia komuś wspomnienia fałszywego, zwłaszcza gdy jest w kryzysie i staje się wrażliwy, podatny na pchnięcie cudzą dłoń w dowolną stronę.

Jest to temat kontrowersyjny i dzisiaj dyskutowany na kanwie popularności tematu traumy; 30 lat temu w USA doprowadził do zdumiewających wyroków sądowych, gdy ludzi skazywano za makabryczne przestępstwa zaistniałe jedynie w wyobraźni (opowiada o tym książka „Szatan w naszym domu” Lawrence’a Wrighta). Fala wydarzeń, które sprowokowała niesławna pseudopsychologiczna książka „Michelle remembers”, to jedna z niewielu rzeczy, które naprawdę mrozą mi krew w żyłach. Okazuje się bowiem, że gdy ludzie zdecydują się uwierzyć, że coś jest prawdziwe, nie zejdą z tej drogi, nawet kosztem skazania przypadkowego człowieka. To tym straszliwsze, że prawdziwe zbrodnie dzieją się i bywają tuszowane – lecz zwyczajne dochodzenie sprawiedliwości jest dla ludzi mniej absorbujące niż spektakl z udziałem tajnej organizacji, spisku czy szatana. A działania manipulantów i kłamców sprawiają, że naprawdę skrzywdzonym trudniej uwierzyć, gdy zdecydują się mówić.

„Odzyskane wspomnienia” miały swój epizod, na szczęście krótki, w polskiej psychoterapii przełomu mileniów. Poznałam dwie osoby, którym próbowano coś zasugerować. Młoda dziedzin leczenia musiała być wówczas na etapie bezkrytycznego importu wszelkich pomysłów z USA, bo też cała historia wygląda jak tani film obyczajowy ze stacji Hallmark. Niestety, konsekwencje mogły być opłakane: jednej z osób próbowano zasugerować, że wyrządziła komuś zło o potencjalnych konsekwencjach prawnych. Byłaby gotowa uwierzyć, gdyby nie drobna przeszkoda: ten ktoś po prostu nie istniał, a cała sprawa była wynikiem sugestii, historią wymyśloną przez pseudoterapeutę, który najwidoczniej chciał mieć na koncie spektakularny przypadek. Odrobina przytomności umysłu i pytanie „co tu jest grane?” sprawiły, że udało się uniknąć kłopotów. Ale osoba ta poszła po poradę, ponieważ zmagała się z realnym nieszczęściem. Trafiła na hochsztaplera, lecz cierpiała na serio.

Wobec pseudoterapii potrafię być bezlitosna, bo nie znoszę wykorzystywania cudzych kryzysów, słabych punktów, może łatwowości. Ich praktyków uważam za cynicznych drapieżników. Ale nie mogę powiedzieć, że ich klienci wiedzą, na co się piszą. Nie mogę ich potępić. Ludzie są nieszczęśliwi, niedocenieni, samotni tu i teraz. Niestety, mają też szczęście w nieszczęściu żyć w kraju, którego nikt nie bombarduje i w którym mają co jeść, więc łatwo ich smutek zbyć lekceważeniem, że „inni to mają naprawdę źle”. Być może stąd skłonność do koloryzowania, wyolbrzymiania, doszukiwania się nieszczęść, które mogły się nigdy nie zdarzyć, albo zasłaniania się życiorysem przodka z przeszłości, którego spotkało coś strasznego i na wnuka ciąży to jak klątwa. Uważam, że odzyskanych wspomnień z przeszłości nie ma – ale są dzisiejsze problemy, które, gdy zostaną zignorowane, ściągają człowieka w dziwne strony. ©

Olga Drenda jest etnologą, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.



Być może
każdy
co najmniej
raz zadał
sobie
to pytanie

OLGA DRENDA

PAWEŁ

Bravo:

Niespieszność kaki



A WYŚCIE ZESZŁEJ NOCY W OGÓLE SPALI? Czy tak jak ja – krótka, niekojąca drzemka, budzik nastawiony na drugą, a potem oczy wbite w laptop do rana? Oczy podkrążone, bo lekkomyślnie nagromadziłem niewyspanie. Zamiast zamknąć solidnym snem ostatni

weekend względnie spokoju w geopolityce, poprzednią jeszcze noc spędziłem u podnóży Kaukazu po azerskiej stronie. Razem ze mną ćwierć miliona ludzi oglądało świeżo opublikowany filmik, na którym starsza gospodyni w wiejskim obejściu piecze placek z mięszem owoców hurmy wschodniej. Świadomie używam dziwnej botanicznej nazwy na owoce znane każdemu – zwłaszcza w listopadzie, gdy dojrzewają – jako kaki, bo jest w niej szczypta egzotyki, która w moich oczach spowija zagrodę pani Azizy. Gotuje ona w sposób łatwo zrozumiały nawet dla mieszkańców Zachodu, choć niektóre jej składniki i metody są specyficzne. Z liści szczawiu na przykład – wielkich jak łopuch – splata najpierw warkocze, które suszy na sznurach, a podsuszonych używa jako dodatek do mięsa. Ale to przyjemne napięcie bliskości i obcości nie tłumaczy jeszcze, czemu kanał o banalnej nazwie „Country life vlog” (co zwróciło uwagę nawet „Economista”) odniósł trwałe sukcesy w branży – by użyć obcego słowa – foodowej.

A nawet slowfoodowej, bo każdy z setek filmów trwa ponad dwadzieścia minut, z czego dobra połowa to medytacyjne przebitki na bukoliczne sceny z obejściami, zabawy kotów i koguta, bezcelowe gonitwy psa, kapanie wody z wiadra, gałęzie w sadzie kołysane wiatrem. Gdzieś w tle mąż gospodyni raz czy drugi machnie motyką w ogrodzie albo przytoczy taczkę ze szczapami do stojącego w ogrodzie pieca. Jest nawet oswojona wrona rodem z zabawnej kreskówki, która cierpliwie czeka na orzecha, gdy gospodyni tłucze ich całą górą do ciasta z kaki. Porcje bowiem tu są istic gospodarskie, nie rozpala się przecież pieca, żeby upiec omlecek z dwóch jaj.

Subskrybentów jest prawie siedem milionów (dla porównania, liderzy gatunku w czterokrotnie ludniejszej Polsce ledwo dochodzą do dwóch, a np. Jego Wszecchobecność Robert Makłowicz ma ich sześćset tysięcy). Opowieści są prawie nieme, wielka to ulga po słownej gorączce influencerów, pełno za to dyskretnych dźwięków tła, szelestów, skwierczenia, kapania, krojenia i szumu liści – jakby to był seans ASMR, czyli tej osobliwej, prawie erotycznej błogości wywoływanej ponoć przez specjalne, ciche dźwięki. Jestem na to nieczuły, ale dźwiękowa materia tych filmów wprowadza mnie w głęboką, przyjemną niespieszność.



Jeśli jeszcze przez chwilę spojrzeć przez pryzmat liczb na ten udany (także biznesowo – każde wyświetlenie to jeden cent od Google'a) projekt medytacji nad bulgoczącą potrawką, to na liście odtworzeń królują filmy o przetworach – na Kaukazie robią cuda z kiszzonek, np. piękną mieszkankę szatkowanych warzyw pozawijanych w zgrabne rolki z liścia kapusty. O przetwarzaniu owoców na dżemy i syropy. O zbieraniu i prażeniu migdałów. Także na polskich czołowych kanałach, obok niezbędnych do życia tematów, jak test mrożonej pizzy albo chińskich zuppek, filmy o upychaniu kapusty do słoja są zawsze na topie. Niech mi psycholodzy społeczni wybaczą amatorską teorię spod ubabranego sosem palca, ale przetwory odwołują się chyba do silnej w nas potrzeby bezpieczeństwa. Nawet jeśli wychowaliśmy się w nowoczesnym miejskim otoczeniu i babcia nie zajmowała nam parapetów słojami, to te procedury jeszcze przez kilka pokoleń będą wyzwalają atawistyczną ufność, że uda się przetrwać jutro. A nawet pojutrze.

Cykle agrarne przestały budzić zbiorowe lęki, ale to, czego się teraz obawiamy i przez co siedziałem na łączach w ostatnią noc, to znacznie więcej niż sroga zima albo głodne tygodnie przednówka.

Makaron z kaki

Owoce kaki należy jadać, gdy już są bardzo, ale to bardzo dojrzałe, prawie się rozpadają. Można je odłożyć na talerz obok jabłek, szybciej dojdą. Jeśli złapiemy je w optymalnym punkcie, dostarczą ciekawej kwaskowości, odpowiedniej także do mięs (można dołożyć je do pieczenia pod koniec) albo w postaci przecieru jako dodatek do serów. Dobrze też się żenią ze słonym anchois.

300 g krótkiego makaronu
biała część z **3** łodyg selera naciowego **1** garść natki pietruszki
5 filecików anchois **1** kaki ■ czosnek ■ oliwa ■ cytryna lub limonka
Kroimy owoc **kaki** na duże kawałki i macerujemy kilka minut w **soku z cytryny**. Siekamy drobniutko **seler i natkę**. Rozpuszczamy na patelni na **oliwie z czosnkiem fileciki anchois**, dodajemy **seler**, dusimy krótko, sypujemy **natkę**, podlewamy wodą z makaronu, który gotujemy na palniku obok. Przerzucamy na patelnię ugotowany makaron, mieszamy, na talerzu dodajemy kawałki kaki i parę wiórków parmezanu. ©P



Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

JAK TO SIĘ ROBI W AMERYCE

Tę markę zna każdy: charakterystyczne okładki, ikoniczny logotyp, torby na ramię. Nowojorski tygodnik to jednak coś znacznie więcej.

Poprzez historię „New Yorkera” doskonale widać procesy, które kształtują krajobraz amerykańskiej kultury i polityki – szczególnie dziś.

MICHAŁ CHOIŃSKI

W TRAKCIE ZBIERANIA MATERIAŁÓW DO KSIĄŻKI SIEDZIBĘ redakcji odwiedziłem kilkakrotnie. Niegdyś pismo związane było ze środkowym Manhattanem – okolicami Times Square oraz Hotelu Algonquin, gdzie w latach 20. zbierała się literacka śmietanka. Tam narodził się pomysł założenia gazety. Dziś redakcja „New Yorkera”, podobnie jak inne tytuły wydawane przez giganta mediowego Condé Nast, ma siedzibę w World Trade Center One, na dolnym Manhattanie – w najwyższym budynku USA, powstałym po zamachach z 11 września.

To tam, na dwudziestym trzecim i czwartym piętrze, powstaje jeden z najbardziej ikonicznych tytułów amerykańskiej prasy – kojarzony z pogłębionymi reportażami, rysunkami satyrycznymi, pięknymi okładkami oraz świetnymi tekstami literackimi. Etos „New Yorkera” zasadza się na dążeniu do jakości i wierności faktom. I jest to odczuwalne w redakcji na każdym kroku.

Poza kilkudziesięcioma wywiadami przeprowadzanymi na miejscu – czy to z Françoise Mouly odpowiedzialną za dobór okładek, Patrickiem Raddenem Keefe’em, dziennikarzem śledczym, autorem m.in. słynnego „Imperium bólu”, czy Davidem Remnickiem, naczelnym tygodnika – pracowałem też w archiwach magazynu.

Saul Steinberg,
„New Yorker”, marzec 1976 r.

Z wewnętrznej dokumentacji można odtworzyć kulisy powstawania przełomowych tekstów, które wpłynęły na kulturę i politykę amerykańską. Przez dekady przez łamy „New Yorkera” przewinęli się pisarze i pisarki takiej klasy, jak Ernest Hemingway, Sylvia Plath, Truman Capote czy Alice Munro. Nie brakło też polskich autorów, z których Stanisław Lem był w latach 80. najbardziej poczytnym.

Praca w archiwach, połączona z rozmowami w siedzibie redakcji, pozwoliła mi zbudować szeroki obraz „New Yorkera” oraz siły jego oddziaływania – również na współczesną scenę polityczną w USA.

Sam w Nowym Jorku

Liczący tysiąc pięćset słów tekst Davida Remnicka, redaktora naczelnego „New Yorkera”, miał tego dnia wymowny tytuł: „The American Tragedy” („Amerykańska tragedia”). Jak powiedziała mi Monica Ricci, redaktorka zajmująca się w piśmie układem treści online, był to jeden z najczęściej odwiedzanych tekstów na stronie internetowej pisma w 2016 r.

Wybór Trumpa do Białego Domu był zaskoczeniem dla wszystkich osób pracujących w redakcji. Przed zagrożeniem dla polityki zewnętrznej i wewnętrznej, jakie miało wiązać się z jego prezyden-



turą, przez miesiące przestrzegali jednak piśzący tu publicyści. Adam Gopnik, były korespondent z Paryża, znany z esejów na temat kultury Nowego Jorku, opowiada, że perspektywa dojścia Trumpa do władzy skłoniła go do mocniejszego zaangażowania w tematy społeczne. Według Gopnika Trump, którego kariera polityczna budowana była na rozpoznawalności, którą zyskał jako nowojorski deweloper, stał się antytezą wszystkiego, co miasto sobą reprezentuje – różnorodności, wolności i równości.

Gdy rozmawiałem z redaktorami tygodnika o tym, jak wspominają okres bezpośrednio po wyborach w 2016 r., kilkoro podkreślało, jak ważne było wtedy zachowanie redaktora naczelnego. Wiedząc, że wybór Trumpa dla wielu osób związanych z „New Yorkerem” był nie tylko głębokim rozczarowaniem, ale mógł podważyć wiarę w sens ich pracy, rozesłał poczekającego maila i zwołał specjalne zebranie, na którym podkreślał rolę niezależnego dziennikarstwa pa-trzącego władzy na ręce.

Sam Remnick też dobrze pamięta moment wyboru Trumpa na prezydenta i tamto spotkanie. A zwłaszcza jego szersze polityczne konteksty, w tym referendum decydujące o wyjściu Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej, które miało miejsce pięć miesięcy wcześniej, a także zajęcie Krymu przez Rosję. Wszystkie te procesy destabilizacyjne stanowiły wyzwanie dziennikarskie. Zwołując zebranie, naczelny chciał przypomnieć, że tylko wykonując swoją pracę mogą odpowiedzieć na to, co się stało.

Obecna zastępczyni redaktora naczelnego, Deirdre Foley-Mendelssohn, myślała w tym czasie o powrocie do pracy w „New Yorkerze”. W trakcie naszej rozmowy w redakcji opowiada, jak dużo znaczyła dla niej wtedy reakcja Remnicka: – Choć Donald Trump i Nowy Jork w tym czasie nie byli już ze sobą związani, to jednak w przeszłości był to jego matczynik. Czułam, że wracam do miejsca, które może zareagować na to, co się zdarzyło.

Foley-Mendelssohn pracowała potem przy wielu tekstach, które stanowiły zdecydowane reakcje na nadużycia władzy – najsłynniejszym z nich był reportaż Ronana Farrowa pokazujący skalę przestępstw seksualnych, których dopuścił się znany producent filmowy Harvey Weinstein. To właśnie „New Yorker” jako pierwszy opublikował reportaż z zeznaniami ofiar.

Pod maską Trumpa

Przez kolejne lata magazyn brał pod lupę działania Trumpa i – zgodnie z dziennikarską dewizą naczelnego – patrzył władzy na ręce. Te słowa to kwintesencja misji, którą Remnick wyniósł jeszcze z czasów pracy w „Washington Post” – dziennika znanego z ujawnienia afery Watergate, który stał się w USA



Anita Kunz, „New Yorker”,
29 sierpnia 2022 r.
Poniżej: Eric Drooker,
„New Yorker”, 21 października 2024 r.



symbolem niezależnego, nieustępliwego dziennikarstwa.

Jako korespondent Remnick pisał dla „Washington Post” na początku lat 90. sprawozdania z Moskwy. Za książkę zredagowaną na bazie tych doświadczeń, ukazującą szekspirowską historię politycznych dróg Gorbaczowa i Jelcyna, oraz siłę mitów kulturowych Związku Radzieckiego, otrzymał w 1994 r. nagrodę Pulitzera.

Pięć lat później, na siedemdziesięciopięciolecie tygodnika, został piątym w jego historii redaktorem naczelnym.

Pod jego skrzydłami medium znane z przywiązania do jakości, weryfikacji faktów, znakomitej prozy i uszczypliwego humoru poszło w stronę zaangażowanego dziennikarstwa poruszającego bieżące sprawy międzynarodowe i społeczne.

Oczywiście Trump przewijał się przez strony tygodnika jeszcze zanim zaangażował się w karierę polityczną. W 1997 r. ukazała się rozbudowana sylwetka Trumpa autorstwa Marka Singera. Nowojorski potentat zmagał się wtedy z zarzutami o to, że jest na granicy bankructwa, próbując zachować kontrolę nad rozchwytanymi inwestycjami. Powoli rozpadało się też jego drugie małżeństwo. Mimo to dążył do podtrzymania wizerunku. Mit sukcesu zawsze odgrywał kluczową rolę w „marce”, z którą wiązało się jego nazwisko.

Singer pracował nad tekstem przez kilka miesięcy. Za zgodą Trumpa towarzyszył mu w spotkaniach, starając się zrozumieć jego sposób myślenia. Początkowo

zakładał, że jego rozmówca jest performerem, swego rodzaju sztukmistrem. Chciał dotrzeć do osoby schowanej pod tą maską.

Badawczo obserwował świat wokół – spotkania, negocjacje i bankiety. Śledził język, którym Trump mówił o swoich dokonaniach. Pełno było w nim superlatywów takich jak „fantastyczny” czy „genialny” oraz wszystkich możliwych synonimów słowa „największy”. Singer kończył swój tekst konkluzją, że się pomylił: pod maską Trumpa nie było zupełnie nic. Późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych był samonapędzającą się fantazją o wielkości.

Na reakcję Trumpa nie trzeba było długo czekać. Zadzwonił do redakcji z awanturą. A sam Singer stał się odtąd jego wrogiem. Gdy siedem lat później tekst z „New Yorkera” przedrukowano w książce, Trump napisał do autora list, nazywając go „nieudacznikiem”. Sprzedaż książki Singera błyskawicznie skoczyła. Dziennikarz „New Yorkera” nie pozostał Trumpowi dłużny i wysłał odpowiedź z ironicznym podziękowaniem za reklamę oraz prezentem w postaci czeku na 37 dolarów ➔

→ i 82 centy (dokładnie tyle Trump zapłacił Singerowi jako zwrot kosztów za rozmowę telefoniczną, którą odbyli w czasie przygotowywania tekstu) oraz zestawu bandaży (aby „Trump przestał rozdrapywać stare rany”).

Parę dni później list wrócił z napisanym odręcznie zdaniem: „Mark – jesteś kompletnym nieudacznikiem – i twoja książka (tak jak inne) ssi. Pozdrawiam, Donald. PS: I podobno sprzedaż jest słaba”. Gdy Singer sprawdził stan konta w banku, okazało się, że wysłany Trumpowi czek został zrealizowany. Reporter wykorzystał odpowiedź Trumpa jako blurb w swojej książce „Trump and Me”, wydanej przed wyborami w 2016 r.

Big Data i milionerzy

Po wyborach prezydenckich redakcja „New Yorkera” zakasała rękawy i zabrała się do pracy. Jane Mayer, komentatorka polityczna, badała rolę, jaką w kampanii Donalda Trumpa odegrali bogaci darczyńcy, a w szczególności miliarder Robert Mercer wraz z córką Rebeką, oraz powiązana z nimi firma Cambridge Analytica.

Mercer zbudował swój majątek dzięki wiedzy informatycznej. Był w stanie sprawnie wykorzystać algorytmy do podejmowania decyzji finansowych. Zatrudniony w firmie tradingowej zajmującej się analizami statystycznymi Renaissance Technologies, zaczął nią kierować w 2009 roku.

Z pozyskanymi gigantycznymi pieniędzmi mógł realizować swoje ekscentryczne marzenia – ma w domu np. makietę kolejową wielkości boiska za prawie trzy miliony dolarów i jedną z największych kolekcji broni w USA, w tym egzemplarz używany przez Arnolda Schwarzeneggera na planie filmu „Terminator” – ale też swoje polityczne cele. Stał się jednym z kluczowych darczyńców Partii Republikańskiej. Między 2006 a 2016 rokiem przeznaczył dla niej w datkach łącznie około 35 milionów dolarów.

Poglądy społeczno-polityczne Mercera są specyficzne: polityka Partii Republikańskiej jest w wielu punktach zgodna z jego dążeniem do zdecydowanej deregulacji, ograniczenia podatków dla najbogatszych oraz zmniejszenia roli państwa w procesach gospodarczych. Łączą się one z niechęcią do elit politycznych oraz do instytucji kontrolnych. To z tego powodu miliarder popierał brexit. Jego poglądy miały też bardziej zaskakujące aspekty. Jak pisała Mayer, jeden z pracowników Renaissance Technologies wspominał, że Mercer utrzymywał, iż bomby atomowe zrzucone na Hiroszimę i Nagasaki sprawiły, że w istocie spora część populacji Japonii była zdrowsza.

Mercer wraz z córką wspierał kandydata Republikańców, Mitta Romneya. Gdy ten przegrał wybory z Barackiem Obamą w 2012 r., postanowili, że do kolejnej porażki nie dopuszczą. Właśnie za sprawą nowych technologii, w tym głębokiej analizy olbrzymich korpusów danych.

Mayer przeprowadzała wywiady z pracownikami Renaissance Technologies i analizowała, jak Cambridge Analytica, zbierając dane pozyskane

z Facebooka za pomocą pozornie trywialnych kwestionariuszy osobowych, pozwalała kształtować język kampanii Trumpa tak, aby efektywnie trafiał do odbiorców. Głęboka analiza danych o społeczeństwie amerykańskim wskazywała, jakie tematy poruszać, a nawet jakie analogie i metafory budować. Odpowiednio sprofilowana komunikacja, uderzająca w psychologiczne potrzeby potencjalnych wyborców, okazała się strzałem w dziesiątkę i pomogła w przechyleniu szali zwycięstwa na stronę Trumpa.

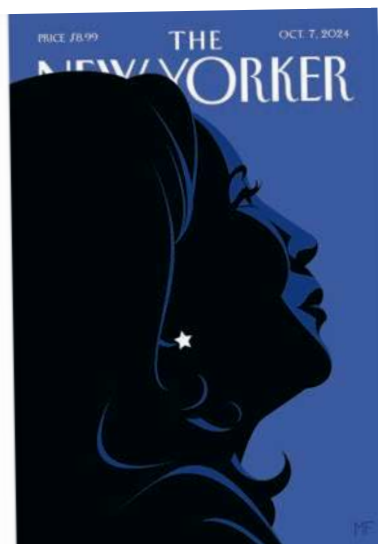
Mayer pisała, że jednymi z kluczowych emocji, o których wykorzystaniu zdecydowała Cambridge Analytica, były gniew i poczucie wykluczenia. To podsycanie tych właśnie emocji stało się jednym z priorytetów sztabowców Trumpa.

Jednocześnie – jak zwracał uwagę Adrian Chen, jeden z dziennikarzy „New Yorkera” zajmujący się technologiami – profilowanie języka kampanii z użyciem danych zebranych w mediach społecznościowych było częścią strategii sztabu Baracka Obamy w roku 2012. Różnica była jednak taka, że w przypadku danych wykorzystanych do działań w ramach kampanii Trumpa, informacje pochodziły od użytkowników nieświadomych, że ich odpowiedzi w ankietach wykorzystywane są do optymalizacji języka kampanii wyborczych.

Mur, bagno i łzy

Wśród haseł wykorzystywanych w kampanii Trumpa, a także przydatnych w utrzymaniu jego popularności, jedno stało się szczególnie wyraźnym symbolem: „Build the wall” („Zbudować mur”). Masha Gessen, ówczesna dziennikarka „New Yorkera” zajmująca się tematami Ukrainy, Rosji i praw mniejszości seksualnych, pisała na łamach tygodnika, że mur w rozumieniu prezydenta USA nie jest fizycznym obiektem, którym chciał on odgradzić USA od Meksyku i rozwiązać kwestie polityki migracyjnej Stanów Zjednoczonych, ale czymś więcej – swego rodzaju ideologiczną substancją.

Mur doskonale wyrażał izolacjonistyczne i separacyjne myślenie, którym Trump chciał zjednać sobie stronników. W hiperbolicznej retoryce prezydent odgradał wszystko i wszystkich. Jak pisała ironicznie Gessen: „Trump kocha Mur i nienawidzi instytucji rządowych: to dwie podstawy jego kampanii wyborczej i fundamenty jego poglądów na świat”.



Donald Trump i Kamala Harris na okładkach „New Yorkera”. Barry Blitt, 15 stycznia 2024 r.
Malika Favre, 7 października 2024 r.

Drugie istotne hasło kampanii Trumpa, widoczne długo na koszulkach i czapkach jego zwolenników, to „Drain the swamp” („Osuszyć bagno”). Służyło ono do metaforycznego przedstawienia dotychczasowej administracji państwowej jako grzęzawiska układów Partii Demokratycznej – w tym Hillary Clinton, którą Trump łączył niezmiennie z epitetem „skorumpowana”. W ten sposób Trump prezentował się jako outsider, zewnętrzna siła polityczna mająca wywrócić zastany układ do góry nogami.

Z kolei hasło „America First” – jak pisał w styczniu 2018 r. Evan Osnos, publicysta „New Yorkera” zajmujący się polityką Chin – związane było z ograniczaniem zaangażowania USA za granicą, ale też – między innymi – wycofaniem się USA z Porozumienia paryskiego w sprawie klimatu oraz z UNESCO. Osnos zauważał, że izolacjonizm oraz polityczne skupienie na sprawach wewnętrznych spowodowały powstanie w tkance międzynarodowych interesów i wpływów wolnej przestrzeni, którą spróbują zapęłnić Chiny, rozbudowując swój potencjał technologiczny i infrastrukturę. W konsekwencji izolacjonizm nowego prezydenta USA niósł za sobą poważne skutki dla pozycji i bezpieczeństwa Stanów.

Podobnie zresztą jak najsłynniejsze hasło zaczerpnięte wprost z kampanii Ronalda Reagana – „Make America Great Again” – sygnalizujące nostalgię za wyobrażoną przeszłością wypełnioną dobrobytem i nieokreślonymi ideami, które stanowią podstawę amerykańskiej mitologii kulturowej. Syn Trumpa, Dan, na spotkaniach wyborczych przekreślał slogan na „We'll make Democrats cry again” („Sprawimy, że Demokraci znów zapłaczą”). Dla obrony tych efemerycznych idei niektórzy byli gotowi chwycić za broń.

Cztery lata później, 6 stycznia 2021 r., Evan Osnos był w Waszyngtonie, gdzie zwolennicy Trumpa, po przegranych przez niego wyborach, ruszyli szturmem na Kapitol. Reporter „New Yorkera” relacjonował działania agresywnego tłumu, który usiłował przerwać obrady izb Kongresu mające potwierdzić zwycięstwo Joego Bidena. Pisał o chaosie i nieudanych próbach interwencji policji i sił porządkowych. Rozmawiał z osobami uczestniczącymi w próbie insurekcji i głoszącymi, że wybory zostały sfałszowane. Ktoś w tłumie, gdy dowiedział się, że pracuje w „New Yorkerze”, nazwał go wrogiem ludu.

Osnos podkreślał potem w relacji dla tygodnika: „Pięć lat po tym, jak zaczęła się era Trumpa, fizyczna napaść na amerykańską demokrację była zarówno szokująca, jak i nieunikniona – była to kumulacja wszystkiego, co gromadziło się od 2015 r.”.

Komiczny i niebezpieczny

Zbierając materiał do książki o historii „New Yorkera”, przeprowadziłem dwa wywiady z Davidem Remnickiem – jeden w styczniu, drugi w lipcu tego roku. Polityczny kontekst oby-



Barry Blitt, „New Yorker”, 26 sierpnia 2024 r.

dwu rozmów był zasadniczo różny. Pierwsza miała miejsce w momencie, gdy Joe Biden był zdeterminowany, by ponownie stać w szranki w wyścigu wyborczym. Druga odbyła się parę dni po pierwszej próbie zamachu na Trumpa, gdy jego kampania nabierała siły i gdy nie było jeszcze wiadomo, że to Kamala Harris będzie walczyła o prezydenturę z ramienia Partii Demokratycznej.

Po wyjątkowo nieudanej dla Bidena czerwcowej debacie z Trumpem w telewizji CNN Remnick był zdecydowanie przeciwny, by obecny prezydent USA walczył o reelekcję. W czerwcu opublikował tekst „The Reckoning of Joe Biden” („Rozliczenie Joego Bidena”), w którym nie zostawił suchej nitki na obecnym prezydencie USA, twierdząc, że jego obstawanie przy tym, by ubiegać się o drugą turę mimo nieprzychylnych sondaży, jest skrajnie nieodpowiedzialne – grozi powrotem Trumpa do władzy, a w konsekwencji demontażem struktur demokratycznych w kraju.

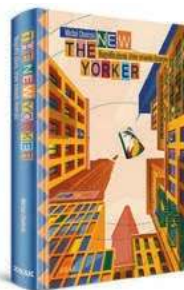
Decyzja o jego ustąpieniu z wyścigu do Białego Domu przyjęta została z ulgą. Były prezydent USA nadal ma jednak duże szanse, by wygrać jesienne wybory. Remnick oraz cała redakcja „New Yorkera” z niepokojem patrzą na wahania w słupkach poparcia. Zwłaszcza na Pensylwanię – jeden z kluczowych niezdecydowanych stanów określanych mianem „fioletowych” – w którym dziesięć głosów elektorskich może przechylić szalę zwycięstwa dla całego kraju w stronę niebieską, dla Demokratów, lub czerwoną, dla Republikanów.

W rozmowie z Remnickiem na antenie New Yorker Radio Hour gubernator Pensylwanii John Shapiro podkreślał, że wygrana Harris może mieć jedynie miejsce, jeśli zagłosują na nią wyborcy niezależni oraz obawiający się powrotu Trumpa do władzy Republikanie.

Dwa tygodnie temu Adam Gopnik w eseju „How Alarmed Should We Be if Trump Wins Again?” („Jak bardzo powinniśmy bać się Trumpa?”) zwraca uwagę nie tylko na możliwe konsekwencje wyboru Trumpa dla polityki Stanów, związane z prawodawstwem oraz bezpieczeństwem wewnętrznym, ale też na globalne konteksty – zwłaszcza podsycany przez niego powszechny strach przed migracją z Globalnego Południa oraz niechęć do angażowania się USA w wojnę w Ukrainie.

Gopnik konkluduje, że wszyscy mamy w zwyczaju uspokajać się, wyobrażając sobie scenariusze na przyszłość – jednak te zasoby wyobraźni nie pomagają wobec perspektywy powrotu Trumpa do władzy: „Zdaje się on komicznie odklejony i znacznie bardziej niebezpieczny, niż nam się wydaje”.

© MICHAŁ CHOIŃSKI



Autor jest amerykańistą i historykiem literatury. Stypendysta Fulbrighta na Uniwersytecie Yale. W listopadzie ukaże się jego książka „The New Yorker. Biografia pisma, które zmieniło Amerykę”.

STANISŁAW

Mancewicz: Marzenie teścia



ZACZNIJMY OD ZAPOWIEDZI, KTÓRA powinna dać każdemu do myślenia. Jak czytamy w portalach tutejszej prasy: „Czarnek rusza w objazd po Polsce”. Wielość znaczeń tego komunikatu musi skłonić Polaka, Polkę i osobę polską do refleksji opartej na klasycznym zdaniu p. Johna F. Kennedy’ego: „Nie pytaj, co twój kraj może zrobić dla ciebie, zapytaj, co ty możesz zrobić dla swojego kraju”. Każdy chyba bez wahania przyzna, że gdy p. Czarnek zostanie prezydentem Polski, trudno będzie zrobić dla Polski cokolwiek. Nikt nam jednak nie obiecywał, że będzie łatwo.

Przedłuża się oczekiwanie na decyzję, kogo oto Jarosław Kaczyński wyznaczy do startu w wyborach prezydenckich z ramienia jego niezwyklej partii. Ze zgrubnej listy chętnych i branych pod uwagę nic na razie nie wynika. Można rzec, że każdy tam wpisany ma zasadniczą wadę: nie jest Jarosławem Kaczyńskim, nie jest jego cieniem ani nawet podróbką. To wiadomo. Żaden także nie jest w niczym podobny do Andrzeja Dudy i tym parametrem zajmiemy się dziś, ku uciechu mas i pożytkowi publicznemu.

Oto żaden z wymienianych w mediach kandydatów nie może się równać z A. Dudą, a mamy na myśli jego urzekający wdzięk. Ktoś zdezorientowany bądź nieorientowany zapyta na głos: jaki wdzięk – do stu tysięcy beczek zjełczałego tranu – mamy na myśli? O co, psiakość, chodzi? Otóż wedle naszego rozeznania w polskich gustach, a jest to rozeznanie mistrzowskie, ocierające się o wszechwiedzę, Andrzej Duda wygrał dwa razy wybory

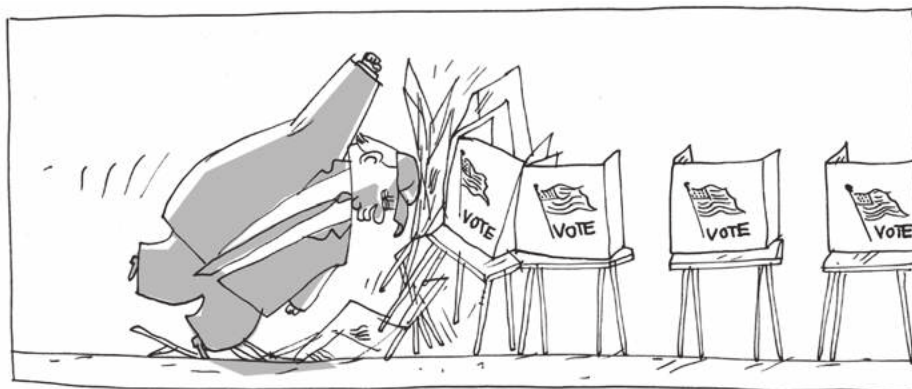
prezydenckie w Polsce wyłącznie czystym, chłopięcym wdziękiem. Doprawdy, gdy przyjrzeć się bliżej jemu samemu i jego cechom, wiedzy, wykształceniu i tym podobnym, jedynie wdzięk jest jego cechą bezdyskusyjną. Andrzej Duda – przeczytaliśmy o tym dawno, w analizie czołowej gazety liberalnej lewicy, więc zakarbowaliśmy to sobie w głowie na zawsze – był, a zapewne wciąż jest „marzeniem teściowej”. „Marzenie teściowej” – może to wymaga objaśnienia – jest określeniem najlepszego kandydata na męża dla córki. Spełniającego wyśrubowane oczekiwania dotyczące wszystkiego, a to: manier, ubioru, butów, higieny osobistej, uczesania, wyrazu twarzy, sposobu żartowania, modulacji głosu i artykulacji oraz poruszania się. Andrzej Duda spełnia wszystkie te warunki, choć niektórym teściowym może się wydawać, że jest na odwrót. Są owe teściowe – wypada im to powiedzieć w oczy – dla Polski nietypowe, a więc będące w mniejszości. Większość – tak to należy ująć – na widok Andrzeja Dudy myśli o szczęściu swych córek. Wyniki dwu głosowań w wyborach prezydenckich mówią same za siebie i nie trzeba tu więcej argumentów.

Idźmyż dalej, bowiem się ściemnia. Zaryzykujemy na moment tezę, że wiele można powiedzieć na temat p. Czarnka, czy owego p. Nawrockiego, a obaj są na wirtualnej liście kandydatów PiS-u, ale jednego stwierdzić nie sposób: żeby któryś z nich obezwładniał wdziękiem chłopięcym. Żeby – popatrzmy – uśmiechem, ładnym wyrażaniem się, jasnością spojrzenia, manierami, uczesaniem, któryś z tych dwu mógł oczarować jakąś teściową, oczywiście poza tymi paniami, które w istocie już to mają za sobą. Słowem, coś na temat idącej kampanii wyborczej już wiemy: parametr „marzenie teściowej” nie będzie miał znaczenia. Oto ruszenie p. Czarnka w „objazd po Polsce” nie ma na celu zdobycia głosów teściowych polskich, ale bardzo możliwe, że tym razem idzie walka o przypodobanie się polskiemu teściowi. To nigdy nie było trudne. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.



LIVE IN CONCERT

ANDREA BOCELLI



6 CZERWCA 2025

ENEA Stadion, Poznań

8 CZERWCA 2025

Tarczyński Arena, Wrocław

BILETY: BILETSERWIS.PL



ANDREABOCELLI.COM



ERGO
HESTIA[®]